

Anna Machowska-Wądołowska

KRAJ

najszczęśliwszych
kobiet

O czym szepczą omańskie ściany

Feeria
WYDAWNICTWA

Anna Machowska-Wądołowska

KRAJ
najszcześniejszych
kobiet

○ czym szepczą omańskie ściany

Feeria
WYDAWNICTWO

Spis treści

Wstęp

AMIRA. Demony kryją się w górach

NAIEMA. Motyle czekają w niebie

HABIBA. O czym szepczą ściany

AURELIA. Bajki nie trwają wiecznie

LEA. Opowieść z Krainy tysiąca i jednej nocy

HASINA. Wszystko zostaje w rodzinie

Podziękowania

Bibliografia

Słowniczek

Przypisy

Opieka redakcyjna: Katarzyna Nawrocka
Redakcja: Anna Taraska
Korekta: Anna Strożek

Projekt typograficzny, projekt okładki i stron tytułowych oraz skład: Joanna
Wasilewska/KATAKANASTA

Zdjęcie na okładce: Anna Machowska

Ilustracje inspirowane mozaikami z Wielkiego Meczetu Sultana Kabusa w Maskacie:
Ryszard P. Kot

Copyright for the text & photographs © Anna Machowska-Wądołowska 2023

Copyright for this edition © JK Wydawnictwo 2023

Wszelkie prawa zastrzeżone. Żadna część tej publikacji nie może być powielana ani rozpowszechniana za pomocą urządzeń elektronicznych, mechanicznych, kopiujących, nagrywających czy innych, bez uprzedniego wyrażenia zgody przez właściciela praw.

ISBN 978-83-67604-65-9

Wydanie I, Łódź 2023

JK Wydawnictwo

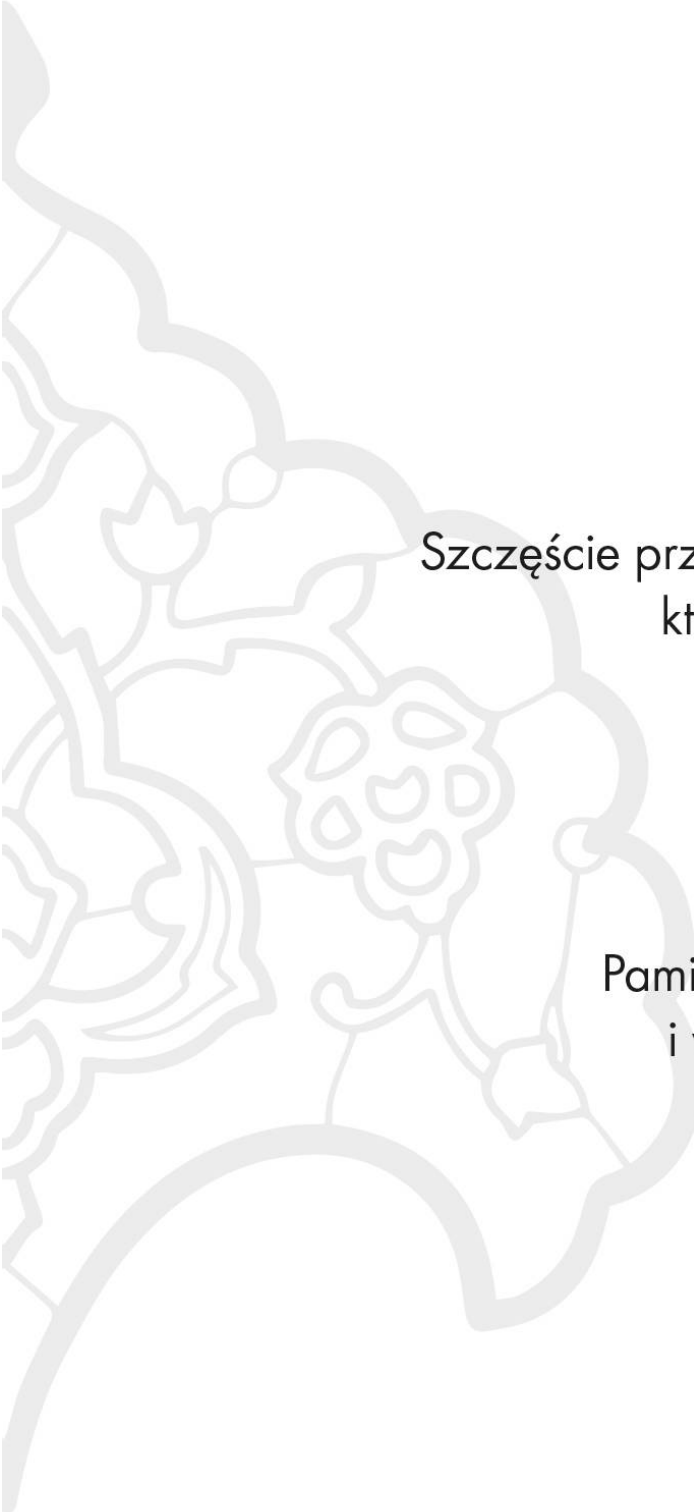
ul. Krokusowa 3, 92-101 Łódź

tel. 42 676 49 69

www.wydawnictwofeeria.pl

Wersję elektroniczną przygotowano w systemie *Zecer*

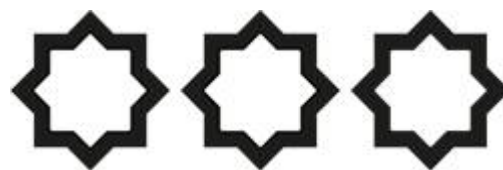
Niektóre imiona i szczegóły z życia opisanych w książce osób na ich prośbę zostały zmienione.



Szczęście przychodzi do tego,
kto za nim nie goni

prorok Mahomet

Pamięci małego Kejsa
i wszystkich innych
„dzieci grzechu”



Opowiem ci historię o hurysach, rajskich dziewczicach o wielkich czarnych oczach. Każda z nich ma trzydzieści trzy lata i jest nieskazitelna duchowo oraz cieleśnie. Hurysy żyją ukryte w namiotach, za zasłonami podobnymi do tych, za którymi skrywają swe twarze muzułmanki. Stworzone są z szafranu, piżma, ambry i kamfory. Są piękne jak rubiny i hiacynty. To niebiańskie małżonki, wieczne dziewice, które nasi mężczyźni otrzymają po śmierci.

Aby je poślubić, mężczyźni muszą jednak spełnić pewien warunek – być dobrymi za życia. Muszą o nas dbać, utrzymywać nas i szanować. Muszą być dobrymi synami, mężami i ojcami. Tylko wtedy otrzymają nagrodę w niebie.

Allah dał naszym mężczyznom kilka rad, jak powinni odnosić się do kobiet, aby zasłużyć na szczęście wieczne. Pierwsza z nich dotyczy tych najmłodszych – dziewczynek. Traktuj dobrze córki, którymi obdarował cię Allah, a pójdziesz do nieba. Kolejna wskazówka dotyczy żon. Prorok, który jest posłańcem Allaha, powiedział, że najlepsi mężczyźni, to ci, którzy dobrze odnoszą się do swoich żon. Następny przekaz adresowany do mężczyzn dotyczy wdów. Ten, który pomaga wdowom, robi to w imieniu Allaha. Ostatnie przesłanie, o którym chcę ci powiedzieć, dotyczy matek. Pewien mężczyzna zapytał proroka: kto jest w moim życiu najważniejszy i kto zasługuje na najlepsze traktowanie? Prorok odparł: po trzykroć matka. Dopiero potem ważny jest dla ciebie ojciec.

Nasi mężczyźni zrobią wszystko, by po śmierci dostać obiecane dziewice. Muszą więc być dla nas dobrzy. Nie wiedzą tylko jednego – że hurysy prawdopodobnie nie są żadnymi dziewczicami, tylko... zwykłymi rodzynkami.



Czarne metalowe wrota zdobione złotym ornamentem otwierają się powoli. Z oddali wylania się rezydencja wybudowana na wzór Pałacu Elizejskiego, choć ten omański twór jest nieco mniejszy od oryginału. Bliżej, po prawej stronie znajduje się okazały dom. Zostawiam go jednak za sobą, ponieważ mała postać stojąca w drzwiach pałacu położonego na wprost macha do mnie, bym podjechała właśnie tam. Mijam parking. Stoją na nim w równym rzędzie lamborghini, porsche, mercedesy, lexusy i terenowe toyoty. Zataczam koło pod rezydencją i hamuję. Kiedy wysiadam z samochodu, trafiam prosto w pięćdziesięciostopniowy upał. Nie na długo. Za wielkimi drzwiami w kolorze złota wita mnie przyjemny chłód. Wewnątrz budynku znajduje się pełna zieleni oranżeria, z fontanną, ławeczkami i egzotycznymi ptakami w złotych klatkach.

– To nasz mały raj – zwraca się do mnie nieznajoma. – Zapraszam na lewo, do damskiej części domu. Jestem siostrą Raszy, na imię mam Aziza. Rasza zaraz do nas dołączy. A teraz chodźmy do naszej siostry, która kilka dni temu urodziła dziecko. Wszystkie się nią opiekujemy.

Przechodzimy obok złotej windy. Z tyłu ogrodu widać kuchnię, w której krząta się kilka osób. Wchodzimy do pokoju, który przypomina apartament w pięciogwiazdkowym hotelu. Na środku stoi łoże z baldachimem. A w nim leży młoda kobieta.

– To nasza siostra, która właśnie urodziła synka – mówi Aziza. – Opiekujemy się nią, pozwalamy jej odpocząć i dojść do siebie po porodzie. Gdy trzeba, zabawiamy rozmową. Dziecko przynosimy tylko na czas karmienia. Pozwala to uniknąć depresji poporodowej. Wiesz, że u nas nie ma przypadków depresji poporodowej? Właśnie dlatego, że młode mamy otaczamy szczególną opieką. U was kobiety same muszą radzić sobie z macierzyństwem. U nas mają pomoc i towarzystwo.

Do pokoju wchodzi Rasza, która zaprosiła mnie, byśmy pożegnały się przed moim powrotem do Polski. To mój ostatni dzień w Omanie.

– *Salam alejkum*, dzień dobry, Aniu – wita mnie Rasza. – Bardzo się cieszę, że udało nam się tu spotkać.

Z Raszą spędziłyśmy wiele godzin na rozmowach, spotkaniach i przyjęciach w gronie kobiet. To dzięki niej mogłam studiować Koran w szkole szariat. Rasza jest moją nauczycielką i przewodniczką. Jak zwykle ubrana jest w sięgającą do kostek obszerną czarną tunikę zwaną abają,¹ a na głowie ma hidżab, chustę zakrywającą włosy, uszy i szyję. Jej

spokojne, lekko skośne oczy pozostają odsłonięte. Rasza chce przedstawić mi swoją rodzinę, a dokładniej kuzynki.

Po krótkim przywitaniu i złożeniu gratulacji świeżo upieczonej mamie Aziza oprowadza nas po salonach przeznaczonych dla kobiet. Na ścianach wiszą namalowane przez właścicielkę obrazy z omańskimi krajobrazami. Przedstawiają wypełnione wodą koryta rzek okresowych, zwane wadi, oazy pełne palm daktylowych, wydmy i morze. Jeden z obrazów różni się od pozostałych. Pokazuje uliczkę z domkami szeregowymi w Anglii.

– Dużo podróżowałam – tłumaczy Aziza. – Gdziekolwiek jestem, próbuję coś namalować. I zawsze odwiedzam galerie sztuki.

Salon, w którym się zatrzymujemy, ma kilka metrów wysokości i jest urządzony w stylu Ludwika XVI. Zasiadamy w wygodnych fotelach. Służba przynosi tacę ze słodyczami i kawę z kardamonem.

– Czy wiesz, co my, muzułmanki, myślimy o was, kobietach Zachodu? – pyta Aziza i zaraz sama na to pytanie odpowiada. – No to słuchaj. Zaczę od historii. Przed erą islamu bycie kobietą uważano za hańbiące, córka była dla ojca powodem do wstydu. Noworodki płci żeńskiej często palono żywcem albo zakopywano na pustyni, a dorosłe kobiety traktowano jak towar. Kiedy pojawił się prorok, niech Allah ma go w swojej opiece, wszystko się zmieniło. Od tej pory w naszej tradycji kobieta jest jak delikatny kwiat. To istota, której należy się pomoc i szacunek, co nam, kobietom, bardzo odpowiada. Codziennie przypominamy o tym naszym mężom – tłumaczy z uśmiechem.

Druga z kobiet częstuje słodyczami i dolewa kawy do filiżanki.

– Czy zdajesz sobie sprawę, że ponad tysiąc czterysta lat temu islam dał tutejszym kobietom prawa, na które kobiety Zachodu czekały aż do dwudziestego wieku? – pyta ponownie Aziza. – My już od czasów proroka, niech Allah ma go w swojej opiece, możemy być właścicielkami ziemi, domów i wielkich przedsiębiorstw. Wy otrzymałyście te prawa dopiero w poprzednim stuleciu.

Rasza tym razem trzyma się z boku. Oddaje głos starszym siostrom. Uważnie słucha tego, co mówią, i śledzi moje reakcje.

– Opowiem ci o pierwszej żonie proroka, niech Allah ma go w swojej opiece – kontynuuje Aziza. – Chadidża, bo tak miała na imię, była silną, niezależną, inteligentną i bardzo bogatą kobietą. Prowadziła z sukcesem wielki biznes, zajmowała się handlem, osobiście kierowała pracującymi dla niej mężczyznami. Wzięła za męża Mahometa, gdy ten miał tylko

dwadzieścia pięć lat, a ona czterdzieści. Sama zaproponowała mu małżeństwo. Żyli razem aż do jej śmierci. Przez te dwadzieścia pięć lat prorok, niech Allah ma go w swojej opiece, nawet nie zerknął na inną kobietę. Dopóki Chadidza żyła, pozostał jej wierny. Kochał ją i szanował. Była dla niego bardzo ważna. Kiedy wiele lat później umierał, wciąż miał na ustach jej imię. Po śmierci Chadidzy Mahomet opiekował się wieloma starszymi kobietami, dawał przykład innym i uczył, że każdej z nas należy się szacunek.

Kobiety rozpalają żywicę kadzidłowca, zwanego tutaj frankincense. Zresztą sama żywica też jest w ten sposób określana. Pośrodku pokoju rozkładają drewniany stojak, pod który wkładają kadzielnicę z dymiącą żywicą. Chwilę później po całym pomieszczeniu rozchodzi się zapach przypominający aromat kadzidła używanego w kościołach. Kobiety jedna po drugiej stają nad drewnianą konstrukcją. Kadzielnica znika kolejno pod ich abajami. Ciepło żarzących się żywicznych grudek idzie wprost między nogi. Z szerokich rękawów i okolic szyi wydobywa się pachnący biały dym. Nie jestem przygotowana do okadzania, na dzisiejsze spotkanie przyszedłam w wąskich spodniach, więc kobiety wkładają mi rozpaloną kadzielnicę wprost pod bluzkę. Czuję na ciele żar wydobywający się z kadzidła, dym szczypie mnie w oczy. Gospodynie jednak wiedzą, co robią, i ostatecznie żadna z nas nie staje w płomieniach. Po okadzeniu wracamy do rozmowy.

– Bywałam w Europie nieraz – mówi Aziza. – Podczas tych podróży wielokrotnie widziałam, jak dźwigałyście swoje torby z zakupami, i za każdym razem było mi was żal. My mamy od tego służące. To one sprzątają nasze domy, pomagają nam w wychowywaniu dzieci, gotują naszym rodzinom. A my mamy czas, by zadbać o siebie, mamy czas dla nas samych i naszych mężów, którym pozwalamy się traktować jak kruche, piękne kwiaty. Popatrz na chalidzi, kobiety mieszkające w Zatoce Perskiej. Na ulicy nikt nas nie zaczepia, bo jeśli chcemy, zakrywamy twarz, żeby nikt nie mógł jej zobaczyć. Żaden mężczyzna nie ma prawa nas obrazić, nie może zatrzeć na samochód prowadzony przez kobietę, bo kobiecie trzeba pomagać. Obcy mężczyzna nie ma prawa dotknąć kobiety ani nawet usiąść obok niej na krześle. W sklepie mamy pierwszeństwo. Żadna z nas nie będzie tłoczyć się z mężczyznami w kolejce do kasy. Po prostu stanie przed nimi, oczywiście razem ze swoją służącą. Jeśli pracujemy, to wypłata jest tylko dla nas. Nie musimy wydawać pieniędzy na dzieci czy dom. Od tego

jest mąż, to jego obowiązek. Musisz też wiedzieć, że zanim dojdzie do ślubu, zabezpieczamy swoje prawa kontraktem. Ustalamy w nim, co dostaniemy w związku z zawarciem małżeństwa oraz co nam się będzie należało, jeśli dojdzie do rozwodu. Wasi mężczyźni mają kochanki, co u nas jest zabronione. Oczywiście nasi mężowie mogą poślubić kolejne kobiety, ale muszą zagwarantować im to samo co nam. Dom, samochód, złoto, edukację dla dzieci. Nie każdego na to stać. Im więcej posiada pierwsza żona, tym trudniej zapewnić to samo drugiej. Jeśli już dojdzie do ślubu z drugą kobietą, co zresztą zdarza się coraz rzadziej, to mąż zachowuje wszystkie swoje obowiązki wobec pierwszej żony. Nie zostawi jej dla drugiej, jak to się często zdarza u was. To daje nam bezpieczeństwo i spokój. Pomyśl nad jeszcze jednym... Dlaczego tyle kobiet z całego świata przyjmuje islam? Czy robiłyby to, gdyby nasza religia była nieprzyjazna kobietom?

Aziza przygląda mi się wnikliwie. Wie, że piszę książkę o kobietach, które spotkałam w Omanie. Wie, że spora część mojej pracy będzie dotyczyć islamu.

– *Ma sha Allah*, z woli Boga, nasza siostra Anna wkrótce sama przyjmie islam. – przerywa ciszę Rasza. – Będę czekać na tę radosną nowinę.

– *In sha Allah* – dodają głośno kobiety.

Pod koniec spotkania Rasza podaje mi małe zawiniątko na pamiątkę. To srebrna bransoleta wykładana błyszczącymi kamieniami. Kobiety życzą mi, by Allah prowadził mnie przez dalsze życie.

Moja bluzka jeszcze po powrocie do kraju pachnie frankincense.



Oman przypomina kształtem bumerang. I rzeczywiście jest tak, że gdy raz się go odwiedzi, to chce się do niego wrócić. Na stronach Ministerstwa Turystyki można przeczytać, że Sułtanat Omanu to Atlantyda Piasków kusząca echem starożytnego stylu życia, to kwintesencja Arabii o zapierającej dech w piersiach przyrodzie i istny kalejdoskop historii, legend i przygód. To kraj uznany za jeden z najbezpieczniejszych i najspokojniejszych na świecie. To miejsce o fascynującej kulturze i bogatej historii liczącej ponad pięć tysięcy lat. Omańczycy zaś to jeden z najbardziej gościnnych narodów na świecie.

Oman to na pewno kraj życzliwych ludzi, którzy bezinteresownie ugoszczą każdego wędrowca. To wreszcie kraina kobiet głośno deklarujących, że są szczęśliwe.

Arabki są ciekawe kobiet, które przyjeżdżają z obcych krajów. Chętnie z nami rozmawiają, dopytują o nasze życie, pragnienia, zwyczaje. Szanują naszą religię. Zapraszają do domów i opowiadają o swoim życiu.

Czyżby były bardziej tolerancyjne i otwarte niż my?

W Omanie spędziłam dwa lata. W tym czasie poznałam wiele kobiet kryjących się pod czarnymi abajami i hidżabami. Z niektórymi zaprzyjaźniłam się i nasza relacja trwa do dziś.

Ta książka jest opowieścią o kobietach takich jak ty czy ja. O ich religii, przekonaniach, marzeniach i codziennych problemach. Dotyka życia prostych kobiet gór, przywiązanych do tradycji beduinek oraz buntowniczek. Pojawiają się tu panny z bogatych domów i te, które nie mają nic. Poznasz też na jej stronach Polki, które w latach siedemdziesiątych związały swoje życie z Arabami, oraz przedstawicielki zachodniego świata, które w Omanie szukają szczęścia, duchowego spełnienia i miłości.

To wycinek z życia grupy kobiet, z którymi spędziłam wiele godzin, dni i miesięcy. Każda zawarta w tej książce historia – choćby brzmiała jak baśń czy fikcyjna opowieść – opiera się na tym, co usłyszałam od moich bohaterek. Opisy uczuć i przemyślenia kobiet powstały na podstawie wspomnień moich rozmówczyń. W książce starałam się jak najwierniej oddać rzeczywistość i klimat minionych wydarzeń.



AMIRA

Demony kryją się w górach

Omańska telewizja intryguje mnie, od kiedy włączyłam pierwszy z dwóch nadających tu rządowych kanałów. Z nieukrywaną fascynacją oglądam tutejsze teledyski. Przypominają filmy Bollywood połączone z afrykańskim disco. Kobiety w długich kolorowych dżalabijach i mężczyźni z perfekcyjnie przystrzyżonymi brodami, ubrani w sięgające kostek śnieżnobiałe diszdasze, tańczą i śpiewają o dostatku, tolerancji oraz wspaniałej historii kraju. Według tego, co widzę w telewizji, znalazłam się w krainie mlekiem i miodem płynącej. Często pojawia się uśmiechnięty, dobry sułtan i wdzięczni, szczęśliwi poddani. Widać rozwój, powstające fabryki, miasta, drogi i porty. Wiadomości z reguły mają pozytywny wydźwięk, pokazują sukcesy rządzących oraz zwykłych ludzi. Jest też kilka programów o tematyce religijnej – quizy z wiedzy o życiu proroka Mahometa, religijne talk-show oraz pogadanki dla najmłodszych na temat wiary.

W Polsce przez prawie dwadzieścia lat zajmowałam się produkcją programów telewizyjnych i właśnie zamarzyłam o pracy w telewizji omańskiej, mając nadzieję, że moje wieloletnie doświadczenie będzie tu coś znaczyć. Po wymianie kilku maili zostaję zaproszona na spotkanie. Przyjmuje mnie pochodzący z Jordanii doradca do spraw rozwoju Oman TV, niejaki Mustafa. Rozmawiamy o pomysłach na programy, które mogłyby być emitowane podczas ramadanu. Tutejsze kanały telewizyjne przygotowują na ten święty czas bogatą ofertę. Być może telewizja będzie otwarta na program w języku angielskim dla mieszkających tu obcokrajowców. Na to liczę.

Zostaję przedstawiona kilku dyrektorom. Wspólnie oprowadzają mnie po wielkim gmazysku. Z dumą pokazują redakcję wiadomości, montażownię, pokoje grafików i nowoczesne studia. Jeden z mężczyzn podkreśla, że w zeszłym roku przeznaczyli 120 milionów dolarów na nową infrastrukturę

techniczną. Studia telewizyjne lśnią czystością, pachną nowością i dużą gotówką. Krzątają się po nich eleganccy mężczyźni w odprasowanych diszdaszach, patrząc z zaciekawieniem na niecodzienną delegację złożoną z dyrektorów i cudzoziemki. Grzecznie się kłaniają i opowiadają o swojej pracy. W dużym open spacie pracuje kilka kobiet, prawie wszystkie mają na sobie czarne abaje i chusty dokładnie zakrywające włosy. Tylko jedna jest ubrana inaczej. Nosi jeansy, biały T-shirt, szarą marynarkę i ma odkryte włosy. Jestem pewna, że nie jest Omanką. To właśnie do niej prowadzi mnie Mustafa.

Spod burzy czarnych loków spoglądają na mnie bystre, duże oczy. Amira sprawia wrażenie pewnej siebie. Po chwili dowiaduję się, że nie jest zatrudniona w telewizji. Pojawia się tu od czasu do czasu, by rozmawiać o sztuce. Jest znaną w Omanie performerką. To o niej miałabym zrobić program. Amira ma dwadzieścia osiem lat, choć wygląda na nieco więcej. Mówi spokojnie, dość monotonna, ani głośno, ani cicho. Nad każdym zdaniem zastanawia się chwilę, zanim je wypowie. Wydaje się uduchowiona, trochę nieobecna, jakby stąpała nad ziemią. Okazuje się, że jednak pochodzi z Omanu.

Po krótkiej wymianie zdań na temat planów telewizyjnych moja nowa koleżanka kieruje rozmowę na temat związków, a konkretnie swoich związków i swoich mężczyzn. Znamy się zaledwie godzinę, a ona już zalewa mnie informacjami ze swojego życia osobistego. Dowiaduję się, że chce założyć rodzinę, choć nie za wszelką cenę i nie natychmiast. Ofert miała sporo. Tutejsi mężczyźni po prostu dzwonią i proponują ślub, ale Amira daje im kosza. Jest wykształcona, ma dobrą pracę, nie chce być zależna od kogokolwiek. Szuka mężczyzny, który da jej miłość, a zarazem wolność. Tacy mężczyźni w krajach Zatoki Perskiej nie zdarzają się często, może nawet nie ma ich wcale.

– Przez kilka lat mieszkałam w Europie i to kompletnie mnie odmieniło. Miałam okazję spojrzeć z dystansu na mój kraj i tutejsze zwyczaje – tłumaczy.

Spacerujemy po korytarzach rządowej stacji i rozmawiamy o tym, o czym rozmawiają miliony kobiet na świecie: o miłości, relacjach i facetach.

– Gdy noszę abaje, mężczyźni zwracają na mnie większą uwagę. Do tego makijaż. Arabowie bardzo lubią, gdy kobieta jest umalowana. No i ważna jest chusta na głowie, tylko w niej możesz zostać potraktowana jak

kandydatka na żonę. Jeśli jesteś bez chusty, to Arabowie myślą o tobie jak o kochance. Chodząc z odkrytą głową, dostawałam wiele propozycji.

Amira ma dziś mocno umalowane usta i jest bez chusty. Jej imię znaczy „przywódczyni”.

– Mężczyźni tutaj są jak wielbłądy – stwierdza nagle. – Oni zawsze chcą mieć więcej partnerek, niż mają. Mój znajomy z Arabii Saudyjskiej powiedział mi kiedyś tak: „Popatrz na wielbłądy. Jeden ma około dwudziestu samic”. Nie wiedziałas tego? – dziwi się Amira. – U wielu gatunków to jest norma. Dlatego w Arabii mówi się, że mężczyźni są jak wielbłądy. Nigdy nie jest im dość, nigdy nie są w pełni zadowoleni. Prawie każdy Saudyjczyk chciałby mieć cztery żony. A ja myślę, że idea posiadania czterech kobiet mogła się sprawdzić w czasach, kiedy żył prorok. Nie jestem pewna, czy jest to dobre teraz. Dodatkowo mężczyźni tutaj są zazdrośni, często bezradni. I, co najgorsze, słuchają własnej matki do końca jej życia.

Siadamy w przestronnej kafeterii. Amira zamawia kawę i stawia diagnozę, tym razem dotyczącą Europejczyków.

– Mężczyźni w Europie wydają się bardziej etyczni i niezależni – mówi. – Jak coś obiecują, to starają się dotrzymać słowa. Myślę też, że mężczyźni ze wschodu Europy są bardziej szczerzy niż ci z zachodu. Tak samo ci z północy Europy są bardziej uczciwi od tych z południa. We Francji, we Włoszech już są inni. Bardziej arabscy. Ale jest też druga strona medalu. Mężczyźni w Europie są bardzo dziecinni i wcale tego nie widzą. Są jak mali chłopcy, którzy bawią się dużymi zabawkami – mają prawdziwą pracę, prawdziwe domy i samochody, a nadal pozostają dzieciakami. Wydaje mi się, że są też egoistami. Chcą sprawdzić jak najwięcej kobiet, zanim podejmą decyzję. Kobiety zresztą robią podobnie. Dlatego nie wiem, z kim chciałabym się związać. Pracując w moim zawodzie, potrzebuję kogoś, kto da mi wolność. Tutejsi mężczyźni czegoś takiego nie przełkną. Oni szukają kobiet, które nie mają własnego zdania, są posłuszne i ładnie się uśmiechają. Taki układ zresztą pasuje tutejszym kobietom. Wiele z nich wychodzi za mąż, bo potrzebuje opieki. Wcale nie chcą pracować, nie chcą być niezależne. Dlatego myślę, że muszę opuścić ten kraj. Nigdy się w tym nie odnajdę. Muszę stąd wyjechać, inaczej zwariuję.

Po spotkaniu Amira odprowadza mnie na parking, gdzie zostawiłam samochód. Niespodziewanie radzi, bym szukała pracy gdzie indziej.

– Nic z tego nie wyjdzie, zobaczysz – ostrzega mnie. – Dzisiaj mówią, że chcą, ale od jutra zaczną cię zwodzić, aż sama zrezygnujesz. Masz duże doświadczenie, i to jest dla nich przeszkodą. Nie pozwolą, żeby biała kobieta mówiła im, co mają robić, choćby była od nich dużo mądrzejsza. Oni po prostu nie potrafią wprost odmówić. W kółko będziesz tylko słyszeć: *in sha Allah*, jak Bóg da. Aż sama się tym znudzisz i dasz sobie spokój.



Kobiety wchodzące do restauracji mają ostry makijaż i buty na wysokim obcasie. Obie ubrane są w eleganckie, przewiązane w pasie abaje. Każda z nich ma co prawda chustę na głowie, ale zarzuconą w taki sposób, by odsłonić bujną grzywkę. Czekam na Amirę i obserwuję, jak zajmują sąsiedni stolik. Od czasu wizyty w omańskiej telewizji regularnie spotykam się z Amirą. Cały czas wierzę, że uda nam się zrealizować wspólny projekt. Często umawiamy się przy nadmorskim bulwarze w The Crêpe Café. Robią tu najlepsze naleśniki w Maskacie, na słodko i na słono. Do tego serwują pyszne, świeżo wyciskane soki owocowe. Z restauracji roztacza się widok na sąsiadującą z bulwarem plażę. O każdej porze roku jest tu pełno klientów. W rogu sali siedzą dwaj mężczyźni ubrani w śnieżnobiałe diszdasze. Z daleka czuć od nich zapach perfum. Kobiety zajmują stolik kilka metrów od nich. Panowie śledzą je wzrokiem, aż wreszcie cała czwórka zanurza się w ekranach swoich telefonów. Obserwując ich, trudno się oprzeć wrażeniu, że piszą do siebie nawzajem. Panie wysyłają wiadomości do panów i na odwrót. To ich sekretna randka. Nie mogą być widziani razem, więc siedzą osobno. Tak, by nie rozgniewać rodziny i samego Allaha.

Amira również kontaktuje się ze znajomymi mężczyznami za pomocą mediów społecznościowych. Po kilku minutach przychodzi na umówione spotkanie. Nie widziałyśmy się prawie od miesiąca. Kiedy się pojawia, wprost promienieje ze szczęścia. Jak nigdy przedtem, ma zarzuconą na siebie abaję i rozprostowane u fryzjera włosy. Wygląda kwitnąco. Po kurtuazyjnej wymianie uprzejmości moja znajoma przechodzi do rzeczy.

– Muszę podzielić się z tobą wesołą nowiną – mówi z szerokim uśmiechem. – Stało się coś niesamowitego.

– Co takiego? – Zżera mnie ciekawość.

– Mam nowego chłopaka. – Amira prawie podskakuje na krześle i wyciąga telefon, żeby pokazać zdjęcia.

Z ekranu patrzy na mnie młody Arab ubrany w jeansy i luźny T-shirt. Okazuje się, że Amira i jej wybranek uznali, że są parą, wymieniwszy kilka wiadomości na Facebooku. Pamiętają się z czasów studiów w Kuwejcie, które ukończyli pięć lat temu. Widzieli się wtedy kilka razy na korytarzu uczelni. Niedawno odnaleźli się przez media społecznościowe i wspólnie stwierdzili, że są sobie pisani.

– Niedługo się spotkamy – chwali się Amira. – Lecę służbowo do Abu Zabi i on przyjedzie tam zobaczyć się ze mną. Zdaję sobie sprawę, jak w Omanie patrzy się na kobiety, które decydują się na spotkanie z mężczyzną bez świadków – dodaje od razu. – A jednak chcę zaryzykować. Wiem, że większość tutejszych mężczyzn nie poślubi kobiety, która pozwoliła im na intymne spotkanie. Ale to jest głupie, bo w takim wypadku nie masz szans poznać człowieka, za którego wychodzisz. Oni tu wierzą, że to Bóg wybiera i że jego decyzje są najlepszym, co może nas spotkać. A ja chcę czuć motyle w brzuchu teraz, nie po śmierci, jeśli trafię do nieba. Jestem młoda, chcę wiedzieć, z kim się na stałe wiąże. Byłam kiedyś w związku z pewnym Omańczykiem. Cały czas się bał, że go rzucę. To byłoby dla niego potwarz. I nagle, pewnego dnia powiedział mi tak: „Amiro, zdecydowałem się na małżeństwo”. I po chwili dodał: „Z kimś innym”. Tak po prostu, pewnego dnia, będąc jeszcze ze mną, oświadczył się dziewczynie, której w ogóle nie znał. Wybrała ją matka i w związku z tym on uznał, że to wspinała kandydatka na żonę. Powiedziałam mu: „Dobrze, idź”. I poszedł, poprosił ją o rękę, ale ona mu odmówiła. Ta dziewczyna wiedziała, że on się ze mną spotyka, i nie chciała takiego męża. Bo jeśli spotykał się ze mną przed ślubem, to znaczy, że może zdradzać ją po ślubie.

Za oknem palmy wyginają się na wietrze. Amira przez chwilę patrzy na drzewa w zamyśleniu.

– Jestem tu przegrana – wyznaje wreszcie. – Tak jest ze wszystkimi kobietami z naszego regionu, które przekroczyły tę cieką czerwoną linię. Jeśli któraś chaliidzi pozwoli na więcej, niż jest przyjęte, na przykład na pocałunek, to przestaje być kandydatką na żonę. A ja mam problem, bo jestem zbyt pewna siebie. Oni takich kobiet nie znoszą. Mojej rodzinie też nie spodobałoby się, gdyby się dowiedzieli, że chodzę na imprezy albo że

się z kimś spotykam. Dlatego wracam do domu zawsze przed dwudziestą pierwszą trzydzieści. Tak, by rodzina miała poczucie, że pozostaję pod ich nadzorem. Nie chcę ich prowokować. Rodzina wie, że dużo pracuję, mam więc wymówkę, ale ostatnio brat przeszukiwał mój samochód. Mówił, że musi przeparkować, ale widziałam, że grzebał w moich rzeczach. On ma dwadzieścia pięć lat i spotyka się z kimś. On może, a ja nie. Staram się, żeby moi bliscy nie mieli nade mną kontroli, ale jednocześnie, by czuli, że mnie kontrolują. Żeby myśleli, że jestem dobrą dziewczyną.



Dwa miesiące później spacerujemy z Amirą nadmorską promenadą w dzielnicy Maskatu o nazwie Azaiba. To miejsce położone na zachód od centrum stolicy Omanu. Oprócz Omańczyków żyje tu wielu przyjezdnych. W jednym z domów otoczonych wysokim murem mieszkam też ja z mężem Mariuszem i synem Filipem. Po prawej stronie sąsiadujemy z rodziną z Iranu, po lewej z Indii, naprzeciwko i za tylnym ogrodzeniem mieszkają Omańczycy. Azaiba pełna jest okazałych, ukwieconych willi, między którymi lubię spacerować. Do plaży mam pięć minut na piechotę i właśnie tam umawiam się z Amirą, która niedawno wróciła z wyprawy do Abu Zabi.

Jest wieczór, rybacy rozłożyli maty i rozsiedli się na nich z dziećmi. Odpoczywają, rozmawiają, popijają kawę. Dzieci grają w karty albo kopią piłkę. Wokół nas jest dużo ludzi, ale to sami mężczyźni i chłopcy. Kobiety siedzą w domach. Mijamy sprzedawcę lokalnego specjału, myszkaku. Myszkak to szaszłyk z owoców morza lub koziego mięsa maczany w sosie tamaryndowym. Jest lekko kwaśny i pikantny. Amira twierdzi, że myszkak można kupić tylko w Omanie.

Widzę, że od naszego ostatniego spotkania moja znajoma wyraźnie posmutniała. Nie jest tą samą dziewczyną, z którą rozmawiałam w nadmorskim The Crêpe Café.

– No dobrze, powiedz, co się dzieje – mówię.

– Pamiętasz tego chłopaka z Kuwejtu? Wyobraź sobie, że nie dojechał na umówione spotkanie i zerwał ze mną kontakt. Wcześniej zdążył mi się oświadczyć na messengerze. Chciał mnie za żonę, ale jak już mieliśmy się

spotkać, to się wycofał. I nie chodzi o to, że nie byłam dziewicą. On o tym wiedział, a mimo to mi się oświadczył.

– Ale on nigdy nie spotkał się z tobą sam na sam. Nawet nie widział cię z bliska.

– Tak, ale pamiętał mnie jeszcze z czasów studiów. Nie znaliśmy się osobiście, ale widział mnie parę razy, znał moich znajomych i wiele o mnie słyszał. Wiedział, że wcześniej się z kimś spotykałam. Mimo to mi się oświadczył. Powiedział wyraźnie: „Chcę się z tobą ożenić, chcę być z tobą”.

– Chciał cię poślubić i nagle zmienił zdanie? – pytam. – Co się więc stało?

– Kupił bilet na samolot, przesłał mi jego zdjęcie. Przyleciał do Dubaju, wypożyczył samochód i zadzwonił do mnie, że już jedzie. Powiedziałam mu, żeby uważał na drodze, bo w Dubaju bywa niebezpiecznie. Jest kilka pasów ruchu i trzeba być ostrożnym. To wszystko. No więc wyruszył w moją stronę i zniknął. Czekałam na niego. Dzwoniłam, ale już nie odpowiadał. Po jakimś czasie skontaktowałam się z nim przez internet. Zapytałam go, dlaczego nie przyjechał. I wiesz, co mi w końcu odpisał? „Rzuciłaś na mnie czary”. Przysięgam, tak to ujął. Powiedziałam mu, że nie odprawiałam żadnych czarów, ale nie uwierzył. Okazało się, że po drodze miał wypadek i odebrał to jako ostrzeżenie. Nie miałam więc szansy nawet go zobaczyć i poznać bliżej.

– To chyba jednak dobrze, że nie wyszłaś za niego za mąż – mówię – skoro on wierzy, że mogłaś rzucić na niego czary.

– Tak, to dobrze – odpowiada Amira i po chwili dodaje: – Ale ja tego naprawdę nie zrobiłam. Te czary musiał rzucić na niego ktoś inny. Tylko nie wiem kto.

– Amiro, czy ty wierzysz w takie rzeczy? – pytam.

– Wiem, że są ludzie, którzy zajmują się magią. Oni są wszędzie. Uważaj na nich. Mogą wyrządzić wiele zła.



– Czarownica może zjeść człowieka, uśmiercić go albo zabrać mu duszę i wprowadzić w jego ciało inną duszę. – Amira sporo wie na temat magii.

Podczas kolejnego spotkania odkrywam nowe oblicze mojej znajomej. Kupujemy w lokalnej kawiarni dwie duże latte na wynos i ruszamy na spacer po okolicy. Amira wprowadza mnie w swój magiczny świat.

– Czarownica może stworzyć odwzorowanie człowieka i podmienić żywą istotę na to odwzorowanie – tłumaczy. – Na przykład może skopiować twoje dziecko i ci je podrzucić, zabierając twoje. Czyli twoje dziecko nie będzie twoim dzieckiem. Czy to nie byłoby przerażające? Powinnaś też bać się hien. Jeśli w pobliżu twojego domu pojawi się hiena, to potem przyjdzie tam także wiedźma, która stąpa po śladach tego zwierzęcia. I ta wiedźma ściągnie na was nieszczęście – ostrzega Amira. –

Nigdy nie wiesz, kto jest czarownicą albo czarownikiem. Oni wyglądają jak normalni ludzie. W mojej rodzinie było wiele tajemniczych zdarzeń, za którymi kryło się coś większego. Co prawda religia zabrania czarnej magii, i nasz rząd też jej zabrania, ale magia jest wśród nas.

Spacerując wzdłuż plaży i popijając kawę, Amira opowiada o magii jak o czymś, co istnieje w realnym życiu, czymś namacalnym i oczywistym. Mówi spokojnie, bez emocji patrząc na zatokę, która jest dziś wyjątkowo senna.

– Raz poszłam do szajcha zajmującego się magią, bo ktoś zaczął odprawiać nad naszą rodziną czary. Coś rozkładali przed naszym domem. Wierzę, że szajch to ktoś, kto ma dar przepowiadania przyszłości. To ktoś, kto ma wiedzę i bogate życie duchowe. Jego dusza jest silna. Zazwyczaj to ktoś starszy. Pamiętam, że ten szajch wziął moją rękę i czytał z niej. Powiedział: „Jesteś oświecona, widzisz rzeczy, które się dzieją, masz w sobie moc. Możesz to wykorzystać w swoim życiu. Możesz przepowiadać przyszłość i możesz wpływać na ludzkie życie. Możesz pomagać, ale możesz też ranić. Od ciebie tylko zależy, jak wykorzystasz swój dar”. Właściwie czułam to od dawna. Na przykład czasem czułam silną potrzebę, by do kogoś zadzwonić. Mam znajomego w Bahrajnie. Kiedyś poczułam, że muszę się z nim skontaktować. Zadzwoniłam do niego i zapytałam: „Czy u ciebie wszystko w porządku? Czy z twoją rodziną wszystko okej?”. Czułam, że dzieje się coś złego. On odparł wtedy, że wszystko w porządku. Po godzinie oddzwonił i powiedział, że umarł mu ojciec. Podobnie czułam przed spotkaniem z tym Kuwejtczykiem. Powiedziałam mu: „Uważaj, bo drogi w Emiratach są bardzo ruchliwe”. Czasem czuję takie rzeczy, ale moja moc słabnie, kiedy za bardzo koncentruję się na przyziemnych sprawach. Babcia powiedziała mi kiedyś,

że jeśli chcę czuć więcej, muszę być czysta. By być oświeconym, trzeba być ascetą. Ja nie jestem ascetką. Jeśli palisz albo pijesz alkohol, to przestajesz czuć. Tak samo, jeśli uprawiasz seks. Bo zajmujesz się rzeczami ziemskimi, a więc tracisz te nadprzyrodzone.

Słońce nad zatoką powoli zaczyna zachodzić. Z pobliskiego meczetu słychać nawoływanie do modlitwy. Grupki mężczyzn w białych diszdaszach powolnym krokiem zacierają w stronę, z której niesie się dźwięczne Allahu Akbar.

– Nie rozmawiaj tu z ludźmi o magii – ostrzega nagle Amira. – Możesz trafić na kogoś złego, i ta osoba może cię skrzywdzić. W domu mojej babci ze strony mamy wydarzyło się coś takiego. Ona była oświecona, dużo czuła. To było w czasach, kiedy jej syn, a mój wujek, był chłopcem. Jako dziecko sprzedawał na targu jajka. Któregoś dnia odmówił ich sprzedaży kobiecie, która była dla niego niemiła, i ona potem okazała się wiedźmą. Kiedy wujek wieczorem położył się spać, czarownica pojawiła się u niego w sypialni. Przeszła przez ścianę i chciała go zabrać. Moja babcia, która czuje takie rzeczy, ocknęła się nagle i zaczęła krzyczeć. Obudziła dziadka i czarownica po prostu zniknęła. Rozpłynęła się w powietrzu. Moja babcia zawsze krzyczała, kiedy czuła, że przychodzi do domu jakiś duch. Mówiła: „Ktoś tu jest”, ale te demony nie robiły jej krzywdy, bo miała wokół siebie dobre duchy, które ją ochraniały.

Amira siedzi oparta o murek przy bulwarze. Patrzymy na wyjątkowo spokojną dziś zatokę. Nie ma fal, nie ma też wiatru, który choć trochę ochłodziłby gorące powietrze.

– Duch może, na przykład, zakochać się w kobiecie i nie chce opuścić jej ciała – kontynuuje Amira. – Jeśli ucieknie, usłyszawszy słowa Koranu, to prawdopodobnie był zły, skoro przestraszył się Boga. Pamiętam pewne zdarzenie z mojego domu. Siostra mojej babci podczas rodzinnego spotkania jadła popcorn. Nagle duch wszedł w jej głowę. Byłam wtedy dzieckiem, miałam około dziesięciu lat. Siostra babci zaczęła pluć popcornem i mówić w bardzo dziwnym języku. Jakby zły duch przemawiał jej ustami, krzyczała i wyglądało to strasznie. Moja babcia zaczęła wtedy czytać na głos Koran i duch odszedł. To wszystko trwało około godziny. Ludzie cały czas odprawiają tu czary, rzucają uroki i wierzą, że w ten sposób mogą zmienić swoje życie albo wpłynąć na życie innych. Wierzymy w dobre i złe duchy, podobnie jak chrześcijaństwo. Kobieta, która chce poślubić mężczyznę, stara się rzucić na niego czar. Robi to z pomocą

szajcha. Prosi go, by zacczarował mężczyznę tak, aby był do końca życia w niej zakochany. Wielu ludzi wierzy też w złe spojrzenie, czyli w złe oko. Jeśli ktoś spojrzy na ciebie, mając złą intencję, może rzucić na ciebie zły czar, może cię skrzywdzić. Dlatego sporo ludzi nosi tu amulet. To może być zapisany werset Koranu albo ząb jakiegoś zwierzęcia, który ma chronić przed urokami. Ludzie wkładają taki amulet do materiałowego woreczka albo oprawiają w skórę hieny.

Na szyi Amiry nie widzę amuletów. Moja znajoma często nosi za to delikatną złotą biżuterię albo stare omańskie srebro, które można kupić na targu w Matrah, mieście nieopodal Maskatu. Oficjalnie nikt w Omanie nie zajmuje się wytwarzaniem czy sprzedażą amuletów. Nietrudno znaleźć je jednak w internecie. Wśród amuletów są takie, które przynoszą dobrobyt, pieniądze, zwycięstwo. Są też amulety, które zapewnią zawarcie związku małżeńskiego z wybraną przez siebie osobą, pomogą znaleźć partnera seksualnego na każdy dzień życia, a nawet powiększą penisa. Arabskie talizmany chronią dom przed diabłem, duchami i czarną magią. Ale są też amulety o niebezpiecznym działaniu. Te mogą sprowadzić na innych nienawiść, problemy, rozwód, cierpienie czy zemstę. By działały, muszą być wykonane ręcznie, w odpowiednim czasie. Kiedy i jak, wiedzą tylko ci, którzy posiadli wiedzę tajemną.

– Mówi się, że ludzie oświeceni mają dobrego ducha – tłumaczy mi dalej Amira. – Taki dobry duch może do ciebie przyjść, jeśli masz dobre intencje. Myślę, że odziedziczyłam to po przodkach. Wierzę, że sama mogę wpływać na swoje przeznaczenie. Muszę wierzyć, że będzie dobrze, i z tą wiarą budować swoją przyszłość. To samospełniająca się przepowiednia. Przyciągasz to, o czym myślisz. Jeśli jesteś dobra, przyciągasz dobro. Jeśli masz w sobie dobro, dostajesz je od innych. A jeśli otrzymuję znaki mówiące o tym, że zbliża się coś złego, wtedy modlę się, żeby do tego nie dopuścić. Uważamy, że modlitwa do Boga może zmienić przeznaczenie. Dlatego sporo ludzi tu wierzy, że małżeństwo można wyprosić u Boga. Kobiety, które znam, nie mogą spotykać się z mężczyznami, nie mogą poznać ich przed ślubem, więc modlą się o dobrego męża. Wierzą, że dzięki żarliwej modlitwie zdobędą dobrego męża. Wracając jednak do demonów – stwierdza nagle z ożywieniem Amira – musisz wiedzieć, że one kryją się w górach. Dlatego właśnie w Omanie zawsze było więcej demonów niż w sąsiednich krajach. U nas jest dużo gór. W pobliżu jednej z nich, najwyższej w Omanie, zwanej Dżabal Szams, czyli Góra Słońca, znajduje

się stare miasto Bahla. Od lat uprawia się tam magię. Bahla jest znana w całej Arabii jako miejsce narodzin dżinów i czarnej magii. Wiele zamożnych rodzin podróżowało do tego miasta, by zasięgnąć porady czarowników. Ja też lubię tam jeździć. Gdy mam wolny dzień, wsiadam w samochód i wyruszam w góry. Bardzo mnie to wycisza. Jeśli chcesz, możemy kiedyś pojechać tam razem.



Abdullaha poznaję dzięki Zeinie, Omance, która czasem pojawia się na imprezach organizowanych przez Polaków w Maskacie. Abdullah był mężem jej zmarłej przed dwoma laty siostry. Mieszka w mieście duchów, w Bahli.

– Jeśli chcesz poznać prawdziwy Oman, jedź do Bahli – zachęca Zeina. – Tam ludzie żyją w bardzo tradycyjny sposób. Mój zięć z chęcią ugości ciebie i twoją rodzinę. Popytaj go o czary – śmieje się Zeina.

Po kilku dniach Abdullah przekazuje przez Zeinę zaproszenie dla całej mojej rodziny. Szykuje się pasjonujący weekend. Mąż i syn też się cieszą na tę wyprawę. Abdullah umawia się z nami zaraz po południowej modlitwie. Spotykamy się na parkingu największego meczetu w Bahli. Abdullah ma prawie siedemdziesiąt lat, długą siwą brodę i uroczą szparę między górnymi jedynekami. Ubrany jest w świeżutką, odprasowaną diszdaszę. Na przywitanie pyta, czy nie baliśmy się przyjechać, bo wielu ludzi omija Bahlę szerokim łukiem.

– Ludzie boją się czarowników, którzy tu mieszkają – mówi Abdullah poważnym głosem. – Bo wiecie, oni mogą mocno człowiekowi zaszkodzić, porwać dziecko, zacczarować albo sprowadzić nieszczęście.

Zanim jednak kończy zdanie, już widzę, że jego oczy się śmieją.

– O duchach i czarownikach dużo się tu mówi, ale dla mnie to bzdury. Wierzy w nie tylko ten, kto chce wierzyć. Ode mnie niczego się na ten temat nie dowiecie. – Po tym krótkim wstępie Abdullah wskazuje do swojej toyoty prado i poleca nam jechać za sobą.

Opuszczamy centrum miasta. Im bardziej się od niego oddalamy, tym niższe stają się budynki. Tutejsze domy są otoczone wysokimi murami, a ich wnętrza pozostają niedostępne dla ciekawskich oczu. Mijamy kobiety w kolorowych dżalabijach. Wszystkie mają włosy przykryte chustami

równie kolorowymi jak ich stroje. Przemykają między domami, za nimi biegają dzieci. Dziewczynki noszą długie sukienki zdobione koronkami bądź falbanami. Wyglądają jak małe księżniczki. Chłopcy noszą tradycyjne diszdasze albo kolorowe koszulki i jeansy.

Jak na pustynny kraj, miasteczko jest wyjątkowo zielone. Dużo tu akacji, bananowców i palm uginających się pod ciężarem daktyli. Wjeżdżamy w aleję wysadzaną po obu stronach palmami i zatrzymujemy się przed parterowym domem z ogromnym podwórkiem. Abdullah zostawia samochód w słońcu, oferując nam miejsce parkingowe pod zadaszeniem. To miłe z jego strony, bo wsiadanie do nagrzanego samochodu nie należy do przyjemności.

Ściągamy buty i wchodzimy do madżlisu, przestronnego pomieszczenia, które można porównać do salonu dla gości. W dużych domach urządzi się dwa takie pomieszczenia. Jedno przeznaczone dla mężczyzn, a drugie dla kobiet. Usytuowane są tak, by domownicy przeciwnej płci przebywający w domu nie mieli styczności z gośćmi, by mogli czuć się swobodnie. Madżlis Abdullaha ma około trzydziestu metrów kwadratowych. Na podłodze leży gruby dywan, przy ścianach umocowane są siedziska z miękkimi oparciami. Jest też dwudziestośmioletni telewizor, przy nim, na niskim stoliku czekają na nas owoce i ciasto domowej roboty.

Na ścianie naprzeciwko wejścia wisi zdjęcie gospodarza, serdecznie ściskającego dłoń Jego Wysokości Sułtana Kabusa. Sułtan pojawia się również po drugiej stronie pokoju, tym razem na tronie. Obok władcy Omanu wisi zdjęcie podpisane „Maskat 1971”. Spogląda z niego poważny młodzieniec w mundurze. To Abdullah chwilę po przyjęciu do Królewskiej Omańskiej Policji.

W madżlisie są z nami trzej synowie Abdullaha. Mężczyźni wstają, by się przywitać. Mój mąż i syn podają im ręce, ja zgodnie ze wskazówkami Zeiny witam się tylko skinieniem głowy. „Unikaj jakiegokolwiek kontaktu z obcym mężczyzną – powiedziała mi. – Jeśli chcesz uszanować nasze zwyczaje i religię, po prostu nie wyciągaj ręki, wtedy nie znajdziesz się w niezręcznej sytuacji”. W pokoju unosi się silny zapach arabskich męskich perfum. Są słodsze od tych, do których przywykłam. Omańscy mężczyźni nawet w największym upale wyglądają świeżo i podobnie też pachną. Ich diszdasze są śnieżnobiałe, a orientalne zapachy ciągną się kilkanaście metrów za nimi.

Do madzlisu wchodzi Raja, najstarsza córka Abdullaha. Ma trzydzieści trzy lata i piękny, szeroki uśmiech. Ubrana jest w czarną abaję i chustę w cętki zakrywającą szyję, uszy oraz włosy. Raja, tak jak mężczyźni, mówi płynnie po angielsku.

Stolik z owocami zostaje przesunięty na środek pokoju i zaczynamy omański lunch. Na początek owoce, ciasto i kahwa, czyli kawa z kardamonem. Nie jest zbyt mocna, podaje się ją w malutkich porcelanowych szklaneczkach. W dobrym tonie jest wypić trzy, nie więcej. Oddając szklaneczkę, należy potrząsnąć nią na boki. To znak, że już dziękujemy. Inaczej gospodarze doleją nam kolejną porcję. Powiedział mi o tym mój mąż Mariusz, który na spotkaniu służbowym w siedzibie Królewskiej Omańskiej Policji nie mógł przestać pić kawy. Za każdym razem dolewano mu kolejną. Wypiwszy czwartą filiżankę, już nie odstawił naczynia. Po spotkaniu zapytał znajomego, dlaczego Omańczycy piją takie ilości kawy, i dowiedział się, że aby skończyć, trzeba po prostu pomachać filiżanką.

Po kawie i ciastkach stół z owocami i resztą słodkości łąduje pod telewizorem, a na środku pokoju, na dywanie Raja rozkłada sporą ceratę. Ustawia na niej misy z jedzeniem. Jest ryż z migdałami i rodzynkami, ryba, kurczak i sałatka. Gospodarze przygotowali dla nas widelce, choć sami jedzą posiłek palcami. My też próbujemy jeść samymi dłońmi i sprawia to wszystkim dużą frajdę. Jestem onieśmielona gościnnością i dbaniem o każdy szczegół. Wszyscy bacznie obserwują, czy czegoś nam nie trzeba, czy jedzenie smakuje, czy nie jest za zimno, czy jest nam wygodnie. Córka Abdullaha podaje soki i wodę. Gdy wszyscy już mają swoje porcje na talerzach, nakłada również sobie.

Po posiłku Raja zaprasza mnie do obejrzenia domu. Jako kobieta bez problemu mogę przejść na „damską stronę”. Z korytarza drzwi prowadzą do kilku sypialni umeblowanych w prosty sposób. Duża szafa, biurko, łóżka. Na ścianach wiszą obrazy z wersetami koranicznymi.

– „Zaprawdę, moja modlitwa i moje praktyki religijne, moje życie i moja śmierć należą do Boga, Pana światów! Koran sura szósta, aja sto sześćdziesiąta druga”[⁰⁰⁰²] – tłumaczy mi Raja. – Wieszamy wersety, by pamiętać, co jest najważniejsze w naszym życiu i jaki jest jego cel.

Na suficie w każdym pomieszczeniu wymalowane jest jasnoniebieskie niebo z białymi chmurkami, których na co dzień w Omanie brak. Każda sypialnia w tym domu posiada osobną łazienkę. Tę przy sypialni Abdullaha

urządzono w europejskim stylu, czyli wyposażono w sedes. Z kolei w toalecie przy pokoju Rai jest tylko otwór w podłodze. W żadnej z toalet nie ma papieru toaletowego, a jedynie kranik z wodą. Po każdym skorzystaniu z toalety muzułmanin musi się podmyć.

Kuchnia jest przestronna i od dołu do góry wyłożona kaflami. Krząta się w niej pomoc domowa. Na końcu budynku znajduje się madżlis dla kobiet. Damski salon jest trochę mniejszy niż ten, w którym nas ugoszczono, ale poza tym oba są do siebie podobne. Jeśli gospodyni zaprasza do domu kobiety, to właśnie w madżlisie dla kobiet mogą razem swobodnie spędzać czas. Jedzą, piją, rozmawiają, modlą się, wymieniają prezentami. Żaden mężczyzna nie ma prawa tam wejść.

Wycieczkę po domu przerywa telefon. Dzwoni Amira.

– *Salam alejkum*, pokój z tobą, Aniu. Jak się czujesz? Jak Filip? Jak u was?

Amira, zgodnie z tutejszym zwyczajem nie pyta o męża, a tylko o mojego syna.

– *Salam alejkum*, Amiro, u nas wszystko w porządku, dziękuję. Co u ciebie? Jak ty się czujesz?

– U mnie dobrze, *Alhamdulillah*, dzięki Bogu. Aniu, jesteś w domu? Mogłabym przyjechać?

– Coś się stało?

– Chciałam porozmawiać.

– Chętnie się spotkam, ale wieczorem – odpowiadam. – Wyobraź sobie, że jestem w Bahli, o której tyle mi opowiadałaś.

– Nie bałaś się? Uważaj na siebie. Pojechałaś do czarownika?

– Nie – śmieję się. – Zostaliśmy zaproszeni przez rodzinę naszej znajomej.

– To miłe. Daj, proszę, znać, jak wrócisz. Chętnie się z tobą spotkam.

Kończę rozmowę i wracamy z Rają do madżlisu. Abdullah siedzi pośrodku pomieszczenia, opowiada o swoim domu, a właściwie o dwóch domach. W Bahli mieszka jego pierwsza żona, w Maskacie ma drugi dom i drugą rodzinę. Według Koranu muzułmanin może mieć w tym samym czasie do czterech żon. Abdullah wiele lat miał jedną, Fatihe, tę w Bahli. Urodziła mu dwanaścioro dzieci. Całe życie poświęciła rodzinie. Abdullah tłumaczy, że posiadanie dwóch żon pozwala uniknąć zdrad. Jego zdaniem niemuzułmanie zdradzają swoje żony, bo mężczyzna ma większe potrzeby seksualne niż kobieta. Lepiej być uczciwym i sypiać z własną żoną niż

z kochanką. Prorok Mahomet też miał więcej niż jedną żonę. Abdullah poszedł w jego ślady. Gdy zakończył karierę w prokuraturze w Bahli, wrócił do pracy w Królewskiej Omańskiej Policji w Maskacie. Miał ponad pięćdziesiąt lat i wysoką pozycję społeczną. Wtedy to postanowił ożenić się ponownie. O swojej decyzji uczciwie poinformował Fatihę, a ta się zgodziła. Wszystko zgodnie z prawem. Wybranka Abdullaha miała niecałe dwadzieścia lat. Mężczyzna wspomina ich wspólne życie z uśmiechem na twarzy.

– Nasze wesele było wielkie i wystawne. Poznaliśmy się w Maskacie. Pracowałem wtedy w policji, a ona uczestniczyła w jakiejś kolizji. Musiała złożyć u nas zeznania. Powiedziałem, że z chęcią jej pomogę. Myślę, że nasze małżeństwo było dobre. Traktowałem ją jak królową.

Pierwsza żona Abdullaha, Fatiha, na co dzień nie miesza się w sprawy męża. W ciągu dnia każde z małżonków żyje swoim życiem, ale w nocy nadal dzielą sypialnię. Pytam Raję, jak jej mama poradziła sobie z tym, że jej mąż ożenił się po raz drugi.

– To nie było łatwe dla całej naszej rodziny. Tata zaczął pracę w Maskacie, a mama nie chciała tam jeździć. Tu jest jej dom, jej miejsce, dzieci i wnuki. Mama ma problemy ze zdrowiem, nie miała siły, żeby wciąż podróżować. Pewnego dnia ojciec wrócił do domu i powiedział mamie, że potrzebuje drugiej żony, która będzie prowadzić mu dom w Maskacie. Skoro ona nie może, to musi kogoś znaleźć. Co miała zrobić? Zgodziła się. Potem tata tłumaczył, że tak jest lepiej. Mówił, że chce mieć jeszcze więcej dzieci i że nie może sobie pozwolić na nielegalny związek. Było nam ciężko to zaakceptować, ale miał prawo do takiej decyzji.

– Czy ty też boisz się, że twój mąż poślubi kolejną kobietę? – pytam.

– Każda kobieta się tego boi. Każda o tym myśli. I nie znam takiej, która by tego chciała. Ale nic nie możemy zrobić. Mężczyzna ma większe potrzeby seksualne niż kobieta. Głównie dlatego żeni się powtórnie. Jeśli kobieta nie jest w stanie zadowolić męża seksualnie, to on może wziąć sobie drugą żonę.

Raja milknie na chwilę. Przyglądam jej się z uwagą.

– Wiesz, moja mama polubiła w końcu drugą żonę taty. Gdy tamta nagle zmarła, to bardzo po niej płakała – dodaje.

Po obiedzie brat Rai, Ahmed, ponownie podaje herbatę z imbirem i mlekiem oraz kawę z kardamonem. Raja zabiera się do krojenia owoców. Zagaduję Abdullaha o sułtana ze zdjęcia.

– Nasz sułtan od początku miał plan, jak odmienić ten kraj – mówi gospodarz. – Przecież jeszcze nieco ponad pół wieku temu wszędzie tu był tylko piach. Sułtan osobiście sprawdzał, czy prace postępują zgodnie z planem. Pamiętam, jak bez zapowiedzi przyjeżdżał do naszej rafinerii z bardzo małą obstawą i osobiście doglądał biznesu. Pamiętam też, że jak tworzyła się w Omanie policja, to przyjeżdżał incognito i rozmawiał z szeregowymi funkcjonariuszami o ich problemach i spostrzeżeniach na temat pracy. Po powrocie ze studiów w Anglii zdawał sobie sprawę, że nasz kraj potrzebuje w pierwszej kolejności wykształconych obywateli. Na początku trudno mu było przekonać ludzi, by posyłali swoje dzieci do szkoły. Pytali: „A po co nam to?”. On wiedział, że bez edukacji do niczego nie dojdziemy. W czasie, gdy sułtan zasiadł na tronie, byłem na studiach w Stanach Zjednoczonych. Tylko nieliczni Omańczycy cokolwiek wtedy studiowali, bo u nas nie było wyższych uczelni. Trzeba było jeździć za granicę. Ci, którzy wyjechali, nie byli potem zainteresowani powrotem do Omanu. Pamiętam, jak sułtan w latach siedemdziesiątych wygłosił jedno ze swoich najsłynniejszych przemówień. Wezwał wszystkich Omańczyków znajdujących się poza granicami kraju do powrotu. Posłał w świat ludzi, którzy w jego imieniu wyszukiwali Omańczyków i zachęcali ich do budowania ojczyzny na nowo. W ten sposób zjednoczył Oman i plemiona, które były ze sobą skłócone. Sułtan otworzył przed Omańczykami nowe perspektywy, dał wykształconym możliwość uczestnictwa w budowaniu kraju. Gdy wróciłem, dostałem pracę przy tworzeniu prokuratury, która wtedy była częścią policji. Wiedziałem też, że muszę zapewnić dzieciom jak najlepsze wykształcenie. Ludzie pytali mnie, po co wysyłam swoje dzieci za granicę na studia? Po co marnować pieniądze na takie rzeczy? Tym bardziej w wypadku córek. Przecież to niebezpieczne, dodawali. Teraz wszystkie moje dzieci są wykształcone, a mam ich w sumie czternaścioro. Dziewięciu synów i trzy córki od pierwszej żony oraz syna i córkę od drugiej. W naszej kulturze dzieci to największy skarb. To inwestycja w przyszłość. Dzisiaj już nie muszę się martwić o nowe ubrania, buty czy perfumy. Moje dzieci zapewniają mi wszystko, czego potrzebuję. Nie muszę ich o to prosić. Przynoszą same. Tak je wychowałem.

Biorę trzecią, ostatnią dolewkę kawy. Powoli wypada się żegnać. Dziękujemy za gościnę, a gospodarze odprowadzają nas przed dom. Pytam Abdullaha, czy ktoś mógłby jemu i mnie zrobić wspólne zdjęcie. Nie ma nic przeciwko. Do zdjęcia zaprasza też córkę Raję. Gdy o fotografię prosi

mój mąż, Raja usuwa się na bok. Kiedy się zegnamy, Raja po cichu mnie pyta:

– Czy twoje małżeństwo jest z miłości, czy było aranżowane?

– Z miłości – odpowiadam. – W naszym kraju małżeństwa aranżowane to rzadkość.

Opowiadam o koleżankach i kolegach w Polsce, którzy grubo po trzydziestce wciąż nie mogą się zdecydować na sformalizowanie związku. Raja słucha z mieszaniną niedowierzania i ciekawości. W końcu pyta:

– A czy oni... – Raja nie wie, jak dokończyć.

– ...sypiają ze sobą? – domyślam się, o co jej chodzi. – Tak, sypiają.

– To w takim razie macie w Polsce nielegalne dzieci, tak? – pyta z troską w głosie.

– U nas takich dzieci nie nazywa się nielegalnymi.

Raja otwiera oczy ze zdziwienia. W Omanie ciąża pozamałżeńska karana jest więzieniem. Jeśli do niej dojdzie, kobieta za wszelką cenę próbuje ją usunąć albo natychmiast wychodzi za mąż i oficjalnie rodzi się wcześniak.

– W takim razie jakie nazwisko dostaje dziecko, które nie pochodzi z małżeństwa?

Tłumaczę Rai zawilosci polskiego prawa rodzinnego i nadawania nazwisk dzieciom. Informacja, że samotna kobieta rodząca dziecko może nadać mu swoje nazwisko, jest dla niej kompletną nowością. W krajach arabskich pozycję człowieka wyznacza klan, do którego dana osoba należy. Podczas zawierania nowych znajomości zawsze pada pytanie: „Z jakiej kabili, czyli z jakiej rodziny, pochodzisz, kim jest twój ojciec?”. Nazwiska nie dziedziczy się tutaj po matce, a tylko po ojcu. Głową rodziny zawsze jest mężczyzna. Jeśli w rodzinie zabraknie ojca, jego rolę przejmuje syn; a jeśli nie ma syna, to brat zmarłego.

Widzę, że Raję martwi to, co powiedziałam o zasadach panujących w Polsce. Po chwili szepce mi jednak z uśmiechem:

– Bardzo się cieszę, że masz taką dobrą rodzinę, że twój syn ma ojca, a ty męża. Musisz być bardzo szczęśliwa.

Historia Rai też wydaje mi się na swój sposób szczęśliwa. Podczas naszego spotkania córka Abdullaha zwierzyła mi się, że marzy o tym, by polecieć do Stanów na studia doktoranckie z pedagogiki. Trzy miesiące później Abdullah pisze mi, że mąż Rai zgodził się, by zrobiła doktorat. Wkrótce po naszym spotkaniu leci do Stanów.

Jej marzenie się spełniło.



Po powrocie do domu dzwonię do Amiry.

– Zanim stąd wyjedziesz, chciałabym ci pokazać, jak piękny jest Oman – mówi Amira i proponuje wspólną wycieczkę. – Masz jutro czas?

Jest połowa maja, temperatury sięgają grubo powyżej czterdziestu stopni. Nikt z mojej rodziny nie wychodzi już nawet na krótki spacer, chyba że podjeżdżamy na samą plażę. Wyskakujemy wtedy z samochodu wprost do wody.

– Zabiorę cię w moje ulubione miejsce. To niedaleko – zachęca moja znajoma.

Umawiamy się następnego dnia wczesnym popołudniem. Amira podjeżdża pod nasz dom i zabiera mnie swoim samochodem. Jedziemy w stronę pasma górskiego położonego na południe od stolicy. Tam, gdzie zdaniem Amiry kryją się demony. Mijamy wydmy w dzielnicy Bauszar i wyjeżdżamy z miasta. Zabudowa robi się luźniejsza. Budynki wyglądają na coraz starsze i skromniejsze. Wokół nich rosną palmy daktylowe. Wąskimi uliczkami, wzdłuż których biegną wysokie kamienne mury, dojeżdżamy do małego placu. Tuż obok niego znajduje się stary kanał nawadniający zwany afladżem.

– To tu – mówi Amira. – Tu zaczyna się moje tajemne miejsce. Chodźmy.

Idąc w stronę gaju palmowego, mijamy starszego ciemnoskórego mężczyznę. Amira pyta go o zdrowie i czy wszystko u niego dobrze. Na jej twarzy dostrzegam delikatny uśmiech.

– Tu odpoczywam – zwraca się do mnie Amira. – Spaceruję, rozmawiam z miejscowymi, czasem siadam na murku przy afladżu i słucham szumu wody. Tutaj rozmawiam też z duchami przodków, modłę się i zastanawiam nad swoim życiem.

Amira jest spokojna, napawa się ciszą tego miejsca, kontempluje, a ja się pocę. Ledwie wyszłam z samochodu, a strużki potu już płyną po całym moim ciele. Nie potrafię się cieszyć ani tą przestrzenią, ani roztaczającym się stąd widokiem, bo z trudem oddycham. Po drugiej stronie gaju zauważam starszych mężczyzn pracujących przy zbiorach daktyli.

– Współczuję tym ludziom i podziwiam ich. Skąd biorą siłę do pracy w tym upale? – przerywam milczenie.

– To byli niewolnicy – odpowiada Amira.

– Niewolnicy? – Na moment się ozywiam. – Jak to? Kiedy zniesiono tu niewolnictwo?

– Nie wiem dokładnie, kiedy to było, nie uczyliśmy się o tym w szkole. O wielu rzeczach nam nie mówią. Przekazują uczniom tylko to, co chcą. Wokół nas wciąż żyją ludzie, którzy byli niewolnikami, oni sami albo ich rodzice. I wszyscy wiedzą o ich przeszłości, ale o tym nie mówią. Pewnie chodzi o to, żeby ich nie urazić. Ale łatwo ich poznać po kolorze skóry. Oni nie wchodzą w związki małżeńskie z miejscowymi. Nie mieszają się z nami. Zresztą, kto by chciał mieć za męża byłego niewolnika? To byłaby degradacja społeczna. Z tego, co wiem, to do zniesienia niewolnictwa w Omanie przyczynili się Brytyjczycy. Pomagali sułtanowi dojść do władzy i nie podobało im się, że w Omanie nadal jest niewolnictwo. Kiedy je zniesiono, wszyscy dawni niewolnicy dostali nazwiska ludzi, u których pracowali.

– Amiro, z kim mogę porozmawiać na ten temat?

– Wątpię, by ktoś oficjalnie chciał się na ten temat wypowiadać. Nie znajdziesz też książek, które to opisują. Trudno mi powiedzieć, z kim powinnaś się skontaktować.



Upiornie gorący spacer po gaju daktylowym na szczęście nie trwał długo. Może wrócę tam kiedyś, jak będzie chłodniej, by nacieszyć się tym spokojnym, malowniczym miejscem. Tymczasem dzwonię do Abdullaha, dawnego prokuratora w Bahli. Na pewno będzie wiedział coś więcej.

– Jeśli chcesz poznać prawdziwą historię Omanu, jedź do Ministerstwa Turystyki. Oni mają to wszystko spisane i uporządkowane – radzi mój rozmówca.

Dziwna sprawa, myślę. Dlaczego historią Omanu miałyby się zajmować Ministerstwo Turystyki?

– Jedź do ministerstwa, tak będzie najlepiej. Tam wszystko jest przygotowane dla zagranicznych gości, którzy chcą poznać historię naszego kraju. To najodpowiedniejsze miejsce – stwierdza i kończy rozmowę.

Przed wizytą w ministerstwie dzwonię jeszcze do Amiry, żeby zapytać, co myśli na ten temat.

– Ha, ha, ha – śmieje się głośno do słuchawki. – Jedź, jeśli chcesz, ale moim zdaniem niczego się tam nie dowiesz. Daj znać, jak będziesz po spotkaniu.

Po tej rozmowie jestem tym bardziej ciekawa, co takiego przygotowało dla zagranicznych gości Ministerstwo Turystyki. Nazajutrz postanawiam to sprawdzić.

Przed wyjazdem ubieram się z większą dbałością niż zwykle. Zakładam długie spodnie i odprasowaną bluzkę z długim rękawem. Na koniec wylewam na siebie sporą ilość arabskich perfum. W Omanie do urzędów należy przyjść w odpowiednim stroju. Jeśli ktoś się zjawi w krótkich spodenkach, nie zostanie obsłużony. Kobieta powinna wyglądać elegancko i być umalowana, wtedy zostanie potraktowana poważnie. Zwykły T-shirt więc odpada.

Przystaję przed gmazyskiem z piaskowca, wzniesionym w klasycznym, arabskim stylu. Budynek Ministerstwa Turystyki znajduje się w dzielnicy ambasad, w reprezentacyjnej części Maskatu położonej niedaleko wybrzeża. Kiedy zagłębiam się w przestronnym korytarzu, otacza mnie kojąco chłodne powietrze. Ochroniarze witają mnie życzliwym uśmiechem. Sprawiają wrażenie lekko onieśmiałych. Mimo że w Omanie mieszka sporo obcokrajowców, to widok białej kobiety wciąż wzbudza zainteresowanie tutejszych mężczyzn. Przedstawiam się jako dziennikarka z Polski i powołuję się na znajomość z omańskim przedsiębiorcą, który zna ważnego urzędnika w ministerstwie. Dobrze jest tu znać kogoś, kto ma wpływy. Szczęśliwie złożyło się, że kolega męża, Kostarykańczyk, pracuje dla wspomnianego przedsiębiorcy. Ten wykonał jeden telefon i dzięki temu miałam szansę dostać się do gabinetu dyrektora departamentu, który udziela zgody zagranicznym dziennikarzom i ekipom TV na legalny wjazd do Omanu.

Gabinet, do którego wchodzę, tak naprawdę jest ogromnym apartamentem z gigantycznym biurkiem, biblioteką, kącikiem wypoczynkowym i łazienką. Dyrektor wita mnie w odprasowanej diszdaszy, jakby przed chwilą wyciągnął ją z magła, oraz w skórzanych klapkach, które według mnie pozbawiają go sztywnego wyglądu. Jest pewny siebie, około czterdziestki. Najwyraźniej zlał się perfumami jeszcze intensywniej niż ja, bo od zapachu kręci mi się w głowie. Zaczyna się luźna

pogawędka o życiu. Tu nigdy nie przechodzi się od razu do sedna, za to z łatwością wkracza się w osobistą sferę. Po chwili rozmowy zostaje więc zidentyfikowana jako mężatka. Zaraz potem do gabinetu wkracza kelner w eleganckiej beżowej liberii jak z najlepszego hotelu. Ma przez rękę przewieszoną białą serwetę. Pyta, co podać. Dyrektor sugeruje aromatyczną omańską kawę, czyli kahwę, i mazistą galaretkę zwaną halwą. Po chwili nakłada mi wprost na prawą dłoń słodką, klejącą maź.

– Jedz, jedz, to najlepsza halwa w mieście – zachęca dyrektor. I przechodzi do sedna sprawy... swojej sprawy. – Skoro tyle lat pracowałaś w telewizji, to powiedz, co możemy zrobić, żeby ci wszyscy dziennikarze z zagranicznych stacji odpowiednio pokazywali Oman.

– A jak pokazują?

– Była tu jedna międzynarodowa stacja telewizyjna. Wcześniej odwiedzili Dubaj, pokazywali tam Burdż Chalifa, czyli najwyższy budynek świata, siedmiogwiazdkowy hotel Burdż al-Arab czy sztuczną wyspę palmową Dżamirę, wszystko, co najlepsze, najpiękniejsze, najbardziej nowoczesne. Powód do dumy Emiraczyków. A u nas, co zrobili? Nakręcili i wyemitowali materiał o średniowiecznym systemie nawadniania, afladżu. – Dyrektor w rozpaczliwym geście podnosi ręce do nieba. Widać, że sprawa leży mu na sercu, bo śmieje się nerwowo i tłumaczy dalej: – Zamiast rozwoju, nowych dróg i budynków pokazali, że jesteśmy zacofani. Dlatego musimy ich jakoś kontrolować. Tylko jak sprawdzać, co zamierzają pokazać światu?

– Myślę, że nie chcieli źle – odpowiadam. – Dla mnie ten system nie jest dowodem zacofania, ale tego, że w ekstremalnie trudnych warunkach wieki temu stworzyliście coś, co działa do dziś. Daje wodę tam, gdzie jej brak. Pozwala uprawiać ziemię w miejscach, w których nie byłoby to możliwe. Jeśli wprowadzicie kontrolę, to nie zachęcicie dziennikarzy, żeby przedstawiali kraj w dobrym świetle. A jest tu co pokazywać.

– Tak, tak, Oman to piękny kraj. Ale po co mówić źle? Skoro kogoś tu zapraszamy, dbamy o niego, to przecież nie powinien mówić o nas źle. Czasem organizujemy nawet wycieczki dla dziennikarzy. Płacimy za to i pokazujemy najpiękniejsze miejsca.

– A kiedy zaprosicie dziennikarzy z Polski?

– Z Polski mamy mało turystów. Nie opłaca się. Jak będzie was więcej, to zaprosimy też waszych dziennikarzy.

– Ale jeśli nie będziemy w Polsce pisać o Omanie i pokazywać go w telewizji, to turyści nie będą tłumnie przyjeżdżać.

– Będą, *in sha Allah*, jak Bóg da.

Kelner serwuje kawę w maluteńkich filiżankach. Już wiem, że dopóki nie potrząsnę naczyniem, będzie dolewał mi bez końca. Po trzeciej dolewce potrząsam energicznie pustą filiżanką i więcej kawy już nie dostaję.

Na pytania dotyczące historii dyrektor odpowiada wymijająco, a następnie prowadzi mnie do biura promocji. Dostaję kilka broszur na temat miejsc wartych zobaczenia. „Zapraszamy do Sułtanatu Omanu, kraju odznaczającego się zapierającą dech w piersiach przyrodą i będącego istnym kalejdoskopem historii, legend i przygód. Oman, uznawany za jedno z najbezpieczniejszych i najspokojniejszych państw na świecie, to doskonałe miejsce na rodzinne wakacje. Podróżowanie po tej fascynującej części świata pozwala odkryć jedyną w swoim rodzaju kulturę”. W broszurach pojawiają się informacje na temat kilku fortów i miast, przedstawione są też omańskie góry, wadi i pustynia.

– I to tyle, jeśli chodzi o historię? – pytam.

– Jeśli potrzebujesz więcej, to musisz się wybrać do Ministerstwa Informacji – radzi młody pracownik biura promocji.

– A gdzie jest to ministerstwo?

– O, sama nie znajdziesz. Trudno tam dojechać.

– Może macie jakąś mapkę?

– Jeśli chcesz, to cię tam zabiorę.

Urzędnik bierze kluczyki od samochodu i wychodząc z biura, prosi, bym jechała za nim. Dojazd zajmuje nam około piętnastu minut. Wskazawszy mi drogę do ministerstwa, mój przewodnik przyjaźnie macha do mnie na pożegnanie. Nie oczekuje zapłaty. Po prostu pomaga osobie, która tego potrzebuje. W Omanie zdarza się to bardzo często.

W Ministerstwie Informacji, które już nie jest tak okazałe jak Ministerstwo Turystyki, dostaję kolejne foldery reklamowe, tyle że dużo grubsze. Z katalogów uśmiechają się do mnie szczęśliwi mieszkańcy Omanu. Widzę powstające drogi, szkoły, szpitale i fabryki. Z kolejnych stron wyłania się istna kraina szczęśliwości. I to jest historia, której uczy się w tutejszych szkołach. A jak było wcześniej?

Trudno dociec. Jedni mówią tak, drudzy inaczej. Spisanych i mówionych wersji historii Omanu jest wiele i czasem trudno połączyć się, która jest prawdziwa. Pewne jest, że mieszkańcy tego rejonu jako pierwsi przyjęli

islam, zaraz po ludach zamieszkujących tereny dzisiejszej Arabii Saudyjskiej. Omańczycy do dzisiaj są z tego dumni.

Przez stulecia tutejsze plemiona bezustannie ze sobą walczyły. Korzystali z tego Persowie, Portugalczycy i Turcy, którzy kilkakrotnie najeżdżali te ziemie. Mimo to Oman w pewnym okresie stał się mocarstwem z koloniami na środkowo-wschodnim wybrzeżu Afryki, począwszy od Zanzibaru po Krainę Wielkich Jezior. Do imperium Omanu należał też Beludżystan, który później został sprzedany Pakistanowi. Omańczycy wiodli prym nad Oceanem Indyjskim w handlu niewolnikami. Jeszcze w drugiej połowie XX wieku mieli w swoich domach niewolników. Trudno stwierdzić, do kiedy dokładnie istniało tu niewolnictwo. Zgodnie ze słowami żołnierza pełniącego służbę w Muzeum Wojska Omańskiego zniesiono je w 1913 roku. Większość źródeł podaje jednak rok 1970, gdy władzę nad krajem objął sułtan Kabus Ibn Sa'id. To on definitywnie zakończył historię niewolnictwa w Omanie, nadając niewolnikom pełnię omańskich praw obywatelskich. Dzisiaj część rodzin niewolników bardzo dobrze sobie radzi. Niektórzy pracują w rodzinnym pałacu sułtana w Salali, na południu Omanu. Kobiety pochodzące z Salali mówią, że jeszcze w latach osiemdziesiątych, by poślubić byłego niewolnika lub jego potomków, trzeba było wystąpić do sułtana o zgodę. O pozwolenie proszono jednak rzadko, bo nikt nie chciał się wiązać z byłym niewolnikiem. I tak jest do dziś.

Obecnie rolę niewolników przejęli robotnicy z Bangladeszu, Pakistanu, Indii, Afryki, Indonezji oraz Filipin. Mężczyźni pracują głównie na plantacjach daktyli i w przydomowych ogrodach, myją samochody i wykonują drobne naprawy, a kobiety zajmują się domem i dziećmi. Łatwo ich rozpoznać, bo tylko oni nie mają własnych samochodów. Kobiety chodzą pieszo, a mężczyźni powszechnie używają rowerów. Jeżdżą nimi przez cały rok, nawet gdy na zewnątrz panuje pięćdziesięciostopniowy upał. Wyglądają na zmęczonych i są złani potem. Gdy widzą kogoś parkującego samochód pod domem, podjeżdżają i proponują umycie auta. Za 1 riala, czyli około 10 złotych. Oferują też zamiatanie, drobne naprawy, sprzątanie. Ci przemierzający się z wielkimi nożycami pod pachą czy ze starym dywanem przypiętym do bagażnika chętnie podejmują się wykonania prac ogrodowych, choćby przycięcia krzewów i wyniesienia na śmietnik gałęzi zawiniętych w dywan.

Omańscy rowerzyści jeżdżą pod prąd. Robią tak, by dostrzec nadjeżdżający z naprzeciwka pojazd i w porę zjechać na pobocze. Zarówno oni, jak i piesi stają także przed inną trudnością: przedostania się na drugą stronę ulicy. W Omanie brakuje bowiem nie tylko ścieżek rowerowych, ale i chodników, kładek i przejść dla pieszych. Jazda rowerem po drogach Maskatu i chodzenie wzdłuż nich to igranie z ogniem. Projektując piękne omańskie drogi, nie pomyślano o pieszych i rowerzystach – bo i po co. Każdy Omańczyk porusza się samochodem. A że robotnik jeździ rowerem lub chodzi, to już jego sprawa. Robotnicy bez rowerów ryzykują więc życiem zmuszeni do przebiegania przez nowoczesne czteropasmówki. Najpierw, grupowo lub w pojedynkę, ostrożnie przechodzą przez balustradę i czają się, wystawiając głowy w stronę pędzących samochodów, a następnie rzucają się biegiem przez jezdnię. Gdy uda im się pokonać pierwsze cztery pasy, przeskakują znajdujący się na środku murek, odczekują, aż nadarzy się okazja, i biegną co sił w nogach na drugą stronę. Mówi się na nich kamikadze.

Kobiety, które przyjechały do Omanu w poszukiwaniu pracy, łatwo rozpoznać na ulicy po strojach. Pracownice maszerują wzdłuż arterii w odprasowanych mundurkach, trzymając nad sobą parasol, który ma je osłonić od piekącego słońca. Uniformy mają różowe, niebieskie, żółte, zielone albo szare. O kolorze decydują panie domu, czyli madames. Te ostatnie określają swoje pracownice mianem „służących” i to od nich zależy między innymi to, czy kobiety mają zakrywać w domu włosy.

Kobiety przybywają do Omanu z Indonezji, Filipin, Indii, Nepalu, Etiopii i Tanzanii. Do ich obowiązków należy sprzątanie, pranie, prasowanie, gotowanie, wychowywanie dzieci, często również wożenie ich do szkoły, na zajęcia pozalekcyjne, zakupy z madame i co tam jeszcze gospodyni przyjdzie do głowy. Żadna szanująca się Omanka nie wyjdzie za mąż za kogoś, kogo nie stać na utrzymanie służby. A stać wielu. W większości omańskich domów jest więc zatrudniona służba.



Jest wrześnieowy wieczór, na zewnątrz utrzymuje się nieco ponad trzydzieści stopni, niebo rozświetla księżyc w pełni. Z hotelu Crown Plaza rozciąga się imponująca panorama. Siedzimy ze znajomymi w restauracji

z widokiem na wybrzeże Maskatu. Jest z nami kilka osób, między innymi Amira, mój mąż Mariusz i Husajn – młody Omańczyk, którego znamy z pracy męża. Jest wykształcony i mówi z pięknym brytyjskim akcentem, co świadczy o jego dobrym pochodzeniu. W oddali błyszczą okazały gmach Opery Królewskiej. Po prawej mienią się kolorami tęczy kopuły nowo wybudowanego meczetu Mohammeda Al-Amina w dzielnicy Bauszar. Młodzi Omańczycy wyruszyli właśnie swoimi luksusowymi samochodami do miasta. Nie spacerują, jeżdżą z opuszczonymi szybami. To sposób, by zwrócić na siebie uwagę kobiet. Kolację przerywa telefon.

– Mamo, daj już spokój z tymi kamerami. Jesteś na wakacjach, odpocznij. Nie musisz ich cały czas obserwować. One i bez kamer pracują, nie ma się czym martwić. Zaraz wrócę do domu. Wszystko sprawdzę i naprawię.

Okazuje się, że Husajn próbuje uspokoić matkę. Chwilę później zwraca się do nas i tłumaczy:

– Mama poleciała na wakacje do naszego domu w Londynie. Razem z siostrami chcemy, żeby odpoczęła, a ona wciąż martwi się, czy w domu wszystko w porządku. Postanowiliśmy wyłączyć domowe kamery, żeby nie siedziała ciągle przy komputerze i nie śledziła służących, tylko korzystała z wolnego.

Służące w domu jego matki, podobnie jak większość pozostałych, mieszkają ze swoją pracodawczynią. O pomoc domową w Omanie jest bardzo łatwo. Najprościej załatwić wszystko za pośrednictwem wyspecjalizowanej agencji prowadzonej przez Omańczyków. W stolicy Maskatu jest ich wiele.

– Za sprowadzenie pomocy domowej płacisz tysiąc czterysta riali i masz w tym pół roku gwarancji. Jeśli kobieta nie sprawdzi się przez sześć miesięcy, agencja zaproponuje ci kolejną – tłumaczy nam Husajn, a ja przeliczam tę sumę od razu na złotówki. Wychodzi nieco ponad 14 tysięcy złotych. – Jeśli jednak będziesz chciała zrezygnować ze służącej po upływie pół roku, to stracisz dużo pieniędzy. Nową kobietę podeślą ci dopiero po tym, jak zapłacisz kolejny tysiąc riali. Ale potem do tej kwoty trzeba jeszcze dodać wypłatę, zakwaterowanie, wyżywienie i co dwa lata opłacać bilet lotniczy do kraju. W biurach są katalogi. Oglądasz je sobie i wybierasz.



Kilka dni później zaglądam do agencji zajmującej się sprowadzaniem pomocy domowych do Omanu. Proszę o album. Na zdjęciach widać kobiety w różnym wieku. Niektóre uśmiechają się, inne są poważne. Ubrane w mundurki do sprzątanania i starannie uczesane patrzą w kamerę. Zdjęcia są posegregowane według narodowości. Najtańsza opcja to służąca z Etiopii i Tanzanii. Pytam właścicielkę dlaczego.

– One najczęściej uciekają i nie są tak pracowite jak Azjatki.

Obok zdjęcia podane są wiek, doświadczenie, znajomość języka arabskiego i angielskiego, umiejętność gotowania arabskich potraw.

– Najlepszą opinię mają Hinduski w okolicach czterdziestki – mówi pracownica agencji.

– A do czego potrzebne są służące? – pytam.

– No jak to? Od zawsze mieliśmy służbę. Przecież nie będziemy sprzątać i gotować we własnym domu, skoro może zrobić to ktoś inny. Od tego mamy służące. My możemy cieszyć się wolnym czasem. – Kobieta uśmiecha się szeroko.

Część Omanek, które tu poznałam, uważa, że my, Europejki, mamy trudniejsze życie niż one. Nie mogą zrozumieć, dlaczego same sprzątamy, pierzemy i gotujemy. W Omanie kobieta wybiera się na zakupy ze swoimi służącymi albo z mężem, który posłusznie dźwiga zakupione towary. I oczywiście za wszystko płaci.

Ściągnięcie do Omanu służby nie jest co prawda trudne, ale nie każdy ma do tego prawo. Samotny mężczyzna nie dostanie zgody na zatrudnienie w domu kobiety. By móc sprowadzić służącą, najpierw należy udać się do Ministerstwa Pracy i złożyć dokumenty potwierdzające zawarcie związku małżeńskiego. Trzeba też wykazać się odpowiednimi zarobkami. Jest to 700 riali, czyli siedem tysięcy złotych, na rodzinę.

Służące mieszkają w maleńkich służbówkach tuż obok domu albo na ostatnim piętrze, razem z pralką, suszarką i deską do prasowania. Czasem nie mają własnego kąta i śpią na podłodze, zaraz przy łóżku dziecka. Za to domy, w których przyszło im pracować w Omanie, są piękne i okazałe. Grube mury chronią przed upałem, marmurowe posadzki chłodzą stopy, a szczelnie zaciągnięte zasłony pozwalają uniknąć spojrzeń ciekawskich.

Nikt obcy nie ma prawa zajrzeć do środka. To, co dzieje się w czterech ścianach, musi tu pozostać.



Dom jest urządzony skromnie. Wspólna kuchnia, pokoje z piętrowymi łózkami i dwadzieścia lokatorek. Gorąco, duszno i tylko jeden klimatyzator, w kuchni. Wiatrak przy suficie miele gorące powietrze, nie dając ukojenia. Na podłodze widać resztki krwi z oprawianych ryb, na blacie – pozostałości jedzenia. Obsiadło je kilka much. Siedzą niewyganiane przez nikogo. Podobnie jak kobiety, które tu mieszkają. Niby ciasno, ale mimo wszystko jest to jakieś schronienie i gwarancja względnego bezpieczeństwa. W powietrzu unosi się zapach smażonych ryb, które kobiety niedługo zanoszą na filipiński market, żeby sprzedać i zarobić trochę pieniędzy. Ryby kupują o świcie bezpośrednio od rybaków, tak jest taniej. Ale z domu mogą wyjść tylko z opiekunem z ambasady. Są tu nielegalnie. Wiele z nich nie ma już ważnej wizy, a za każdy dzień nielegalnego pobytu trzeba zapłacić karę.

Schronisko dla filipińskich pomocy domowych to wstydlivy i delikatny temat. Nie mówi się o tym głośno ani nie pisze w tutejszych gazetach. Schronisko mieści się w pobliżu ambasady, która dyskretnie pomaga kobietom. Nie widać go z ulicy, kryje się za wysokim murem. W budynku mieszkają kobiety, które uciekły od swoich pracodawców. Część pracowała ponad ludzkie siły, część padła ofiarą molestowania, inne po prostu nie dały sobie rady. Kilka kobiet już dwa lata czeka na odzyskanie paszportu. Dawni pracodawcy nie chcą im oddać dokumentu. W zamian za paszport żądają zwrotu zainwestowanych pieniędzy. Kiedy kobieta znajdzie pracę gdzie indziej, stara się zapożyczyć i spłacić poprzedniego pracodawcę. Bywa to jednak trudne.

Filipinki opowiadają o dwóch koleżankach, które są w więzieniu. Mówią, że jedna trafiła tam za kradzież, druga za związek pozamałżeński. Kiedy znalazła się za kratkami, była w ciąży. Podobno nie miała za co wrócić do kraju. Mimo trudnej sytuacji kobiety uśmiechają się, śpiewają piosenki, żartują. Najbardziej lubią opowiadać o rodzinie. Niektóre mają telefony i od czasu do czasu kontaktują się z bliskimi. Pokazują zdjęcia dzieci – od małych po prawie dorosłe. Czekają, aż ktoś im pomoże, zapłaci za zwrot paszportu albo pożyczycy pieniądze. Zdarza się, że pomagają im

obcokrajowcy, którzy mieszkają i pracują w Omanie. Organizują zbiórki pieniędzy wśród znajomych albo w prywatnych międzynarodowych szkołach. Wszystko po cichu.

– Ludzie mówią, że tu się zrobiła prawdziwa mafia. Na służące, które uciekły od pracodawcy, poluje policja – opowiada znajomy Omańczyk, ale prosi, żeby nie podawać nawet jego imienia. – Jeśli któraś służąca ucieknie z domu do poznanego tu faceta, to i tak czeka ją spotkanie z przeznaczeniem – opowiada. – Mężczyzna prędzej czy później ją zostawi i dziewczyna wyląduje na policji. Nikt jej nie zatrudni bez ważnej wizy, bo z nielegalnymi nikt nie chce mieć do czynienia. Czeka ją deportacja, ale zanim do niej dojdzie, policja zwykle chce sobie poużywać. Tu każdy mężczyzna ma jakieś wynajęte mieszkanie. Więc ona przechodzi najpierw przez ręce wszystkich policjantów po kolei i dopiero potem ją deportują. Pozwalają sobie na to, bo kto takiemu coś udowodni. Przy wyjeździe każdy powinien zapłacić dziesięć riali kary za każdy dzień nielegalnego pobytu. Jeśli kobieta nie ma pieniędzy, to musi płacić własnym ciałem. Policjant bierze ją do mieszkania, wykorzysta i fru. Spadaj. Ot, takie życie.



– I co? Udało ci się czegoś dowiedzieć na temat niewolników? – pyta Amira podczas kolejnego spotkania.

– Co nieco, ale miałaś rację, mało kto mówi o czasach, zanim zaczął panować sułtan Kabus. W końcu trafiłam do biblioteki przy Muzeum Historii Naturalnej. Tam udało mi się wyszukać jakieś informacje o tym, kiedy tutejsze ludy przyjęły islam, trochę o Portugalczykach i Beludzystanie. Ale o niewolnikach prawie niczego nie znalazłam.

– Bo to rozdrapuje rany. A ludzie tutaj nie chcą tego robić. Wstydzą się tej przeszłości. Zamiast o niewolnikach, powinnaś napisać coś o Arabach z Zanzibaru. Jak musieli w popłochu porzucić wyspę i przybyć tutaj, na pustynię – radzi mi Amira. – To była dla nich prawdziwa tragedia. Ilu Omańczyków wtedy zginęło! To było w tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym czwartym roku. I tego też nie uczą w naszych szkołach.

– Znasz kogoś, z kim mogłabym o tym porozmawiać?

– Nie wiem, czy kogoś znajdziesz. Ja już mam wszystkiego dosyć. Mam dość tego kraju!

Amira dzisiaj w niczym nie przypomina mi uduchowionej kobiety, którą poznałam rok wcześniej.

– Widzisz, każdy musi tutaj udawać, ukrywać coś za murami swojego domu. Nikt nie jest sobą. Nie chcę już dłużej mieszkać ze swoją rodziną, jestem na to za stara. Tutaj kobieta niezamężna powinna żyć z matką, ojcem i rodzeństwem. Tak jak we Włoszech. Wszyscy powinni być razem. A ja potrzebuję ciszy, niezależności. Moja rodzina zdaje sobie sprawę, że pragnę coś w życiu osiągnąć i że mam dużo energii, ale nie chce mnie wspierać. To przykre.

– Co się stało w ciągu tych ostatnich dni? – pytam.

– Tata zamierza zabrać mi paszport. Nie chce, żebym podróżowała po świecie.

– Czy może to zrobić?

– Teoretycznie tak – odpowiada Amira. – Ale ode mnie na pewno go nie dostanie.

Spacerujemy brzegiem morza, wokół nas jest rozległa, pusta plaża. Gdzieś tam omańskie rodziny pakują do swoich terenowych samochodów garnki z jedzeniem, termosy, maty i fotele kempingowe. Zbierają się do domów. Słońce już zaszło, lada moment robi się ciemno. My też kierujemy się w stronę domu. Tym razem Amira zaprasza mnie do siebie.

Kilka uliczek od domu zjeżdża na pobocze, wysiada z samochodu i otwiera bagażnik. Wyciąga z niego czarną abaję i w ciągu kilkunastu sekund przeistacza się w kogoś, kogo do tej pory nie znałam. Po wejściu do samochodu tłumaczy:

– Robię to dla świętego spokoju, żeby ojciec i brat się nie czepiali.

Podjeżdżamy pod dużą metalową bramę, taką jak wszystkie wokół. Amira zaprasza mnie do siebie. Wchodzimy bocznymi drzwiami wprost do madżlisu. Pomieszczenie jest duże, przy oknach zawieszono ciężkie bordowe kotary, na podłodze leży miękki dywan w tym samym kolorze. Po lewej mijamy gablotę z rodzinnymi pamiątkami. Są w niej głównie zdjęcia i kilka magnesów z Arabii Saudyjskiej, Kuwejt, Emiratów Arabskich i Jordanii. W pomieszczeniu stoi parę dużych kanap również w kolorze bordo, a na środku znajduje się drewniany stolik. Na ścianach wiszą cytaty z Koranu i wielki klimatyzator. Amira zostawia mnie na chwilę samą. Podchodzę do gabloty. Z rodzinnych zdjęć patrzą na mnie uśmiechnięte twarze Amiry i jej sióstr. To zdjęcia z przyjęcia weselnego jednej z nich.

Kobiety wyglądają jak księżniczki z Krainy tysiąca i jednej nocy. Ich czarne włosy upięte w obfite koki oplecione są złotymi łańcuszkami, pośrodku czoła błyszczą złote talizmany. Mocne makijaże i bogato zdobione sukienki dopełniają całości. Do madżlisu wraca Amira, za nią wchodzi kobieta niosąca tacę z indyjskimi samosami i termos z herbatą. Rozstawia wszystko na stole i znika za drzwiami.

– Muszę stąd wyjechać – zaczyna Amira. – Oman to kraj, w którym nie wolno myśleć i zadawać pytań. Nie ma tu wolności słowa, a ja mieszkam niewyparzony język. Czasem żalę się w radiu albo telewizji, że nie promuje się tu artystów albo że zbyt mało pieniędzy przeznaczają na kulturę, i wtedy od razu pojawiają się „życzliwi”, którzy odradzają mi mówić głośno o problemach. Tłumaczą, że przecież mam stałą pracę, dostaję co miesiąc pensję, a jak będę grzeczna, to i stypendium zagraniczne mi zagwarantują. Ale nie złamią mnie w ten sposób. Jak będę chciała studiować za granicą, sama sobie załatwię stypendium. Ludzie władzy są tu bardzo aroganccy i sprytni. Dają każdemu ziemię pod budowę domu, żeby siedział cicho. Omańczycy biorą kredyty, żeby te domy zbudować, i potem latami spłacają zobowiązania. Chyba że naprawdę nie mają z czego, to czasem umarza im się długi. Wszystko po to, żeby w kraju był spokój. To działanie jest bardzo przemyślane. Częstuj się, to nasze, domowe – przerywa Amira i podaje mi tacę z samosami. – Tutaj ludzie są dla siebie okropni, szorstcy – kontynuuje. – Potrafią niszczyć się nawzajem, i to tylko dlatego, że ktoś się od nich różni. Tu nie ma miejsca dla indywidualistów. W naszym społeczeństwie jeśli nie jesteś silny, a twoja rodzina nie jest wpływowa, to ludzie nie będą się z tobą liczyć. To jest prawo pustyni. Ludzie słuchają tego, kto ma siłę. Oni dokładnie wiedzą, jak postępować z tymi, którzy robią coś wbrew systemowi.

– Znasz kogoś takiego?

– Znam dziennikarkę, która krytykowała system – mówi Amira. – Stworzyła świetny program w telewizji, każdy Omańczyk oglądał go z wypiekami na twarzy. To był pierwszy program bez propagandy, ujawniający realne problemy kraju. Pokazywał biedę na prowincji, problemy osób starszych. Szybko zniknął z anteny, bo był niewygodny dla władz. Długo nie wiedziałam, co się stało z tą dziennikarką. Wszyscy nabrali wody w usta. Dopiero po kilku miesiącach dowiedziałam się, że złożyli jej propozycję nie do odrzucenia. Otrzymała stypendium rządowe w Wielkiej Brytanii. A potem dostała pracę w dyplomacji omańskiej

w Waszyngtonie. Dogadali się. Nie chcieli, by upowszechniała zły obraz Omanu w świecie, więc zaproponowali jej atrakcyjną posadę i dobrą pensję. Teraz mają nad nią kontrolę. Jest kilka osób, które nie dały się złamać i dużo przez to straciły. Spróbuj odnaleźć kogoś takiego, wtedy zobaczysz, że Oman to nie tylko piękne krajobrazy, mądry przywódca i szczęśliwi ludzie jak na tych teledyskach, które codziennie widzisz w naszej wspaniałej rządowej telewizji. Wtedy poznasz drugą, mroczną twarz Omanu.

– Gdzie szukać takich osób?

– Nie mogę ci pomóc, i tak już podpadłam władzom. Ale pamiętaj, oni przetłumaczą twoją książkę na angielski i będą wiedzieć, co napisałaś. Jeśli im się spodoba, może cię zaproszą i zadbają o ciebie. Może też będą chcieli przetłumaczyć twoją książkę na arabski. Jeśli zaś napiszesz coś, co nie spodoba się władzy, to już więcej cię tu nie wpuszczą.

Kobieta zatrudniona w domu donosi ciastka i pyta, czy czegoś nam jeszcze trzeba. Amira grzecznie dziękuje i czeka, aż wyjdzie.

– Ludzie będą cię traktować tak, jak ty traktujesz siebie. Jeśli jesteś idiotą, to tak będą się do ciebie odnosić. Wielu Omańczyków nie myśli, i to się podoba władzy. Państwo dużo daje mieszkańcom, ale w zamian zabiera im wolność. Omańczykom to odpowiada, bo większość nie ma zdania na żaden temat. Nie potrafią podejmować decyzji. Myślą tylko o tym, by wybudować wielki dom i mieć drogi samochód, żeby było im wygodnie. Dlatego taka polityka się tu sprawdza. Ale to nie może trwać wiecznie.

– Czy to się zmieni? Jak myślisz?

– *In sha Allah.*

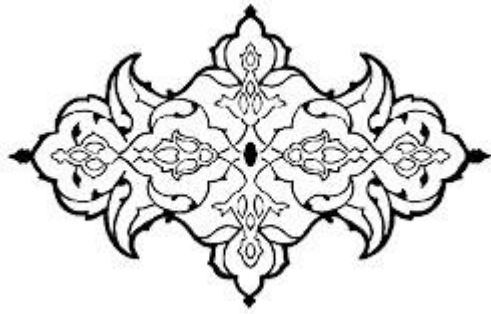


Amira miała rację. Po roku zwodzenia, spotkań i wymiany pomysłów omańska telewizja nie zaoferowała mi pracy. Może wiązało się to z czasowym zakazem zatrudniania kobiet z innych krajów, który wszedł w życie niedługo po moim przyjeździe do Omanu? Nie wiem. Nikt oficjalnie nie powiedział: nie chcemy albo nie możemy cię zatrudnić, do samego końca słyszałam: *in sha Allah*. Aż dałam sobie spokój.

Od naszej ostatniej rozmowy z Amirą minęło kilka miesięcy. Ze zdjęcia spogląda na mnie piękna, pewna siebie i elegancka młoda kobieta. Z jednej

strony racjonalna, nowoczesna, wyzwolona, z drugiej – wierząca w czary marzycielka. Są dni, kiedy żyje skromnie, i wtedy czuje, że magiczna moc w niej rośnie. Kiedy jednak żyje pełnią życia, jej moc zanika.

Amira nadal podróżuje, spełnia się zawodowo i nadal jest panną, która kilka przecznic od swojego domu zakłada czarną abaję.



NAIEMA

Motyle czekają w niebie

Dla Naiemy najważniejszy jest Bóg, dlatego każdego ranka wstaje jeszcze przed świtem, by porozmawiać z Najwyższym. O tej porze większość ludzi śpi, więc Naiema wierzy, że Bóg będzie słuchał właśnie jej. O godzinie trzeciej trzydzieści nad ranem myje się, ubiera i wchodzi na duży taras położony na dachu domu. Tam rozkłada dywanik i zaczyna modlitwę.

– Ktoś mnie kiedyś zapytał, czym jest dla mnie islam – wyznaje Naiema.
– Jest dla mnie jak tlen. Bez niego nie mogę oddychać. Dzięki wierze nie martwię się, co przyniesie nowy dzień. Jeśli mam problem, zwracam się bezpośrednio do Niego. Mówię: „Boże, ty jesteś dla mnie najważniejszy”. A kiedy Bóg jest dla nas najważniejszy, wszystko w naszym życiu jest na swoim miejscu.

Naiema modli się pięć razy dziennie. Tak nakazał prorok. Salat, czyli modlitwa, jest jednym z pięciu filarów islamu. A te są dla Naiemy drogowskazem. Pory modlitwy wyznacza jej położenie słońca na niebie. Naiema nie potrzebuje zegarka, patrzy na cień padający na ziemię i już wie, że czas na modlitwę. W tym samym czasie słyszy też wezwanie muezzina z meczetu. Pierwszy raz zwraca się do Boga przed wschodem słońca. To fadžr, modlitwa poranna. Potem modli się od chwili, gdy słońce zejdzie z zenitu, do czasu, kiedy jej cień jest tak samo długi jak ona sama. To duhr, modlitwa południowa. Gdy słońce robi się pomarańczowe, na krótko przed zachodem słońca, Naiema przygotowuje się do modlitwy po raz trzeci. Odmawia wtedy asr. Kiedy tylko słońce zniknie za horyzontem, kobieta ponownie dokonuje ablucji i szykuje dywanik do modlitwy wieczornej, maghrib. Musi zdążyć, zanim czerwona kula zniknie za horyzontem. Ostatni raz Naiema modli się, gdy zrobi się całkiem ciemno. To już ostatnia modlitwa tego dnia – isza, modlitwa nocna.



Któregoś ranka w lokalnej gazecie widzę ogłoszenie: „Język arabski dla kobiet za darmo”. Wybieram podany numer.

– *Salam alejkum*, dzień dobry – słyszę w słuchawce.

– *Salam alejkum*, dzwonię w związku z ogłoszeniem o nauce języka arabskiego dla kobiet.

– A gdzie pani mieszka? – pyta kobięcy głos.

– W dzielnicy Azaiba.

– To umówmy się przy centrum handlowym Sultan. Czy pasuje pani za godzinę?

– Pasuje.

– Jakim samochodem pani podjedzie?

– Białym jeepem grand cherokee.

– Dobrze, proszę zaparkować od strony bocznej uliczki i proszę mieć ze sobą chustę na głowę, bluzkę z długim rękawem i długą spódnicę albo spodnie.

Za godzinę podjeżdżam pod małe centrum handlowe blisko mojego domu. Czekam oparta o samochód. Z dużego terenowego nissana wysiada kobieta w czarnej abai i podchodzi do mnie.

– Czy to pani chce się uczyć języka arabskiego?

– Tak, dzień dobry. Jestem Anna – przedstawiam się.

– *Salam alejkum*, Anno, jestem Atyia. Jedź za mną.

Wracam do swojego samochodu i ruszam za nissanem. Po dziesięciu minutach podjeżdżamy pod Wielki Meczet.



Zimą odwiedza go trzy tysiące turystów dziennie. Obowiązuje tu odpowiedni ubiór. Kobiety muszą zakryć włosy chustą bądź szalem. Ramiona i nogi również powinny być schowane. Stojący przy wejściu strażnicy kontrolują wchodzących. Nie wpuszczają, nawet gdy rękaw sięga za łokieć. Musi zakryć całą rękę. Zagraniczne turystki w chustach niedbale

zarzuconych na sportowy strój nie prezentują się najlepiej. Materiał co chwilę spada im z głów albo zachodzi na oczy.

Wiązanie chusty, mającej kształt długiego, szerokiego szala, to sztuka, której Arabki uczą się od dziecka. Opanowały ją do perfekcji i robią to na kilka sposobów. Niektóre zakładają na głowę bawełnianą kominiarkę i dopiero na niej wiążą chustę. Nawet jeśli chusta się odwinie, włosy pozostaną bezpiecznie schowane. Inne sprawnie owijają twarz materiałem, przypinając wewnętrzną warstwę szpilką. Nie muszą patrzeć w lustro. Chwytają za koniec chusty i dwukrotnie przewiązują ją przez głowę, a następnie zawijają w okolicy uszu. Potem przypinają spinką przy skroni. Chusty są dopełnieniem ich eleganckiego stroju. Arabki w czarnych abajach wyglądają wręcz posągowo. Poruszają się w nich z dumą i gracją. Abaje zdecydowanie pasują do tego miejsca.

Wielu mówi, że Wielki Meczet to miejsce magiczne. Jest w nim cicho, bo choć budowla znajduje się w centrum miasta, to wokół niej rozciągają się las palmowy i ogrody pełne bugenwilli. Tereny zielone w sumie zajmują ponad 400 tysięcy metrów kwadratowych. Na świątynnych ścianach i sklepieniach łuków wykaligrafowane są wersety Koranu, zwane ajami. Dominują proste, geometryczne wzory. Odwiedzający spacerują ukwieconymi alejkami, odpoczywają pod drzewami akacji, podziwiają zdobione arkady, minarety i wnętrze meczetu. W środku największe wrażenie robi żyrandol, który mojemu synowi kojarzy się z bajkowym pałacem. Żyrandol ma czternaście metrów wysokości, jest wykonany ze szczerzego złota i ozdobiony kryształami Swarovskiego. Waży osiem i pół tony.

W jednym ze skrzydeł meczetu unosi się zapach kadzidła i kawy. To tam pod koniec wizyty w meczecie, zwabiona zapachem, trafia spora grupa zwiedzających. I właśnie tam, do Centrum Edukacji o Islamie, prowadzi mnie Atyia. W centrum panuje przyjemny chłód. Pomieszczenie liczy około czterdziestu metrów kwadratowych. Dookoła trzech ścian znajdują się proste siedziska, pośrodku jest niski stół. Przy wejściu stoi duży regał z książkami w wielu językach, a na nim pozycje, których tytuły po polsku brzmią: „Islam i chrześcijaństwo według Biblii”, „Prawdziwe przesłanie Jezusa”, „Prawa kobiet w islamie”, „Matka Boska a islam”, „Islam a nauka”. Książki i broszury można dostać tu w języku angielskim, niemieckim, francuskim, rosyjskim. Niektóre nawet w języku polskim. Turyści są tu mile widziani. Każdy dostaje pachnącą kardamonem kawę,

świeże daktyle, czasem omańską halwę. Każdy może też zabrać ze sobą książki czy płyty CD i pytać, o co tylko zechce. Niektórzy przychodzą posiedzieć, inni są ciekawi życia w Omanie, sytuacji kobiet, a jeszcze inni pytają o islamskich terrorystów. Pracowniczki centrum cierpliwie odpowiadają na pytania.

Atyia przedstawia mnie kobietom, które zajmują się turystami.

– Anna chce się uczyć arabskiego – oznajmia koleżankom.

– *Salam alejkum*, Anno, skąd jesteś? Dlaczego chcesz się uczyć arabskiego? Jak długo mieszkasz w Omanie? – padają kolejne pytania.

– Poczekaj, aż wyjdą turyści, wtedy zaczniemy naukę – mówi z uśmiechem Atyia. – A teraz możesz napić się kawy.

Pijąc aromatyczny napój, przysłuchuję się prowadzonym w pomieszczeniu rozmowom.

– Dlaczego nie macie w meczecie ołtarza, figur i obrazów przedstawiających świętych? Do czego się modlicie? – pyta starszy pan.

– Modlimy się do samego Boga, nie do figur. Nikt jeszcze nie widział Boga, więc nie wiadomo, jak wygląda – odpowiada jedna z kobiet pracujących w centrum.

– Czy imam może mieć rodzinę? – dopytuje ten sam turysta.

– Tak, nasz duchowny może założyć rodzinę, bo wszyscy mamy takie same emocje i pragnienia. Bóg chce, byśmy tworzyli rodziny i się rozmnażali.

Wśród pracownic centrum prym wiecie Naiema. Przychodzi tu codziennie oprócz piątków, bo piątek to święty dzień dla muzułmanów. W piątkowe południe każdy muzułmanin powinien wziąć udział w modlitwie i wybrać się w odwiedziny do bliskich. I właśnie to robi wtedy Naiema. Kobieta z wyglądu przypomina Matkę Boską. Nosi długą czarną abaję, a włosy zakrywa hidżabem, do którego doczepia chustę podobną do tej, w jakiej zwykle przedstawia się matkę Jezusa. Naiema mówi głośno, wyraźnie i z pasją. Ma w sobie spokój i charyzmę zarazem. Jest szlachetna, skromna, ale też pewna siebie i odważna. Łatwo nawiązuje kontakt z każdym gościem centrum. Ze mną również.

– Przyszła tu kiedyś pewna Brytyjka. Była spuchnięta, czerwona na twarzy i zapłakana – opowiada Naiema. – Zapytałam, co się stało, ale ona tak zanosila się płaczem, że trudno jej było cokolwiek powiedzieć. W końcu wyznała, że bardzo żałuje tutejszych kobiet. Zapytałam, dlaczego, co się stało. A ona stwierdziła, że widziała oba meczety, zarówno dla

kobiet, jak i dla mężczyzn, i ten dla mężczyzn jest dużo większy i bogatszy. Uznała, że to bardzo niesprawiedliwe. Próbowалаm jej tłumaczyć, że my, kobiety, nie musimy modlić się w meczecie. Z reguły modlimy się w domach. Tak jest dla nas lepiej, bo nie musimy pędzić pięć razy dziennie w upale do świątyni. Ale nie chciała mnie słuchać. Nie mogła przestać płakać. A my wszystkie patrzyłyśmy na nią jak na dziwadło. Widzisz, my musimy wciąż udowadniać, że nasza religia jest przepełniona pokojem. Tu, w centrum, codziennie pokazujemy rzeszom turystów, że jesteśmy normalnymi ludźmi, którzy nie strzelają do innych, tylko są życzliwi, rozmawiają, dzielą się jedzeniem. Na Zachodzie bardzo źle postrzega się islam. Winę za to ponoszą ludzie, którzy czynią zło i twierdzą, że robią to w imię Allaha. Ci ludzie popełniają dwa grzechy. Jeden to czynienie zła, a drugi – zapewnienie, że robią to w imię Boga. Spotka ich za to kara. Muzułmanina poznasz nie po słowach, ale po czynach. Muzułmanin to człowiek, który przekazuje ci pokój ze swojej duszy i ze swoich rąk. Ludzie, którzy krzywdzą innych, nie mają nic wspólnego z islamem. Nawet jeśli mówią, że są muzulmanami.

– Czy turyści pytają tu wprost o islamskich terrorystów? – drązę.

– Ludzie boją się o to pytać. Może nie chcą nas urazić. Niektórzy jednak próbują. Wtedy odpowiadam, że terroryści są zwykłymi szaleńcami. To chorzy ludzie, którzy postradali zmysły. Weźmy na przykład takich, którzy wysadzają siebie, by zabić niewinnych ludzi. Oni nie robią tego dla Boga, bo w islamie samobójstwo jest zabronione. Jedyna agresja, jaką dopuszcza nasza religia, to walka w obronie własnej. Według Koranu powinno się walczyć tylko z tymi poganami, którzy na nas napadają albo zamierzają nas zabić. Jeśli poganie zaprzestaną walki, my też mamy jej zaprzestać. Bóg nie chce, żeby muzulmanin krzywdził innych.

– Czym jest więc dżihad? – pytam Naiemę.

– Dżihad to walka w słusznej sprawie. Jeśli dbasz o swoje dzieci, chcesz, żeby były dobrze wychowane, robisz dobry dżihad. Jeśli walczysz ze swoimi słabościami, na przykład z chciwością albo zazdrością, to jest dżihad. Jeśli dla zdrowia próbuję zrzucić kilka kilogramów, to jest mój dżihad. Jak kobieta rodzi dziecko, to jest jej dżihad. Ale zabijanie niewinnych ludzi to nie dżihad, tylko zbrodnia. Ludzie, którzy krzywdzą innych w imię islamu, postępują wbrew religii.

Starszy pan z zainteresowaniem przysłuchuje się naszej rozmowie. To turysta z Polski. Pierwszy raz w kraju arabskim. Odruchowo wyciąga rękę

na przywitanie, ale Naiema grzecznie tłumaczy, że z mężczyznami wita się jedynie skinieniem głowy.

– Rękę z przyjemnością podam pańskiej żonie – oznajmia. – W naszej religii kobieta nie dotyka obcego mężczyzny. Jej ręka jest zarezerwowana dla męża.

Starszy pan, najwyraźniej lekko zmieszany, kiwa głową ze zrozumieniem.

– Proszę mi powiedzieć, czy istnieje u was coś takiego jak spowiedź – zwraca się do Naiemy.

– U muzułmanów nie ma księży, którym można by wyznawać grzechy – tłumaczy cierpliwie nasza rozmówczyni. – Ksiądz to przecież też grzesznik. Z duchownym można się modlić do Boga i prosić o łaski, a nie opowiadać mu o swoich grzechach. Bóg wszystko widzi i to jego bezpośrednio przepraszamy, nie potrzebujemy pośredników.

Starszy pan grzecznie dziękuje za rozmowę i prosi o wspólne zdjęcie. Naiema biegnie do pomieszczenia obok i przynosi jego żonie w prezencie abaję. Zbiera koleżanki, a następnie muzułmanki ustawiają się w rzędzie z turystami. Pstryk i pamiątka gotowa.

Na swoją lekcję będę musiała jeszcze trochę poczekać, bo do centrum wchodzi kilkunastoosobowa grupa turystów z Hiszpanii. Kobiety witają się z gośćmi po hiszpańsku, czym natychmiast zaskarbiają ich sympatię. Dają gościom wodę i proponują drobny poczęstunek.

– Podoba wam się w Omanie? Jak długo tu będziecie? Czego chcielibyście się dowiedzieć? – zagadują.

Hiszpanie chwilę milczą, aż wreszcie, zachęceni przez gospodynię, decydują się zadać nurtujące ich pytania.

– Ile żon może mieć muzułmanin? – pyta pierwszy.

– Dlaczego nie możecie pić alkoholu? – chce wiedzieć kolejna osoba.

– Dlaczego kobiety muszą zakrywać włosy?

– Dlaczego tutejsi mężczyźni noszą sukienki?

– To nie sukienki, lecz diszdasze – tłumaczy Naiema. – Takie ubranie jest jak naturalna klimatyzacja. Diszdasze są luźne i białe, więc jest w nich chłodniej w upały. A kobiety z kolei chodzą w czarnych abajach, bo tak sobie ostatnio wymyśliły. Czarny to elegancki kolor, poza tym wyszczupła. Kiedyś Omanki chodziły w kolorowych dżalabijach, teraz przyszła moda na czerń.

– A dlaczego nie możecie pić alkoholu? – podpytuje młody Hiszpan.

– A ma pan żonę? – pyta Naiema.

– Tak, siedzi obok mnie.

– Nie pijemy, bo od alkoholu miesza się w głowie. Mężczyzna idzie do baru, pije i potem chce spać z inną kobietą, a nie z żoną. Albo prowadząc samochód, kogoś zabija.

– Ale ja piję tylko trochę – tłumaczy się Hiszpan.

– Od tego się zaczyna. Potem chce się więcej i więcej. Dlatego lepiej nie pić wcale.

– A dlaczego kobiety muszą być tu pozakrywane od góry do dołu? – dopytuje żona Hiszpana.

– Taką mamy tradycję. Zgodnie z nią kobieta powinna ubierać się skromnie – tłumaczy spokojnie Naiema. – Moje ciało to moja własność. Jeśli mam piękną willę, to też nie pokazuję jej każdemu. Dom to moja prywatna sprawa. Tak samo jest z moim ciałem.

– No tak, ale tylko kobiety muszą się tu zakrywać. Dlaczego tylko one, a mężczyźni nie? – drąży Hiszpan.

– Bo kobiety zostały stworzone jako istoty wyjątkowo piękne, są jak broń masowego rażenia, mają ogromną moc. Kobiety odsłaniają niewiele, oszczędzając innym widoku tego, co mogłoby ich przyprawić o ból głowy.

Po wyjściu Hiszpanów pytam Naiemę, jakie spośród zadanych przez turystów pytań było dla niej najbardziej zaskakujące.

– Nie tak dawno zaskoczyła mnie pewna Amerykanka – mówi Naiema, ścisząc głos, a na jej twarzy pojawia się rumieniec. – Zapytała mnie, czy Arabowie, mając cztery żony, dają radę je wszystkie zaspokoić, czy nie mają problemów ze wzwodem. Mimowolnie zrobiłam się czerwona na twarzy i czułam, jak pot spływa mi po plecach. Wokół było kilku mężczyzn i oczywiście wszyscy przerwali rozmowy i czekali, co odpowiem. Wtedy ona zaczęła głośno dopytywać, dlaczego jej nie odpowiadam. A ja po prostu zaniemówiłam. Wytłumaczyłam jej, że odpowiem, ale nie w obecności mężczyzn. Wzięłam ją na bok i powiedziałam jej tak: „Co prawda, mój mąż ma tylko jedną żonę, mnie, ale skoro przed czasami proroka Arabowie zaspokajali po kilkadziesiąt kobiet, to teraz z pewnością świetnie sobie radzą z czterema. Żeby jednak mieć aż tyle żon, mężczyzna musi być bardzo bogaty”.

Kiedy mija południe, centrum pustoszeje. Atyia podaje mi książeczkę w zielonej oprawie.

– Najpierw musisz nauczyć się alfabetu. Potem będziemy powtarzać wersety Koranu i tak opanujesz nasz język. To najlepszy sposób. Tak uczymy arabskiego tutaj dzieci. Zaczynamy pierwszą lekcję.



Naiema często zostaje w centrum dłużej niż turyści. Uwielbia spacerować pod arkadami okalającymi główny dziedziniec meczetu. Porusza się powoli, w zadumie. A ja razem z nią. Od jakiegoś czasu do meczetu zakładam przewiewną czarną abaję i chustę na głowę. Tak jest wygodniej niż w długich spodniach i koszuli. Poza tym w tradycyjnym stroju nie wzbudzam zainteresowania strażników, którzy biorą mnie za miejscową.

Krażymy w cieniu arkad, jest tu chłodniej niż w słońcu. Ostatni turyści kończą zwiedzać meczet. Wokół słychać śpiew ptaków.

– Popatrz na tych ludzi. – Naiema wskazuje na grupę Hindusów.

Pośród nich dumnie kroczy potężny bramin, hinduski kapłan. Na głowie ma zapleciony czerwony turban, a jego ciało spowija równie czerwone, zwisające do ziemi płótno. Na szyi mężczyzny wiszą czerwone korale. Gości prowadzi starszy szajch z Wielkiego Meczetu.

– *Salam alejkum* – pozdrawia przybyszów Naiema. – Witamy w Wielkim Meczezie. Jak się macie?

Po krótkiej wymianie zdań idziemy dalej.

– Lubię tu każde miejsce, bo to wszystko razem tworzy piękną całość.

Naiema przystaje przy kolejnej grupie turystów.

– Dzień dobry, panowie. Skończyliście już zwiedzanie? – zwraca się do nich. – Nie zapomnijcie zatrzymać się w Centrum Informacji. Macie tam kawę, wodę, książki, klimatyzację. Wszystko za jeden uśmiech. Do zobaczenia!

Naiema podchodzi znów do mnie.

– Muszę mówić, że to za darmo, bo jeszcze pomyślą, że jestem naganiaczką, że chcę od nich wyciągnąć pieniądze – tłumaczy. – A więc, moja droga sestro Anno, ten piękny meczet był marzeniem naszego sułtana. Sułtan chciał pozostawić po sobie coś unikatowego. W tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym drugim roku zorganizował konkurs na projekt świątyni. Zgłosili się architekci z wielu krajów. Ostatecznie sułtan wybrał zespół QUAD Design z Londynu. Architekt był Brytyjczykiem

pochodzącym z Iraku, nazywał się Mohamed Saleh Makiya. Sułtan zakochał się w jego pomysśle. „Właśnie ty urzeczywistnisz swój projekt dla mnie”, powiedział Makiyi.

Rozglądam się po okolicy.

– Widzisz, w tym meczecie we wszystkim widać wielką mądrość – ciągnie Naiema. – Wszystko ma tu określone znaczenie. Mamy pięć minaretów. Każdy z nich przedstawia jeden z pięciu filarów islamu. Najwyższy ma czterdzieści cztery metry wysokości i symbolizuje wiarę w jednego Boga. Pozostałe przypominają o modlitwie, jałmużnie, poście i pielgrzymce do Mekki. W łukach dookoła meczetu wykaligrafowane są imiona, atrybuty Boga.

– Naiema wskazuje na inskrypcje. – Jest ich w sumie czterdzieści dziewięć. Jest na przykład Bóg Miłosierny, Litościwy, Dobry, Kochający, Dający Życie, Życzliwy, Cierpliwy, Najświętszy, Nieskończony, Wielki, Niepokonany, Nieomylny i tak dalej.

Ściągamy buty, by wejść do sali modlitewnej dla mężczyzn. Naiema ścisza głos. Przed nami rozpościera się dywan.

– Przyleciał do nas z Iranu w pięćdziesięciu ośmiu kawałkach. – Moja rozmówczyni wskazuje na dywan. – Transportowało go dwanaście samolotów. Ma cztery tysiące metrów kwadratowych. W sumie zawiązanych jest tu siedemset miliardów węzłów. Spójrz tutaj, przy ścianie – Naiema kieruje dłoń w stronę krawędzi dywanu. – Na obrzeżach dywan jest ciemny. Im bliżej do żyrandola, tym odcień staje się jaśniejszy. Zrobili to celowo, żeby wyglądało, że to światło żyrandola rozjaśnia tkaninę. Dywan w muzułmańskiej świątyni może mieć wzór w kwiaty lub prostokąty albo może być pozbawiony jakiegokolwiek wzoru. Ten zdobią wizerunki tysiąca kwiatów. Pasuje do meczetu dla mężczyzn. Jakby był u kobiet, to zamiast się modlić, patrzyłybyśmy tylko na te kwiaty i kolory. Więc modlitwa koncentrowałaby się na dywanie. Dlatego u nas dywan ma proste geometryczne wzory. A dla mężczyzn to nie ma żadnego znaczenia. Ludzie mówią, że to dyskryminacja, a ja im odpowiadam, że to wszystko jest przemyślane. Na podłodze ani na dywanie nie ma wyznaczonych linii, ale mężczyźni i tak wiedzą, jak stanąć do modlitwy. Zaczynają od pierwszego rzędu i jak cały jest już wypełniony, to ustawia się następny rząd. Im bliżej stoisz, tym lepiej. To znaczy, że twoje serce chciało jak najszybciej służyć Bogu i się modlić, a skoro tak, to dostaniesz więcej. Podczas modlitwy wierni mogą dotknąć głową tego pięknego dywanu,

ponieważ są po ablucji. Nie dotyczy to jednak dzieci poniżej dziesiątego roku życia. Wielki Meczet jest jedyną omańską świątynią, w której młodsze dzieci nie mogą uczestniczyć w modlitwie. Wiesz dlaczego? Chodzi właśnie o to, żeby nie pobrudziły tego pięknego dywanu.

Naiema jest dziś moją osobistą przewodniczką. Czuję się wyróżniona, że to właśnie ona opowiada mi o meczecie.

– Budowa rozpoczęła się w tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym piątym roku, sześć lat później meczet otwarto dla wiernych. Świątynia zajmuje obszar czterysta szesnaście tysięcy metrów kwadratowych. W środku i na zewnątrz jednocześnie może się modlić dwadzieścia tysięcy ludzi. Kopuła meczetu jest ze złota. Ściany są z szarego i białego marmuru przywiezionego z Włoch. Reszta to piaskowiec z Indii. Kremowym wyłożono sale modlitewne, a różowym korytarze. Piaskowiec bardzo dobrze sprawdza się w tutejszym klimacie. Nie eroduje, bo tu nie ma deszczu. Pochodzi z Radżastanu, ale został przywieziony jako surowy materiał, tutaj go pocięto i wyrzeźbiono. W sumie sprowadzono tu trzysta tysięcy ton materiałów.

– Ale przecież w Omanie występuje zarówno marmur, jak i piaskowiec – wtrącam.

– Tak, ale sułtan chciał wybudować meczet z najlepszych materiałów, jakie tylko można dostać. Okna są z Francji. – Naiema kieruje dłoń w stronę witraży. – To jest mozaika zrobiona przez Irańczyków. Zobacz, z jakich malutkich części się składa. Mamy tu też naturalną klimatyzację. –

Moja przewodniczkka wskazuje na filary podtrzymujące sklepienie świątyni. – Dawniej każdy dom w Omanie miał podobne słupy. W środku jest pusta przestrzeń, przez którą do wnętrza dostaje się powietrze, powstaje tam ciąg i ten delikatny pęd powietrza chłodzi pomieszczenie. Popatrz na te małe żyrandole powieszzone po bokach. Widzisz krzyże nad nimi? To księżycowy kalendarz. Te wszystkie żyrandole są pokryte złotem. Dzięki Bogu, nie mamy w Omanie złodziei. Gdyby to było inne państwo, rano byśmy się obudzili i żyrandoli by nie było.

Dochodzimy do końca sali modlitw. W kościołach w tym miejscu znajduje się ołtarz. Tutaj jest jedynie wnęka zdobiona mozaiką.

– To mihrab – tłumaczy Naiema – czyli miejsce, z którego imam prowadzi modlitwę. Ale takie miejsce jest tylko w męskim meczecie, bo kobiety modlą się same. Mihrab zawsze wyznacza kierunek Mekki. Tu staje imam. Jak myślisz, dlaczego ta przestrzeń ma półokrągły kształt? Bo

w dawnych czasach nie było odpowiedniej technologii nagłośnieniowej. Kiedy imam prowadzi modlitwę, słysząc ją nawet z tyłu, nie potrzeba mikrofonu, bo dźwięk rezonuje na całą salę. Zobacz, rozmiar mihrabu jest dokładnie taki sam jak rozmiar głównego żyrandola. A żyrandol ma czternaście metrów wysokości i osiem metrów szerokości. Jest wykończony złotem z Niemiec, z Monachium, a kryształy są z Austrii. Jest tak wielki jak dwupokojowe mieszkanie.

Wychodząc z sali modlitw, Naiema wskazuje na książki leżące na półkach.

– Tu mamy Koran. Ta gruba księga to całość, w sumie trzydzieści rozdziałów. Rozdziały Koranu nazywamy surami. Cienkie książki zawierają po jednej surze. Nie musisz brać sobie do czytania całości. Możesz wybrać dowolną surę. Musisz wiedzieć, że Koranu można dotykać tylko po dokonaniu ablucji i nie wolno go brać do rąk podczas miesiączki. Nie dotyczy to przekładu Koranu na inny język.

Otwieramy gigantyczne rzeźbione drzwi i wychodzimy na środek placu. Idziemy boso w pełnym słońcu po marmurowej posadzce, która, o dziwo, nie parzy nas w stopy.

– To jest właśnie marmur. Możesz po nim chodzić, nawet jak na zewnątrz jest pięćdziesiąt stopni. Nie oparzy cię.

Czuję się, jakbym była w pięknym klasztorze z Naiemą przypominającą matkę Jezusa. Czas się tu zatrzymał. Nie słysząc odgłosów miasta, nikt się nie spieszy, a życie na zewnątrz jakby nie istniało.

– Zobacz, na przykład to, że modlimy się pięć razy dziennie, też pomaga nam pamiętać o Bogu. Z każdego miejsca usłyszysz tu nawoływanie do modlitwy. Dlatego trudno o niej zapomnieć. Odrywamy się wtedy od wszystkiego, co doczesne, od zmartwień, od tego, co stresujące. Przez chwilę łączymy się tylko z Bogiem, przypominamy sobie, co jest w życiu ważne i wartościowe, i w zamian dostajemy spokój. Zatrzymujemy się na chwilę i łączymy ze źródłem bożym. Trwa to pięć minut i potem wracamy do naszego życia. To jest też cudowny sposób na wyciszenie, darmowa psychoterapia.

Wracamy do centrum. Hinduski bramin również skończył zwiedzanie meczetu. Rozsiadł się wygodnie w rogu pomieszczenia, sprawdziwszy uprzednio, czy jest szczelnie owinięty szalem. Wokół niego zebrała się grupka złożona z jego hinduskich towarzyszy, miejscowego szajcha i kilku kobiet z centrum. Naiema przysiadła się do bramina, a do mnie podchodzi

młoda dziewczyna z nikabem. Nie zakrywa nim jednak twarzy, zasłona odchyłona jest na głowę. Dziewczyna ma zarzuconą na abaję luźną czarną pelerynę z kapturem, zwaną himarem. Mówi niskim, przyjemnym głosem i odznacza się delikatną urodą – małym nosem i ciemnymi oczami, które okalają długie rzęsy. Jej brwi nie są wyregulowane. Dziewczyna nie ma też na sobie makijażu. Na imię ma Mariam.

– To imię matki proroka Isa, czyli po arabsku Jezusa – dodaje, przedstawiając się. – Widziałam jej obraz w kościele. Kiedyś zajrzałam tam, żeby zobaczyć, jak kościół wygląda w środku. I na wiszącym tam obrazie Mariam nosiła hidżab. Myślę, że w Biblii jest też wzmianka o tym nakryciu głowy. My, muzułmanie, naśladujemy Mariam, idziemy jej drogą, bo to matka proroka. A ciebie widzę tu po raz pierwszy. Jak masz na imię?

– Jestem Anna.

– O! A to akurat imię matki Mariam. Miło cię poznać. – Uśmiecha się, a zaraz potem wyznaje: – Kiedyś częściej tu przychodziłam, ale niedawno urodziłam dziecko i sporo czasu spędzam w domu.

– Urodziłaś dziecko? Kiedy? – pytam.

– Cztery miesiące temu – odpowiada Mariam.

– O, to maluszek jeszcze. To twoje pierwsze dziecko?

– Nie, czwarte.

– Jesteś bardzo młoda. Wyglądasz na dwadzieścia lat.

– Mam trzydzieści.

– Widzę, że nosisz nikab. Często zakrywasz nim twarz?

– Tak, często. Zakrywam, bo to Kocham.

– Kochasz to?

– Hmm, bo jeśli coś jest piękne i cenne jak prawdziwy skarb, to trzeba to chować. Trzeba się o to troszczyć. Z nakryciem twarzy czuję się bardzo dobrze. W mojej rodzinie jestem jedyna. Moje siostry i matka nie noszą nikabów.

– Kiedy podjęłaś taką decyzję? – pytam.

– Odkąd pamiętam, kochałam sam pomysł zakrywania twarzy. W meczecie odkrywam się, bo przychodzi tu dużo turystów i oni boją się kobiet zakrywających twarz. Ludzie myślą, że ci, którzy się zakrywają, noszą pod ubraniem bombę. Dlatego tu odsłaniam twarz. Nie zakrywam twarzy również wtedy, gdy idę po dzieci do szkoły, bo niektórzy uczniowie się tego boją. Na co dzień jednak chodzę w nikabie. Zauważyłam, że jak jestem zakryta, to mężczyźni czują do mnie większy respekt. Nie zaczepiają

mnie. Jak masz zakryte twarz i usta, to tworzy się większy dystans. Zakładam też himar, który zasłania dodatkowo moje biodra. Uważam, że w samej abai za bardzo widać moje kształty. Czasami w abai kobieta wygląda bardziej atrakcyjnie niż bez niej, więc zakładam na nią himar, który jak widzisz, jest szeroką peleryną.

– To ile masz na sobie warstw ubrań?

– Zaczynam od bielizny, na nią zakładam abaję, potem hidżab. Himar zakładam na hidżab, potem zakładam na to wszystko zasłonkę z dwoma otworami na oczy, przypominającą nikab. Widzisz, w islamie powinnaś zakryć wszystko oprócz twarzy i dłoni. Ale ja akurat chcę zakrywać twarz. To moja decyzja.

– A stopy?

– Stopy również zakrywam i dłonie często też. Tak jest mi dobrze. Czuję się z tym szczęśliwa.

Rozmowę przerywa nam głośna dyskusja pomiędzy Hindusami i wolontariuszami z meczetu. Okazuje się, że Hindusi są przedstawicielami nowego odłamu w hinduizmie.

– Oni uważają, że należy lepiej traktować kobiety. Tam, w Indiach, kobiety nie mają łatwego życia – tłumaczy mi Mariam. – Nasi goście to Hindusi mieszkający w Emiratach Arabskich. Właśnie budują ogromną świątynię w Abu Zabi. Przyjechali zobaczyć, jak działa nasz meczet.

– Oni mają takie małe czarne kamyki. – Atyia, z którą zaraz zacznę kolejną lekcję arabskiego, pokazuje mi jeden z nich. – Kładą je na dłoni i to pomaga im się połączyć z Bogiem. Łatwiej im się skoncentrować, bo ich zdaniem każdy taki kamyk symbolizuje Boga – tłumaczy.

Na jej twarzy pojawia się lekki grymas, może nawet uśmiech. Atyia szybko obraca głowę i odchodzi. Nie chce pokazać po sobie, co myśli na temat małego czarnego kamyka.



– Zaświadczam, że nie ma innego Boga prócz Allaha, a Mahomet jest jego posłańcem. – Alisza, drobna dziewiętnastolatka, trzykrotnie powtarza islamskie wyznanie wiary. Mówi niewyraźnie i cicho. Nie zna dobrze arabskiego. Lekko się uśmiecha onieśmielona tym, że wszystkie zebrane w pomieszczeniu kobiety patrzą właśnie na nią. Jest przecież tylko służącą.

Pani Aliszy jechała z nią do Maskatu ponad dwie godziny, żeby dziewczyna mogła wziąć udział w ceremonii. Siedzi bosko na miękkim dywanie w kącie pomieszczenia z podwiniętymi nogami. Naprzeciw niej siedzi Naiema i intensywnie patrząc Aliszy w oczy, wymawia po arabsku tekst szahady. Muzułmańskie wyznanie wiary może zostać wypowiedziane tylko w języku arabskim. Inaczej jest nieważne. Alisza patrzy na Naiemę i powtarza jej słowa. Jest ubrana w prostą abaję, a na głowie ma już zawiązaną chustę. Od tej pory będzie ją nosić stale z wyjątkiem chwil, gdy wokół będą tylko kobiety bądź najbliższa rodzina. Ceremonia trwa niecałe pięć minut. Nie ma prezentów, wielkiej uroczystości, jedzenia i picia. Na zakończenie kobiety ściskają serdecznie Aliszę i wznoszą modlitwy dziękczynne do Boga. W ich oczach widać łzy.

Alisza pochodzi z Etiopii. Wszyscy jej bliscy należą do etiopskiego kościoła prawosławnego. Jak przywita ją rodzina i czy ją przyjmie z powrotem, gdy dziewczyna wróci kiedyś z Omanu? Tego Alisza nie wie. Na razie uśmiecha się do zebranych, spuszczać wzrok. Jej pracodawczyni również się uśmiecha. Bóg nagradza niebem tych, którzy nawracają niewiernych. Alisza i madame rozmawiały o islamie prawie rok. Aż któregoś ranka dziewczyna stwierdziła, że jest gotowa.

Po wypowiedzeniu przez Aliszę słów szahady trzeba tylko sporządzić certyfikat i sprawa załatwiona. Jedna wyznawczyni Allaha więcej. Naiema uśmiecha się szeroko.

– W naszej religii wciąż nawracamy. Im więcej osób nawrócimy, tym lepiej. Tak nam nakazał Allah. Ale ten, kto przechodzi na islam, musi sam tego chcieć. Czy mówiłam ci już, że moja synowa jest innego wyznania? Ma na imię Weronika, pochodzi z Rumunii.

Naiema wyciąga telefon i pokazuje mi zdjęcie uśmiechniętej dziewczyny z długimi blond lokami.

– Nie jest muzułmanką, więc może chodzić odkryta. Jest szczęśliwa w swojej religii, a my nigdy nie będziemy jej zmuszać do przejścia na islam. To musi wypływać z serca.

W Centrum Edukacji przy Wielkim Meczezie niemal codziennie ktoś zmienia wiarę. Miesiąc temu do meczetu przyjechał filipiński szajch. Naiema zorganizowała mu spotkanie z Filipinkami przebywającymi w Omanie. Szajch opowiadał im o islamie przez trzy dni. W ostatnim dniu jego nauk czterdzieści dwie kobiety przeszły na islam.

– One wcześniej były głęboko wierzącymi katoliczkami – mówi Naiema.
– Ale szajch im powiedział: „Otwórzcie oczy! Chrystus nie może być waszym Bogiem. On został stworzony w łonie Marii. Tak jak wy potrzebował jeść każdego dnia, tak jak wy miał chwile słabości, tak jak każdy korzystał z toalety. Był człowiekiem, posłańcem Boga, ale nie samym Bogiem. A my wierzymy, że jest tylko jeden stwórca. Nie potrzebujemy żadnych pośredników”. To je przekonało. Czy słyszałaś, droga siostrzo Anno, że na Filipinach kiedyś żyli sami muzułmanie, tylko potem przyszli Hiszpanie i wprowadzili religię katolicką?

Od czasu do czasu omańskie teściowe przyprowadzają do Wielkiego Meczetu swoje synowe z zachodniego świata. Rosjanki, Bułgarki, Polki, Brytyjki. Wszystkie w czarnych abajach i chustach zakrywających włosy. Przeglądam księgi, w których rejestruje się nowych muzułmanów. To opasłe tomiska w pozłacanych okładkach. Leżą w szafce w centrum, zaraz pod telewizorem, przy stoliku z kawą i daktylami. W księdze zapisane są dotychczasowe imiona nawróconych, ich nazwiska i nowe islamskie imiona, narodowość, poprzednie wyznanie, numer paszportu i numer kontaktowy. Tu nie istnieje coś takiego jak RODO, w meczecie życie opiera się na wzajemnym zaufaniu. Wszystkie dane z pozłacanych ksiąg trafiają do Ministerstwa Darowizn i Spraw Religijnych. Tam wydawane są zaświadczenia o przejściu na islam. Dziewięćdziesiąt osiem procent osób przyjmujących islam w Wielkim Meczcie to chrześcijanie. Biorę księgę z 2013 roku, zapisanych jest w niej 244 nawróceń, w 2014 roku – 240. W 2015 roku, tylko siódmego czerwca – aż 3 kobiety wypowiedziały słowa szahady. Dwie Afrykanki i jedna Filipinka.

– Jakies dwa tygodnie temu na islam przeszło tu dwoje żydów – mówi Naiema. – Ci starsi państwo przyjechali ze Stanów, mieli paszport amerykański, ale byli wyznawcami judaizmu. To byli wykształceni ludzie, którzy wszystko dokładnie przemyśleli i przyjęli islam z pełną wiedzą i przekonaniem.

Kilka dni temu na islam przeszła też Ophelie, dwudziestotrzyletnia Francuzka, która przyleciała do Omanu na dwa tygodnie. Ophelie pochodzi z małej wioski leżącej na południu Francji. Jest doradcą podatkowym. Do centrum wchodzi uśmiechnięta od ucha do ucha. Ma na sobie brązową sukienkę podobną do dżalabii i chustę w tym samym kolorze. Nie nosi makijażu. W Omanie jest po raz drugi.

– Wcześniej była tu na wakacjach – opowiada Naiema. – Wróciła do domu, coś ją tu jednak ciągnęło. Chciała dowiedzieć się więcej o islamie, bo nasza religia ją intrygowała. Przed wakacjami kojarzyła islam jedynie z terroryzmem, a u nas zobaczyła pokorę i pokój. Po pierwszej wizycie w meczecie długo myślała o tym, czego tu doświadczyła. Mówi, że poczuła w tej religii szczęście. Rozmawiała przez kilka dni z naszymi wolontariuszkami, a potem oznajmiła, że jest gotowa przyjąć islam. Ophelie chciałaby też zmienić imię na muzułmańskie.

– Teraz będziemy próbowały znaleźć jej męża – wtrąca Hajat, kolejna wolontariuszka pracująca w meczecie. – Na razie poleci do siebie, bo musi wrócić do rodziców. W naszej wierze rodziców otacza się szacunkiem. Masz obowiązek rozmawiać z rodzicami każdego dnia i jeśli trzeba, opiekować się nimi. Pamiętaj, nie pójdiesz do nieba, jeśli zaniedbujesz rodziców. Potem Ophelie tu wróci i wyjdzie za mąż. Rozmawiałam z nią dużo o czystości naszego ciała, o związkach, o miłości. Tłumaczyłam, dlaczego powinna unikać bezpośrednich relacji z mężczyznami. Mówiłam, żeby uważała na mężczyzn, którzy chcą się z nią umówić na niewinne spotkanie. Oni nie mają dobrych intencji. Ophelie będzie też studiować tu Koran.

– Gdybyś i ty, droga siostró Anno, chciała studiować Koran, to daj mi znać. Wszystko zorganizujemy – proponuje mi Naiema. – Nasze dwie siostry z Filipin i Etiopii też studiują świętą księgę. Przyjechały do Omanu jako służące i przeszły na islam. Zapewniamy im szkołę, pokój w hostelu dla kobiet i wyżywienie. One w zamian rozmawiają z kobietami ze swoich krajów, które pracują w Omanie jako służące i rozważają przyjęcie islamu. Nasze siostry są bardzo szczęśliwe. Mówią, że kiedyś były tylko służącymi, a teraz podróżują po całym kraju, zatrzymują się w hotelach, mają darmowe posiłki. Ale przy tym wszystkim są pokorne i skromne. Widzisz, siostró Anno, skromność i pokora są bardzo ważne. Im bardziej jesteś pokorna, tym więcej otrzymasz od Allaha.



Minęła dwunasta trzydzieści. Zbliża się pora ablucji i modlitwy. Wolontariuszka Hajat spędza dziś dużo czasu z Ophelie. Dziewczyna za kilka dni wróci do Francji, a musi się jeszcze sporo nauczyć. Dzisiaj

planują naukę ablucji. Pytam Hajat, czy mogłabym do nich dołączyć. Idziemy do dużej łazienki z kamienną podłogą. Ze ścian na wysokości kolan wystają kranie, przed nimi znajduje się kamienna ława. Siadamy, zdjawszy wcześniej klapki. Nogi kładziemy na kamiennej posadzce między kranem a ławą.

– Zdejmujesz klapki, siadasz bosymi stopami przy kraniku i zaczynasz od słów Bismillah, co znaczy „w imieniu Allaha” – tłumaczy Hajat. – Podczas ablucji z nikim nie rozmawiasz, możesz jedynie odpowiedzieć na pozdrowienie. Niektórzy się w tym czasie modlą. Zaczynasz od rąk, myjesz je aż po nadgarstki. Najpierw lewą ręką myjesz prawą. Robisz to trzy razy, tak by woda dokładnie obmyła rękę. Pamiętaj o miejscach między palcami. Potem w ten sam sposób myjesz lewą rękę. Teraz nabierz do prawej ręki wody i przepłucz nią usta trzy razy. – Hajat demonstruje płukanie ust, a na koniec wkłada do nich palec i szoruje nim zęby. – Teraz nabierz do prawej ręki wody, trzy razy wciągnij ją do nosa i wysmarkaj, ściskając nos lewą ręką. Następnie, używając obu rąk, trzy razy obmyj dokładnie twarz i oczy. Od czoła aż po brodę. Teraz odchyl rękawy abai i znowu umyj dokładnie każdą rękę aż po łokieć. Zrób to trzykrotnie.

Wreszcie Hajat ściąga z głowy hidżab. Pierwszy raz widzę ją bez chusty, a spotykamy się od ponad roku. Hajat ma mocno kręcone kasztanowe włosy.

– Teraz umyj włosy od czoła do połowy głowy. Trzy razy. Następnie dokładnie umyj uszy. Na koniec musisz trzy razy umyć każdą stopę. Dokładnie między palcami. O, widzę, że masz lakier na paznokciach – zauważa Hajat. – My nie malujemy paznokci, nie da się ich umyć, kiedy są zakryte lakierem. Jeśli będziesz chciała się modlić, musisz zmyć lakier. Pamiętaj też, że po ablucjach nie wolno się wycierać, chyba że jest zimno albo jest burza piaskowa. I pamiętaj, żeby nie marnować wody. Wykonujesz czynności jedną po drugiej bez przerw. Na koniec mówisz po arabsku: „Składam świadectwo, że jest jeden Bóg i że prorok Mahomet jest jego ostatnim posłańcem. O, Allahu, dołącz mnie do skruszonych i oczyszczonych”.

Powoli powtarzamy z Ophelie słowa modlitwy. Dźwięki zaczynają płynąć jak melodia. Niektóre wyrazy Hajat wymawia dłużej, przeciągle, inne szybko urywa. Słowa zmieniają rytm i intonację.

– Jak nie masz dostępu do wody, to oczyszczasz twarz i ręce ziemią – mówi Hajat. – Nazywamy to suchą ablucją. Ziemia jest czysta. Tylko to nie

może być cement, wapno, nawóz, popiół czy wilgotna glina. A jeśli nie ma w pobliżu ziemi, to użyj tego, co masz, nawet pyłu albo kurzu. Ważne, żeby to była naturalna substancja Ziemi.

Kobiety idą się modlić do meczetu. O tej porze wstęp do świątyni mają tylko muzułmanie, czekam więc w centrum, aż wrócą. Zostaje ze mną Hajat, która już po chwili pokazuje mi, jak powinna wyglądać modlitwa.

– Jeśli jestem poza meczetem i nie wiem, gdzie jest Mekka, to korzystam ze specjalnej aplikacji w telefonie, która pokazuje mi kierunek, w którym powinnam się zwrócić. Modlitwa powinna być wykonywana w stronę Mekki, świętego miejsca islamu. W krajach arabskich w każdym pokoju hotelowym zaznaczony jest kierunek Mekki. Pokazuje go mała strzałka na suficie.

Hajat układa dywanik na podłodze w kącie pomieszczenia.

– Modlitwę zaczynam na stojąco i podnoszę ręce do góry, wypowiadając słowa: Allahu Akbar, czyli „Allah jest wielki”. Potem kładę ręce pod sercem, choć niektórzy trzymają je wzdłuż ciała, i schylam się nieco. Przesuwam dłonie na kolana, mówiąc: „Chwała niech będzie panu wspaniałemu. Niech Allah usłyszy tych, którzy go chwala”. Następnie podnoszę się i mówię: „O Panie, bądź pochwalony”. Czy wiesz, dlaczego, modląc się, dotykamy czołem ziemi? Bo tu – Hajat wskazuje palcem czoło – mieści się całe nasze ego. W czasie modlitwy chcemy je zostawić jak najniżej, pozbyć się go. Chcemy zapomnieć o naszych problemach, o naszym życiu i być tylko z Bogiem. I wiesz co? Nawet jeśli przed modlitwą mam jakąś stresującą sytuację, coś mnie martwi, ktoś był dla mnie niemiły, to po modlitwie czuję się oczyszczona i spokojna. Nie pamiętam tego, co było wcześniej.

Tego dnia dowiaduję się też, że każda nieuwaga, złe ustawienie nóg, spojrzenie nie tam gdzie trzeba czy nieodpowiednie ułożenie ubrania czyni modlitwę nieważną. Diszdasza mężczyzny nie powinna dotykać podłogi, abaja kobiety powinna zakrywać całą jej stopę. Klękając i dotykając czołem podłogi, nie można trzymać rąk zbyt szeroko, nie można też odrywać stóp od ziemi. Po dotknięciu czołem podłogi należy usiąść na lewej stopie, co jest dość trudne dla osób, które nie praktykują modlitwy od małego. Nie wolno obracać się w prawo ani w lewo, nie wolno też patrzeć w sufit. Nie wolno sprawdzać, która jest godzina. Co także istotne, do meczetu należy wchodzić prawą nogą, a wychodzić lewą.

– Tego uczą w szkołach. Dzieciaki już od małości ćwiczą techniki modlitwy w grupach. Nasiąkamy tym i z czasem już mamy to we krwi – włącza się do rozmowy Naiema, która właśnie wróciła z modlitwy w meczecie. – To jest dla nas jak oddychanie.

Rozglądam się po regale z książkami. Zauważam pozycję *Pray as you have seen me praying. Prayer in sketches and color prints* (Módl się tak, jak ja. Modlitwa w szkicach i z kolorowymi grafikami). Z okładki dowiaduję się, że autorem jest doktor Ali bin Hilal Al'Abri z Uniwersytetu sułtana Kabusa w Maskacie. Zaglądam do środka. Mój wzrok przykuwają rozdziały zatytułowane „Toaleta w mieście” oraz „Toaleta poza miastem”. Zagłębiam się w lekturze. Z pierwszego tekstu dowiaduję się, że potrzeb fizjologicznych nie wolno załatwiać na drogach, ścieżkach, w czyimś domu bez zgody właściciela, pod drzewami, w ogrodach czy na terenie gospodarstw. Drugi instruuje mnie, jak załatwiać potrzeby fizjologiczne poza miastem – należy odejść na bok i ukryć się przed innymi, nie kierować się w stronę Mekki, unikać ustawiania się pod wiatr, szukać miękkiej nawierzchni i miejsc położonych nisko, unikać głębokich dziur, ruin i starych domów.

Hajat zauważa, co czytam, i spieszy z wyjaśnieniami.

– Widzisz, u nas wszystko opisane jest w Koranie. Prorok zostawił nam dokładne wytyczne dotyczące wszystkich aspektów naszego życia, nawet korzystania z toalety, która jest brudnym miejscem i może się w nim czaić szatan. Ponieważ przed szatanem chroni modlitwa, zawsze modłę się, wchodząc do toalety. Proszę Boga o ochronę przed szatanem. Chcesz wiedzieć, jak to wygląda? – pyta Hajat i zaraz mi tłumaczy: – A więc tak, do toalety wchodzisz lewą nogą i mówisz: „O Allahu, szukam schronienia u ciebie od demonów płci męskiej i żeńskiej”. Nie wchodzisz do toalety z Koranem ani innymi książkami. W toalecie unikasz rozmowy i słuchania rozmów innych. Nie odpowiadasz też na pozdrowienia. Niedopuszczalne jest jedzenie, picie i czytanie w trakcie wypróżniania. Wypróżniasz się w kucki, nie na stojąco. Chyba że inaczej nie możesz. Unikasz dotykania wszelkich nieczystości. Trzy razy ścierasz je papierem, kamieniem albo innym stałym przedmiotem, ale nie kością ani łajnem, bo są one pożywką dla demonów. Potem myjesz miejsca intymne wodą, używając lewej ręki. Wychodzisz z toalety najpierw prawą stopą i mówisz: „Boże, proszę o wybaczenie”.



– No dobrze, moja siostró Anno, porozmawiajmy o dzieciach grzechu. – Złożywszy dywanik po południowej modlitwie, Naiema powraca do świata doczesnego.

Siedzimy pod akacjami przy Wielkim Meczezie. Jest zima, na zewnątrz lekko wieje i jest niespełna trzydzieści stopni. Turyści już poszli i zrobiło się cicho. Słysząc tylko odgłosy pracy robotników z Indii ubranych w granatowe uniformy, którzy zamiatają i tak czyste chodniki. Teraz można rozmawiać w spokoju. Kobiety z meczetu przyzwyczyły się do mojej obecności i rozmów z Naiemą. Czasem wtrącają się do dyskusji, czasem tylko słuchają.

– W islamie Bóg jasno wyraża się na temat ziny, czyli cudzołożenia lub seksu pozamałżeńskiego. Nie podchodź blisko, ostrzega. A dlaczego? Bo to może łatwo doprowadzić do grzechu. Pierwszy krok do grzechu to twoje oczy. Koran mówi, że i kobiety, i mężczyźni nie powinni ufać swojemu spojrzeniu. Pamiętaj! Nie idź za spojrzeniem. Jeśli idziesz za nim, możesz mieć problemy. Ja już jestem stara i mam starego męża, ale jeśli zaczęłabym się rozglądać na prawo i lewo i znalazłabym jakiegoś przystojniaka, to pomyślałabym od razu: „O mój Boże, ale jestem biedna, całe życie spędziłam z tym moim mężem starcem”. I mogłabym pójść złą drogą. Zapamiętaj, oczy są bardzo niebezpieczne. Bardzo! Kobieta musi o tym pamiętać. Powinna patrzeć w dół. Nawet kiedy się porusza. Powinna chodzić w sposób, który nie wzbudza pożądania. Skromnie. Kiedy mówi, nie powinna tego robić wyzywająco, tak żeby ludzie, którzy mają chore serca, nie zaczęli o niej myśleć w nieprzyzwoity sposób. Jej ubranie też nie powinno przyciągać uwagi. Ubranie ma mówić: „Odejdź!”. Nie należy też zostawać na osobności z obcym mężczyzną. Nie myśl sobie: „Jestem głęboko wierząca, więc nic się nie stanie. To tylko mój sąsiad, on jest jak brat”. Wiedz, że kiedy będziecie razem na osobności, szatan zacznie podsuwać ci pomysły. Twoje serce zacznie bić szybciej, a diabeł zacznie podpowiadać: „Zobacz, jakie on ma piękne oczy, jaki jest miły, jaki jest przystojny”. Nie możesz do tego dopuścić. Bo jeśli tak się stanie, to jesteś już stracona. Właśnie w takiej sytuacji na świat przychodzą dzieci grzechu.

Dzieci grzechu zostawiane są potajemnie przed meczetem, najczęściej owinięte w kocyk, w tekturowym pudełku. Rodzą się w domach, po cichu. I po cichu są oddawane. Nikt tu o nich głośno nie mówi. To dzieci ze związków pozamałżeńskich, dzieci prostytutek albo służących. Dzieci nielegalne. Bo nielegalnie przyszły na świat. Bo miało ich tu nie być.

– Nie możesz zatrzymać takiego dziecka. Musisz się go pozbyć – tłumaczy Naiema. – Tak jest nie tylko tu, w Omanie, w innych krajach arabskich też. Jeśli kobieta zatrzyma takie dziecko, to ona i jej bliscy będą mieli problemy. No chyba że kobieta mieszka w odizolowanym miejscu. W naszym społeczeństwie dziecko grzechu to duży problem. Dlatego lepiej je oddać. Ale pamiętaj, dziecko jest niewinne w oczach Boga, ono nie zrobiło niczego złego. Nie można patrzeć na nie jak na kryminalistę. W islamie nie ma czegoś takiego jak grzech pierworodny. Każdy rodzi się niewinny i nieważne, czego dopuścili się jego rodzice, on sam jest czysty. Za to rodziców czeka kara. Kiedyś była to kara zgodna z nakazami Koranu. Sura dwudziesta czwarta aja druga mówi tak: „Cudzołóżnicy i cudzołóżnikowi wymierzcie po sto batów, każdemu z nich obojga! W imię religii Boga, jeśli wierzycie w Boga i w dzień ostatni, niech nie powstrzyma was żadna względem nich pobłażliwość, I niech pewna grupa wiernych będzie obecna przy ich karze”. Dziś w Omanie karą za cudzołóstwo jest więzienie. Dlatego rodziny starają się ukryć problem. Wiedzą, że jeśli pod osłoną nocy zostawią dziecko pod drzwiami meczetu albo supermarketu, to rano ktoś je odnajdzie i zabierze do sierocińca.



Małego Kejsa do szpitala przywieźli śmieciarze. Była piąta rano. Znaleźli go leżącego w kartonowym pudełku obok Lulu, hipermarketu należącego do popularnej na Półwyspie Arabskim sieci sklepów. Do zawiniątka doprowadził ich płacz. Jeden z mężczyzn owinał dziecko w koszulę. Chłopczyk był brudny, odwodniony, prawie siny. Porzucono go zaraz po porodzie. W szpitalu okazało się, że ma wadę serca. Dziecko miało domieszkę hinduskiej krwi. Prawdopodobnie jego matką była hinduska służąca, a ojcem Arab. W Omanie każde znalezione dziecko jest własnością państwa. Do szpitala przyjechała więc policja, przesłuchano śmieciarzy i spisano protokół. Ponieważ chłopczyk był w kiepskim stanie,

zdecydowano, że zostanie na oddziale szpitalnym. Dopiero później miał trafić do domu dziecka.

Kobieta, z którą rozmawiam o Kejsie, ma w oczach łzy. Jej palce mną koniec chusty przewiązanej na głowie. Jest lekarką pracującą w tutejszym szpitalu. Prosi, by nie podawać jej imienia. Jest w połowie Omanką, jej mama pochodzi z Europy, a tata jest stąd.

– Byłam stażystką na oddziale pediatrii – opowiada. – To był 2003 rok. Pamiętam, jak zobaczyłam go po raz pierwszy. Był malutki i taki samotny. Nikt go nie odwiedzał. Zapytałam dlaczego. Powiedziano mi, że to porzucone dziecko. Kejs miał wtedy dwa miesiące i był niedożywiony. Bał się wszystkiego, nie chciał jeść w szpitalu, nie miał nic swojego. Kupiłam mu ubranka i zaczęłam go odwiedzać, kiedy tylko mogłam. Gotowałam mu wartościowe, smaczne jedzenie i wpadałam go nakarmić między pacjentami. Dzięki temu zaczął przybierać na wadze i rosnąć. Jak mnie widział, to reagował, podnosił rączki w moją stronę. Od czasu do czasu brałam go też na przepustki do domu. Zauważyłam wtedy, że u mnie więcej je. Kejs miał chorobę sierocą. Potrzebował bliskości. Jak siedziałam razem z nim w domu, to był spokojny. Ale jak wychodziłam, to dostawał furii. Nie lubił też widoku chusty na głowie. Pamiętam, że kiedy moja mama chciała się modlić i ubierała się w abaję, a na głowie wiązała chustę, to Kejs zaczynał płakać. Mama uspokajała go słowami: „Zobacz, to wciąż ja”.

Kobieta wyciąga telefon i czegoś w nim szuka. Po chwili pokazuje mi zdjęcie małego, uśmiechniętego chłopczyka siedzącego na schodach jej domu.

– To właśnie nasz Kejs – mówi. – Po miesiącu takich przepustek zdecydowałam, że wezmę go do siebie na stałe, ale ordynator nie chciał się zgodzić. Musiałam iść do biura spraw społecznych i zgłosić wolę zabrania chłopczyka do domu. Przyjechali do nas pracownicy biura. Chcieli sprawdzić, w jakich warunkach mieszkam. Największym problemem było to, że nie miałam męża. Nie wiedzieli, czy w tej sytuacji mogą mi dać dziecko na wychowanie. Zwrócili się więc po radę do miejscowego szajcha. Ostatecznie uznali, że powinnam dostarczyć im oświadczenie, że to nie moje dziecko. Kiedy je przedstawiłam, mogłam wreszcie wziąć Kejsa do domu. Bardzo dobrze się rozwijał. Zaczął siedzieć, potem też chodzić. To był cudowny czas.

Nagle kobieta poważnieje.

– Z powodu wady serca Kejs musiał jednak wrócić do szpitala na operację. Załatwiłam u rodziny Bahwan, jednej z najbogatszych omańskich rodzin, pieniądze na leczenie w Stanach. A to było niemało, sto pięćdziesiąt tysięcy dolarów. Ale przed wylotem do Stanów Kejs musiał przejść operację w Maskacie. Pamiętam, jak wyjeżdżaliśmy z domu. Nie wiedział, dokąd jedziemy, ale tego dnia bardzo płakał. Nie lubił szpitala. Bał się go. Kiedy przygotowywali go do operacji, nie chciał mnie puścić. Powiedziałam mu, że wszystko będzie dobrze. Ucałowałam go i pojechał.

Głos kobiety zaczyna się łamać.

– Był siódmy lutego dwa tysiące czwartego roku. Kejs zmarł na stole operacyjnym. Miał rok i miesiąc. Umarł jako Kejs, sługa Boży. Nie miał nazwiska, bo nazwisko dostaje się tutaj po ojcu.

Do dziś w domu lekarki, która go przygarnęła, wisi zdjęcie małego, śniadego chłopczyka. Wygląda na szczęśliwego. To Kejs, którego imię po arabsku znaczy „szczęśliwy”. Miałby teraz dwadzieścia lat.

Nielegalnym dzieciom od lat pomaga rodzina jednego z najbogatszych Omańczyków, szejka Sauda Bahwana. Sam szejk zmarł w 2008 roku, ale jego dzieło kontynuują krewni darczyńcy. Od 1998 roku rodzina finansuje sierociniec prowadzony przez Ministerstwo Rozwoju Społecznego. Dom dziecka znajduje się na obrzeżach Maskatu. Trudno tam trafić. Nie ma żadnych tablic informacyjnych. Od świata zewnętrznego budynek odgradza wysoki mur. Wewnątrz żyją dzieci i ich zastępcze matki. Każda zmiana spędza z podopiecznymi po trzy doby.

– Dzieciakom jest tam dobrze. Tyle tylko, że to nie trwa wiecznie – mówi lekarka, która zajmowała się Kejsem. – Póki są małe, mają opiekę, ale kiedy dorosną, muszą opuścić dom dziecka i stają się wyrzutkami. W Omanie bez rodziny jesteś nikim. Po opuszczeniu sierocińca ci młodzi ludzie często popadają w uzależnienie od narkotyków. Później już nikt o nich nie dba.



Jest pierwsza po południu. Dyskusja o nielegalnych dzieciach zainteresowała wszystkie kobiety w Centrum Edukacji przy Wielkim Meczezie. Przyszedł też Abdulla, który chce w przyszłości zostać uczonym w wierze. Ma dwadzieścia sześć lat i zdaniem Naiemy jeszcze mało wie

o życiu. Mężczyzna zwraca się do niej „ciociu”. To znak szacunku. Od Naiemy wiem, że młody szajch szuka żony, żeby nie zgrzeszyć. Lepiej wziąć ślub, niż się męczyć. Abdulla stara się żyć zgodnie z przykazaniami bożymi i nie chce mieć myśli, które prowadzą do grzechu, ale żądze, które targają jego młodym ciałem, nie pozwalają mu się skupić na tym, co istotne.

Sprawa jest poważna. Za seks przedmałżeński w Omanie można trafić do więzienia, ale Abdulla zdecydowanie bardziej od więzienia boi się gniewu Bożego. Naiema doskonale wie, że powinna szybko znaleźć właściwą kandydatkę. Trzeba się spieszyć, zanim chłopak popełni błąd. Abdulla ma zaufanie do Naiemy. To mądra kobieta i jeśli poleci mu jakąś dziewczynę, będzie to dobry wybór.

Abdulla jest wysoki, ma długą czarną brodę, oliwkową skórę i szeroki, szczery uśmiech. Sprawia wrażenie lekko nieporadnego. Nie wie, gdzie usiąść, by nie przebywać zbyt blisko żadnej z kobiet, ale jednocześnie wszystko widzieć i słyszeć. W końcu znajduje sobie miejsce.

Abdulla w Centrum Edukacji bywa często. Dziś po raz kolejny przyszedł się dowiedzieć, czy Naiema znalazła mu odpowiednią dziewczynę. Niestety, wolontariuszka nie ma dla niego dobrych wieści. Chłopak musi czekać dalej. Abdulla zagryza zęby i posłusznie dziękuje za dotychczasowy wysiłek. Będzie czekał, bo nakazy boskie są dla niego najważniejsze. Złości się, gdy słyszy o przypadkach seksu pozamałżeńskiego.

– Tu, w Omanie, sąd nie przestrzega praw boskich. Wszystko z powodu nacisków ze strony Zachodu – oburza się Abdulla. – Mówię w ten sposób, bo chcę być z tobą szczery – zwraca się do mnie już nieco spokojniej.

– Powinieneś ująć to inaczej – poprawia młodego szajcha Naiema. Widać, że czasem lubi się z nim droczyć.

– No tak, nie chodziło mi o całe sądownictwo, o wszystkie wykroczenia, ale na przykład o sytuację, kiedy dziewczyna zajdzie w ciążę pozamałżeńską. U nas trafiłaby za to do więzienia. Tymczasem powinna dostać sto batów i wyjść za mężczyznę, z którym zaszła w ciążę. Jeśli zaś jest mężatką i zdradziła swojego męża, powinna ponieść śmierć przez ukamienowanie. Tak mówi Koran. Podobnie jest z mężczyznami. Jeśli mężczyzna nie jest żonaty, to powinien dostać sto batów. Ale jeśli jest żonaty i zdradzał żonę...

–...to powinien zostać ukamienowany. – Naiema najwyraźniej droczy się z młodym szajchem.

– Musisz wiedzieć, że zjawisko kamieniowania występowało nie tylko w czasach proroka – tłumaczy szybko Abdulla. – W Torze też wspomina się o kamieniowaniu. Biblia również mówi o kamieniowaniu kobiet. Więc to nie dotyczy tylko islamu. Tej kary używano we wszystkich religiach. Zresztą do dziś w Stanach Zjednoczonych mają krzesło elektryczne. W różnych miejscach na świecie jest kara śmierci. A teraz niektórzy krzyczą, że muzułmanie w Arabii Saudyjskiej kamieniają, że to jest niehumanitarne. Ale takie mamy prawo. Jeśli mąż cię oszukuje, to sprawia ci ogromny ból, dlatego w islamie jest za to kara śmierci. Jestem z tobą szczerzy.

– Ale kara śmierci w Stanach wymierzana jest za bardzo poważne przestępstwa, takie jak morderstwo ze szczególnym okrucieństwem – wtrącam nieśmiało.

– Tak, a my w islamie bardzo poważnie traktujemy sprawy związane z rodziną. Musisz jednak wiedzieć, że zgodnie z islamem osoba pokrzywdzona może wybaczyć. I wtedy darowuje się karę.

– A w jakim kraju oprócz Arabii Saudyjskiej obecnie się kamieniuje? Gdzie Bóg chce, żebyśmy się kamienowali? – Naiema dalej prowokuje chłopaka.

– Ale ja mówię wam o zasadach! – krzyczy Abdulla wyprowadzony z równowagi. – Nie mówię, żebyśmy się kamienowali! Tak jest napisane w księdze. W Arabii Saudyjskiej zresztą już nie kamieniają.

– Jesteś pewien? – pyta Naiema.

– W latach dziewięćdziesiątych jeszcze kamienowali, ale po inwazji Amerykanów przestali. Saudyjczycy teraz współpracują w wielu dziedzinach z Ameryką. Ale za to za morderstwo obcinają głowę.

– No dobrze, ale jeśli to są zasady przekazane nam przez Boga, to dlaczego przestaliśmy je stosować? Powinniśmy to nadal robić – docieka Naiema.

– Dlaczego? Ależ, ciociu droga! Jedna rzecz: to z powodów politycznych! Bo religia zawsze miesza się z polityką. Presja przyszła z Zachodu. Z Europy. Szczególnie z Francji i Anglii. Ale też z Ameryki. To są trzy buldogi, które zmusiły kraje muzułmańskie do zmiany prawa. To dlatego teraz jest tyle różnic w islamskich parlamentach. Na przykład w Bractwie Muzułmańskim w Tunezji i Egipcie. Wciąż tam mają tarcia z władzami. Dlaczego wprowadzają nam prawo, które nie jest zgodne z naszą religią? I co to powoduje? Wojny domowe!

- Czy wolałbyś, żeby kary były wymierzane zgodnie z prawem religijnym? – pytam.
- Wszyscy byśmy tego chcieli – odpowiada szajch.



Kilka miesięcy później pytam Naiemę, czy znalazła Abdulli kandydatkę na żonę.

- O tak! Abdulla jest teraz w Londynie, właśnie się zaręcza.
- Jak to w Londynie?
- Ostatnio przeszła u nas na islam pewna dwudziestotrzyletnia Szkotka. Ta kobieta wcześniej dużo czytała o naszej religii, myślała o niej. Kiedy tu przyjechała, powiedziała, że chce przyjąć islam, i tak się stało. Jak tu była, zobaczył ją Abdulla i bardzo mu się spodobała. Kiedy wróciła do Anglii, on przyszedł do mnie i powiedział: „Naiemo, chciałbym się jej oświadczyć”. Wysłałam jej więc zdjęcie Abdulli i napisałam: „Poparż, to jeden z naszych braci, który chciałby się z tobą ożenić”. Potem przekazałam im nawzajem ich numery telefonów i on jest właśnie teraz w Londynie i zaręcza się z nią. To dla niej okazja, bo przy mężu, który jest dobrym muzułmaninem, będzie miała łatwiej. Będzie lepszą muzułmanką.



Meczet jest już zamknięty dla zwiedzających. W Centrum Informacji zebrało się kilkanaście kobiet. Wolontariuszki i ich znajome, same zaproszone osoby. Wszystkie ubrane są w dżalabije i abaje. Kobiety zachwycają się nową abają, którą mam od znajomej projektantki Ebtisam. Kupując ją, nie zdawałam sobie sprawy, że abaje wiązane w pasie to ostatni krzyk mody. Kobiety pytają mnie o cenę i nazwisko projektantki. Częstują daktylami, nakrywają stół ceratą, wyciągają jednorazowe talerzyki i tace z jedzeniem. Jest pilao z mięsem kozim, ryż z kurczakiem, smażone kulki z ciasta i mielonego mięsa oraz samosy. Pojawia się też cebula w ostrym sosie, grillowana ryba z warzywami i sos mango z drobno posiekaną papryczką chili. Nasza znajoma, Portugalka Isabell, zdała egzamin na

przewodnika po Omanie i od teraz będzie mogła legalnie tu pracować. Zebrałyśmy się, żeby to uczcić. Isabell przyniosła tradycyjny portugalski pudding z truskawkami i babkę pistacjową.

Wśród kobiet dostrzegam Naiemę. Ma spuchniętą twarz. Wiem, że lekarz przepisał jej sterydy. Chorobę przyjmuje z pokorą.

– Sama siebie nie poznaję w lustrze. Jestem bardzo spuchnięta i zmęczona. To próba mojej wiary – mówi. – Wierzę, że Allah, lekarz odpowiedzialny za wszystkie stworzenia, poprowadzi mnie tak, by było dobrze.

W otoczeniu ludzi Naiema czuje się potrzebna i zapomina o chorobie. Po godzinie dwunastej, gdy centrum pustoszeje, traci energię. Opuszcza salę, w której odbywa się spotkanie, i kieruje się do miejsca, gdzie kobiety dokonują ablucji. Tam ściga bawełniane kaptur w kolorze écru i czarny welon. Nosi go całymi dniami pomimo czterdziestostopniowych upałów. Kiedy kończy spotkania z turystami, przychodzi tu obmyć twarz i szyję. Jej włosy opina jedynie biała opaska. Pierwszy raz widzę Naiemę bez pełnego nakrycia głowy. Spostrzegłszy, że idę w jej stronę, pospiesznie narzuca na siebie kaptur i zakrywa włosy.

Na dzisiejszą uroczystość przyszły dwie córki Naiemy, Rahma oraz Marwa. Są do niej bardzo podobne. Mają te same ciemne oczy, to samo spojrzenie i uśmiech oraz głowy szczelnie obwiązane hidżabami. Pytam je o mamę, która skupiając się na Bogu, tak mało mówi o sobie.

– Mama przybyła tu z Ugandy, ale z pochodzenia jest Somalijką. Wcześniej została sierotą – mówi Marwa. – Po śmierci rodziców wyjechała do starszego brata, który mieszkał w Libii. Tam poznała jego przyjaciela z Somalii, czyli naszego tatę. Był nauczycielem arabskiego i historii. W Libii urodziła się moja siostra i brat. Potem mama urodziła jeszcze trzy córki i dwóch synów. Ja jestem jedną z młodszych, mam jeszcze młodszego brata. Kiedy mama nas wszystkich wychowała, powiedziała: „Dość. Teraz chcę zrobić coś dla siebie. Chcę wyjść z domu i spotykać się z ludźmi”. Miała już prawie sześćdziesiąt lat, gdy trafiła do Wielkiego Meczetu.

Naiema zbliża się do nas. Słyszy, że rozmawiamy o niej, i nagle, po niemal dwóch latach spotkań, zaczyna mówić nie o Bogu, tylko o sobie.

– Wiesz, droga siostra Anno – włącza się do rozmowy – ja niestety nie skończyłam nawet szkoły średniej. A mogłam, bo w Ugandzie, gdzie się wychowałam, dobrze nam się żyło. Mój tata był biznesmenem. Stać go było na wysłanie dzieci na zagraniczne uczelnie. Jeden z moich braci studiował

w Wielkiej Brytanii, drugi w Rosji, trzeci w Egipcie. Ale ja nie chciałam się uczyć. Gdybyś mnie wtedy spotkała, nie poznałabyś mnie. Byłam zbuntowana, nie słuchałam rodziców, nie nosiłam nawet nakrycia głowy. Miałam na głowie wielkie afro, podobno byłam bardzo ładna i podobało mi się, że chłopaki się za mną oglądają. Potem umarła mama. Bardzo cierpiałam po jej śmierci, nic mnie nie cieszyło. Kiedy umarł też tata, brat zaprosił mnie do siebie, do Algierii. Był tam ambasadorem. Mieszkałam u niego przez rok, potem wyjechałam do drugiego brata, do Libii. Ten brat był lekarzem. Miałam wtedy dwadzieścia jeden lat. Mieszkałam razem z bratem, ale nie byłam szczęśliwa. Spędzałam prawie cały czas w domu, sprzątałam, prałam, gotowałam. I chciałam to dalej robić, ale dla męża, a nie dla brata. I właśnie w domu mojego brata poznałam przyszłego męża. Wpadł do nas chwilę przed planowanym wyjazdem do Somalii. Chciał tam znaleźć żonę. I wtedy zobaczył mnie. To nie była miłość od pierwszego wejrzenia, ale kiedy przyszedł do brata z propozycją ślubu, nie odmówiłam. I muszę powiedzieć, że przez całe nasze wspólne życie ani razu nie powiedział na mnie złego słowa, ani razu nie krzyknął, nie podniósł ręki. Może nie doświadczyłam motyli w brzuchu, ale uważam nasze małżeństwo za dobre. Myślę, że te motyle czekają na mnie w niebie. Po śmierci będę ich miała pod dostatkiem.

Rahma i Marwa również słuchają mamy. Jedna z nich delikatnie poprawia skrawek jej chusty. Nie ma w nich młodzieńczego buntu Naiemy. Jest spokój i miłość.

– Mieliśmy już dwoje dzieci, kiedy doszłam do wniosku, że Libia nie jest dobrym miejscem do życia – kontynuuje Naiema. – Ludzie są tam inni niż w Omanie, nie tak przyjaźni. Wtedy krajem rządził Kaddafi. Kiedy więc mojemu mężowi zaoferowano pracę w Omanie, skorzystaliśmy z tej propozycji. Mieszkamy tu już trzydzieści osiem lat i teraz myślę o sobie właściwie jako o Omance. W dwa tysiące szóstym roku dostaliśmy omańskie obywatelstwo. Tu żyją nasze dzieci i wnuki. To jest nasze miejsce na ziemi. Jesteśmy tu bardzo szczęśliwi. Oman jest pokojowo nastawionym krajem. Żyje się tu spokojnie. A to, co robię w centrum, to moja misja. Teraz wiem, po co to wszystko było. Miałam trafić do Wielkiego Meczetu. To było moje przeznaczenie.

– A czy jest coś, co zmieniłabyś w Omanie?

– Zbudowałabym bibliotekę publiczną. Mamy wiele błogosławieństw i dóbr, ale nie potrafimy ich właściwie wykorzystać. Za pieniądze, które

posiada ten kraj, moglibyśmy zmienić Omańczyków w ludzi, którzy mają więcej wiedzy. Moglibyśmy zmienić ich w ludzi, którzy więcej czytają. Tymczasem Omańczycy więcej jedzą, niż czytają. Każdego dnia otwieramy nowe restauracje, bary typu fast food. Wszędzie tylko jedzenie, jedzenie, jedzenie. Ale nie znajdziesz tu biblioteki. Omańczycy nie karmią swoich dusz, tylko ciała. Bóg nas ostrzegł, że źle się dla nas skończy, jeśli będziemy bardziej dbać o sprawy materialne niż duchowe. Dbanie o to, co materialne, oślepia, każdego dnia chce się więcej i więcej. I to mnie martwi. Gdybym miała dużo pieniędzy, otworzyłabym w Omanie wielką bibliotekę publiczną, żeby każdy mógł przyjść i poczytać książkę. Sama przychodziłabym w weekendy i czytała.

– To w Omanie nie ma nawet jednej biblioteki publicznej? – pytam.

– Mamy tutaj w meczecie mały księgozbiór, z którego można korzystać, ale publiczne biblioteki nie istnieją. A wy macie takie biblioteki w Europie?

– Tak, mamy.

– A tu nigdy czegoś takiego nie było i nadal nie ma. Jedyne, co mamy, to Burger King i McDonald i wszystko to, co ludzi rozzuchwala i zatruwa. To właśnie chciałabym zmienić.



– Zaświadczam, że nie ma innego Boga prócz Allaha, a Mahomet jest jego posłańcem – głośno i powoli mówi Naiema.

Po drugiej stronie linii jest Filipinka, która właśnie przechodzi na islam. Nie mogła osobiście przyjechać do Omanu, więc zdecydowała się na konwersję telefoniczną. Słabo słyszy Naiemę, zniekształca jej słowa. Ta ją niezamordowanie poprawia i wreszcie Filipinka zostaje uznana za muzułmankę. Naiema jest dziś bardzo szczęśliwa.



HABIBA

O czym szepczą ściany

Nad zanzibarską wyspą Pemba szybko zapada zmrok. Nastaje ciepła sierpniowa noc 1970 roku. Na tle rozgwieźdzonego nieba widać palmy rosnące w ogrodzie. Ich szum każdego wieczoru pomaga zasnąć małej Habibie. Zwykle o tej porze dziewczynka szykuje się do snu, ale dziś jest inaczej. W domu panuje nerwowa atmosfera. Ojciec każe jej się ciepło ubrać, a matka mocniej niż zwykle przytula ją do siebie. Habiba widzi w jej oczach łzy. Za chwilę pięcioletnia dziewczynka wyruszy na małej łodzi ku swojej przygodzie z Omanem.

Nie wie jeszcze, że ta podróż zajmie jej ponad rok.



O Omanie Habiba słyszy od zawsze. Jego nazwa przewija się w rozmowach matki z ojcem, w opowieściach dziadka i ciotek. Bliscy Habiby mówią o pozostawionej tam rodzinie, o wydmach, bezkresnej pustyni, wielbłądach i niebie ciężkim od gwiazd. Ale jak na razie dziewczynka żyje na małej wyspie Pemba, położonej na północny wschód od Zanzibaru. Dom Habiby tonie pośród zieleni palm kokosowych, bananowców i drzew pomarańczy. Na pobliskiej plantacji rosną goździki i cynamon. Habiba lubi zapach otaczających ją ziół, wilgoci i oceanu. Życie małej dziewczynki koncentruje się wokół zabaw i dziecięcych figli. Jej imię oznacza „kochana”, i właśnie tak czuje się mała Habiba. Jej mama uczy w szkole angielskiego, a tata jest dyrektorem finansowym w firmie zajmującej się handlem goździkami.

Habiba spędza większość czasu w domu z rodzeństwem, lubi też bawić się w zielonym ogrodzie i na plaży. Nie wie, że są jedną z niewielu arabskich rodzin, które sześć lat temu przeżyły afrykańską rewolucję i nie zbiegły do Omanu. Rodzice chronią Habibę i jej rodzeństwo przed tym, co

niedawno wydarzyło się na Zanzibarze. Nie mówią o prześladowaniach, o zakazie opuszczania wyspy. Życie rodziców Habiby jest pełne strachu i niepewności.

Od XVII wieku Zanzibar znajdował się pod panowaniem Omańczyków, a jego mieszkańcy z wolnych obywateli stali się obiektem handlu. Pod koniec XIX wieku imperium omańskie, obejmujące wówczas tereny wybrzeża wschodniej Afryki od dzisiejszej Somalii aż po Mozambik, zaczęło chylić się ku upadkowi. Miało to związek z wymuszeniem przez Brytyjczyków zaprzestania handlu niewolnikami, który przynosił Omanowi ogromne korzyści. Zanzibarscy Arabowie handlowali jeszcze kością słoniową, olejem palmowym i drogimi kamieniami. Zarabiali też na plantacjach kokosów i goździków. Ostatecznie Zanzibar odłączył się od Omanu i zaczął funkcjonować jako Sułtanat Zanzibaru, częściowo niezależny twór pod protektoratem brytyjskim. W efekcie rozwijał się znacznie szybciej niż Oman. Na wyspie działały brytyjskie szkoły i służba zdrowia. Żyło się tam bardziej komfortowo niż na Półwyspie Arabskim.

W 1963 roku Brytyjczycy opuszczają wyspę, przekazując Zanzibar ponownie w ręce Arabów. Rdzenna ludność obawia się, że po odejściu Brytyjczyków Arabowie będą chcieli przywrócić niewolnictwo. Dlatego niecały miesiąc po ich wyjeździe, 12 stycznia 1964 roku, w Stone Town rozpoczyna się antyarabska rebelia kierowana przez Afrykanina Johna Okellę. Dochodzi do rzezi, w wyniku której ginie blisko 20 tysięcy ludności cywilnej, głównie arabskiej. Rewolucja kończy dwustusześćdziesięciosześcioletni okres panowania Arabów na Zanzibarze. Omańczycy uciekają do swojej drugiej ojczyzny, na Półwysep Arabski. Ostatni sułtan Zanzibaru, Dżamszid bin Abd Allah, także znajduje schronienie za granicą. Emigruje do Wielkiej Brytanii.

Rodzina Habiby zostaje na wyspie. Nie udaje im się dostać na statek do Maskatu ani na samolot do Kairu, skąd później najbogatsi zanzibarscy Omańczycy uciekną do Anglii. Być może nie giną tylko dlatego, że w ich żyłach płynie też afrykańska krew. Dziadek Habiby po śmierci pierwszej żony ożenił się ze swoją afrykańską niewolnicą. Ich wspólnym synem jest Ali Raszid al-Hinai – ojciec Habiby. Po rewolucji Afrykanie zaczynają powoli doceniać wykształcenie Arabów, którzy do tej pory kierowali usługami publicznymi, najważniejszymi urzędami, szkołami i firmami Zanzibaru. Tych, którzy zostali, nie chcą wypuścić z kraju. Wykształceni Arabowie są potrzebni, by wyspa funkcjonowała jak dotąd.

Mała Habiba dobrze pamięta swój pierwszy strach. Właśnie kończy się rok szkolny 1969/1970. Dziewczynka tego dnia jak zwykle rano drze się w niebogłosy, by matka zabrała ją ze sobą do pracy.

– Nie chcę zostać w domu, chcę iść z tobą! – krzyczy Habiba i dużymi oczami pełnymi łez przekonuje matkę, a po chwili szczęśliwa idzie z nią do szkoły.

Kiedy matka prowadzi lekcje, Habiba bawi się z okolicznymi dzieciakami na szkolnym podwórku. Tego dnia zauważa dwóch mężczyzn w wypłowiałych mundurach. Jeden jest bardzo szczupły i wysoki, ma wyłupiaste oczy i świdruje ją wzrokiem. Drugi jest niższy i krępy. Obaj noszą ciężkie, wysokie, skórzane buty. Zaniepokojona dziewczynka biegnie do mamy i tego dnia już nie wychodzi na podwórko. Zerka co jakiś czas przez okno, ale mężczyźni cały czas stoją w tym samym miejscu. Jakby na nią czekali.

– Obudź się, kochanie. – Mama głaszcze córkę po głowie. – Wracamy do domu.

Habiba przeciąga się i głośno ziewa.

– Musiało mi się przyśnić – myśli głośno.

– Co ci się śniło? – pyta mama.

– Że żołnierze chcieli mnie zabrać.

Po chwili, wychodząc ze szkoły, niemal wpadają na dwóch mundurowych. Tych samych, których Habiba widziała kilka godzin wcześniej. Stoją oparci o pobliskie drzewa i patrzą na matkę z córką. Habiba mocniej ściska rękę mamy, przyspieszają kroku.

– Nie oglądaj się za nimi – mówi cicho matka i niczego więcej nie tłumaczy.

Do domu prawie biegną. Tej nocy Habiba długo nie może zasnąć.

Kilka dni później dziewczynka słyszy w domu obce głosy. Skrada się po cichu do pokoju, z którego dobiega rozmowa. Ma złe przeczucia, ale ciekawość bierze górę i Habiba wychyla czubek głowy, by zobaczyć, kto i po co przyszedł do jej ojca. Zza ściany słyszy strzępy rozmowy, wśród których udaje się wyłowić hasło „szkoła z internatem”. Podchodzi bliżej. Najpierw zauważa ciężkie skórzane buty, a potem wypłowiały mundur. Dziewczynka z krzykiem biegnie do matki, która ręką zakrywa jej usta.

– Ciii... – uspokaja. – Nic już nie mów.

– Ale ja nie chcę do szkoły z internatem – płacze Habiba.

Matka niczego nie tłumaczy, co dziewczynkę jeszcze bardziej niepokoi. Po chwili zostają poproszone o przyście do pokoju, w którym s żołnierze. Ojciec na oczach przerażonej córki zgadza się, by ta niebawem trafiła do internatu.

Dopiero po latach Habiba dowie się, że w tamtym czasie na Zanzibarze często zabierano rodzicom córki do tak zwanych szkół z internatem. Dziewczynki trafiały do placówek oddalonych od rodzinnych domów o wiele kilometrów. Nigdy stamtąd nie wracały. Za to bardzo szybko wychodziły za mąż za Afrykanów. Ojciec Habiby nie mógł oficjalnie odmówić żołnierzom. Pozostawał jeden ratunek. Ucieczka.

To lato Habiba dobrze zapamięta. Dwudziesty trzeci lipca 1970 roku, czwartek, za oknem piękne słnce. Ojciec od powrotu z pracy siedzi przy włączonym radiu. Gdy dziewczynka podchodzi bliżej odbiornika, ojciec wygania j z domu i omawia co po cichu z matk.

– Mamo, ja nie chcę ić do szkoły z internatem – na wszelki wypadek Habiba przypomina rodzicom, zagadajc do nich przez okno.

– *Habibi*, moje kochanie – zwraca się do niej pieszczotliwie matka, wychylajc się z okna i ściszejc gos – nie mów wicej ani sowa na ten temat.

Tego dnia Kabus Ibn Sa'id, syn panujcego dotd sutana Omanu, ogasza przejęcie wadzy i zapewnia, że zrobi wszystko, by Oman stał się nowoczesnym krajem, liczcym się w świacie arabskim. Wzywa Omańczykw mieszkajcych za granic, by wracali do ojczyzny, bo kraj będzie się rozwijał i potrzebuje ludzi wyksztaconych. W Omanie w tym czasie żyj głównie analfabeci.

Dwa tygodnie pźniej, 8 sierpnia, gdy zachodzi słnce, ojciec pakuje Habibę na łdkę i tak zaczyna się jej podrż do nieznanej ojczyzny. Ale wydostać się z Zanzibaru nie jest łatwo. Na małej wyspie Pemba tylko Afrykanie maj prawo do posiadania łdzi. Arabowie nie mog opuszcza wyspy bez zgody rądu. Przemyt wic kwitnie. Ojciec Habiby dobija targu ze swoim afrykańskim kuzynem. Ten pod oson nocy ma ich zabrać łdzi do Tangi, miasta we wschodniej części Tanzanii. To siedemdziesiąt kilometrw drog morsk. Plan jest taki: rodzina dzieli się na dwie grupy. W pierwszej kolejności ucieka ojciec z Habib i jej młdszym o rok bratem. Matka, która jest w piątym miesicu ciży, zostaje na wyspie ze starszymi braćmi do czasu porodu. Potem wyjeżdża razem z nimi. Ucieczk zaplanowano na noc z soboty na niedzielę. Następnego dnia ojciec Habiby

ma wolne w pracy, więc nikt przez ponad dobę nie zorientuje się, że go nie ma.

Ojciec udaje pomocnika dwóch afrykańskich rybaków. Habiba z bratem zostają wepchnięci na tył łodzi i przykryci deskami. Nie mogą mieć wielu bagaży, więc zabierają tylko to, co niezbędne. Parę ubrań na zmianę, wodę do picia i trochę ryżu z kozim mięsem. Opuszczają wyspę po zachodzie słońca. Zapada ciemność. Habiba chce jeszcze raz spojrzeć na miejsce, w którym zostają mama, dom i starsi bracia. Ojciec nie pozwala jej podnieść głowy. Być może właśnie wtedy w małej, beztroskiej dziewczynce rodzi się waleczna, niezłomna kobieta. To na pewno jest czas, kiedy kończy się dla niej błogie dzieciństwo na rajskiej wyspie.

Potem, jak pamięta, będą już tylko coraz większe fale przelewające się nad ich głowami. W przerwach pomiędzy torsjami jej zalana wodą i łzami twarz tuli się do mokrej twarzy brata. Trzęsąc się z zimna i ze strachu, dziewczynka wie jedno – jej mama nie zmrúży tej nocy oka. Będzie się modlić o życie swoich dzieci i męża, o to, by cali i zdrowi dotarli na ląd, do Tangi. To najdłuższa noc w życiu Habiby, kolejna podobnie trudna zdarzy się czterdzieści lat później w omańskim więzieniu.



Po siedemnastu godzinach walki z żywiołem mała łódka z wyczerpanymi pasażerami dopływa do Tangi.

– Wstawaj, jesteśmy na miejscu. – Ojciec chwyta Habibę za rękę.

Ostatnie godziny podróży udało się jej przespać. Pierwsze, co widzi dziewczynka, to zmęczona z niewyspania twarz ojca. Nie ma jednak czasu na radość ani na odpoczynek. Habiba budzi brata trzymającego ją za drugą rękę. Podpływają do małej zatoczki poza centrum miasta. Muszą jak najszybciej opuścić łódkę i dotrzeć do zaprzyjaźnionej arabskiej rodziny. Spędzą u niej najbliższe dwa tygodnie.

Kolejnym etapem jest Dar Es Salaam, duże portowe miasto na południe od Tangi. Mieszka w nim siostra matki. Od teraz Habiba oraz jej brat muszą mówić do niej „mamo” i udawać, że żyją tu od urodzenia. Codziennie rano ciotka przypomina im zasady, których muszą przestrzegać.

– Jestem teraz waszą mamą, czy wam się to podoba, czy nie – tłumaczy cierpliwie.

– Nie jesteś naszą mamą – kłóci się z nią Habiba.

– Jak nie będziecie do mnie mówić „mamo”, to wszystkich nas pozabijają. Albo sama zamknę was w domu, dopóki nie przyjdą wasze paszporty – ostrzega ciotka i ćwiczy z dziećmi do momentu, kiedy jest już pewna, że nie będą się myliły.

W czasie kiedy dzieci są pod opieką ciotki, ich ojciec ukrywa się w dżungli i jednocześnie próbuje załatwić dokumenty potrzebne do opuszczenia kraju. Na nowe omańskie paszporty czekają cały rok.

Do prawdziwej mamy, która została w rodzinnym domu Habiby, szybko przychodzą funkcjonariusze służb bezpieczeństwa. Gdy tylko pojawiają się na podwórzu, matka odgrywa długo ćwiczoną scenę.

– A więc to tak! Uciekł pewnie z nową kobietą – wykrzykuje z wściekłością, a potem zaczyna żałośnie zawodzić i chwyta się za brzuch. – Porwał moje dzieci, zostawił mnie w ciąży i z kolejną czwórką dzieciaków. Nie mam żadnych pieniędzy. Jak ja sobie poradzę?

Żołnierze nie bardzo wiedzą, co powiedzieć, więc oddalają się i już nigdy nie wracają do rodzinnego domu Habiby. Pół roku później mama dziewczynki wsiada wraz z jej pięcioma braćmi na tę samą łódkę i rozpoczyna podróż do Omanu.

Paszporty przychodzą w liście wysłanym z Maskatu przez wodza plemienia Al-Hinai. Rozpoczyna się kolejny etap podróży. Tym razem już całą rodziną. Zajmie kilka dni. Swoją pierwszą podróż Habiba zapamięta na długo. Startują z lotniska w Dar Es Salaam. Lecą najpierw do Mombasy w Kenii, potem przez Mogadisz do Kairu, a następnie do Dubaju. Stamtąd drogą lądową mają dotrzeć do Omanu.

Na lotnisku w Dar Es Salaam otacza ich tłum kolorowo ubranych pasażerów z ogromnymi tobołami, które niejednokrotnie mieszczą dorobek życia ich właścicieli. W tobołach są ubrania, garnki, pościel, dywany, koce. Do tego dochodzą klatki z żywym ptactwem oraz wielkie pakunki z lokalnymi przyprawami i owocami.

Siedzenie przy oknie jest dla Habiby sprawą życia i śmierci. Jako jedyna dziewczynka w rodzinie stanowczym tonem wymusza na reszcie ten przywilej. Przez małe okienko najpierw dostrzega pas startowy, potem drzewa palmowe i domy, które z każdą chwilą stają się coraz mniejsze. Wreszcie widzi ocean. Z góry wygląda pięknie, jest lazurowy, spokojny, niemal bajkowy. W niczym nie przypomina zimnej, mrużącej groźnie

czarnej otchłani. Habiba czuje, że po policzkach spływają jej łzy. Nie wie, czy płacze ze smutku, czy ze szczęścia.



– Nie jedźcie do Omanu, będziecie tego żałować. – Wita ich rodzina ojca w Dubaju. – Oman jest zacofany, mieszkają tam analfabeci, nie ma opieki zdrowotnej. Jedyne, co tam zastaniecie, to bieda. Wszyscy tam poumieracie.

Jest lipiec 1971 roku, właśnie powstały Zjednoczone Emiraty Arabskie. Panujący tam wówczas szejik Zajid pozwala na osiedlanie się Omańczyków. Potrzebuje ludzi wykształconych i podobnie jak sułtan Kabus wzywa do przyjazdu i zamieszkania na jego ziemi. Dużo Zanzibarczyków zatrzymuje się w Emiratach i tam już zostaje, ale nie rodzina Habiby.

Pierwsze, co po przyjeździe do Omanu rzuca się dziewczynce w oczy, to brak zieleni i wszędobylski pył. Przykurzone jest tu wszystko. Domy, szyby w oknach, parapety, drzewa, kwiaty, samochody. Pył przylatuje z pustyni, z okolicznych wydm, z ziemi pokrytej wysuszonym na popiół piachem. Burze piaskowe, które nadchodzą z Arabii Saudyjskiej, są czerwone, te z Iranu – białoszare. Podczas burz piaskowych trudno oddychać, pył wciska się do domu każdą szczeliną. Raz na kilka miesięcy spada deszcz, który paraliżuje funkcjonowanie miast i wsi. Wadi, czyli koryta rzek okresowych, w jednej chwili zamieniają się w rwące potoki. Te ostatnie potrafią ponieść ze sobą samochody, a nawet domy. Po deszczu powietrze delikatnie się ochładza, mniej więcej na dwa dni. Potem znowu wszystko staje się przykurzone i tak jest aż do następnej ulewy.

Rodzice Habiby coraz rzadziej rozmawiają o pozostawionym na zielonej wyspie majątku. Dostają nowy dom i pracę. Habiba powoli zapomina o strachu i ucieczce. W szkole staje się prymuską.



– Habibo al-Hinai, wysyłamy cię do Wielkiej Brytanii, będziesz studiować inżynierię i informatykę na uniwersytecie w Luton – z radością informuje

urzędnik z działu stypendiów zagranicznych Ministerstwa Edukacji. – Gratuluję, bo to świetny kierunek, przeznaczony dla studentów z najwyższą średnią.

– Ale... – waha się Habiba. – Czy mogę zmienić go na inny? Wolałabym studiować dziennikarstwo, najlepiej w Stanach Zjednoczonych. Inżynieria i informatyka mnie nie interesują.

– Po co cokolwiek zmieniać? – dziwi się urzędnik. – W Omanie nie potrzeba pracowników po takim kierunku. Masz świetne oceny z matematyki i angielskiego, dasz sobie radę na inżynierii i informatyce. A potem dostaniesz tu pracę. Będziesz dobrze zarabiać. – Urzędnik zaprasza do siebie następną osobę z kolejki.

Pierwszy uniwersytet w Omanie powstaje rok po maturze Habiby, w 1986 roku. Do tego momentu przyszli studenci dostają zagraniczne stypendia. Funduje je rząd, ale płacąc, stawia warunki. Najzdolniejszych wysyła na naukę do Europy i Stanów Zjednoczonych, tych mniej zdolnych – najczęściej do Egiptu albo Jordanii. Rząd wybiera, co każdy obywatel powinien studiować, by w przyszłości dobrze służyć swojej ojczyźnie. Większość młodych ludzi jest zadowolona, ale nie Habiba.

Dwudziestolatka, która na swoje nieszczęście jest uzdolniona matematycznie, po powrocie z ministerstwa oznajmia rodzicom, że nie pojedzie na żadne studia.

– Jedź, spróbuj. Może jednak ci się spodoba – radzą rodzice. – Szkoda nie wykorzystać takiej okazji. Najwyżej później zmienisz kierunek.

Habiba nie lubi kompromisów. Poza tym od jakiegoś czasu sporo ją w Omanie drażni. Na przykład to, że nie może sama wybrać kierunku studiów, albo to, że kolor jej skóry, ciemniejszy niż skóra koleżanek, jest uznawany za gorszy. Albo to, że Omańczyków, którzy przyjechali do Omanu w latach siedemdziesiątych, uważa się za mniej wartościowych. To wszystko wywołuje w Habibie złość, którą chciałaby wykrzyczeć. Ale jej własna rodzina próbuje zagłuszyć w dziewczynie narastające trudne emocje. I to denerwuje ją jeszcze bardziej.

Zgodnie z wolą najbliższych Habiba rozpoczyna studia w Anglii. Idzie jej całkiem dobrze, ale kiedy po raz kolejny dowiaduje się, że nie może zmienić kierunku, postanawia wrócić do kraju. Nie będzie studiować informatyki i inżynierii. Nie chce od rządu stypendium, które jest dla niej źródłem udręki. Nie zgadza się, by ktokolwiek sterował jej życiem. Ona chce kierować nim sama.



Kilka ran jest już zaleczonych, ale obok nich wciąż pojawiają się nowe pęcherze. Jedne są świeże, nabrzmięte od płynu, inne już wysuszone z odchodzącą płatami skórą. Historia wypisana na dłoniach starego Ahmeda jest pełna bólu i samotności. Nikt nie wie, ile Ahmed ma lat, on sam też tego nie wie. Nie ma kogo zapytać, bo w swoim starym namiocie na przedmieściach Maskatu mieszka sam jak palec. Codziennie grzeje wodę na herbatę nad małym ogniskiem rozpalanym obok namiotu. Ahmed jest niewidomy, dlatego codziennie, grzejąc wodę, parzy sobie dłonie. Habiba nie lubi patrzeć na te dłonie. Widząc je, czuje ból, ale przede wszystkim czuje złość.

– Ahmedzie, przywiozłam ci maść na oparzenia, smaruj nią codziennie ręce – prosi starego człowieka.

– Dziękuję. Chcesz herbaty? – pyta z nadzieją w głosie mężczyzna, bo bardziej niż maści Ahmed potrzebuje rozmowy.

Siadają z Habibą na zniszczonych matach i chwilę rozmawiają o życiu, o samotności, o zbliżającym się ramadanie. Habiba opowiada o swoim nieudanym małżeństwie, o rozwodzie i o szczęściu, jakie daje jej dwunastoletni syn. Ahmed opowiada o rodzinie, która o nim zapomniała.

Mija ósmy miesiąc, od kiedy Habiba publikuje w internecie artykuły o tym niewidomym bezdomnym mężczyźnie. Prosi o zorganizowanie przyzwoitego miejsca do życia dla starca porzuconego przez własną rodzinę. Odwiedza ministerstwo za ministerstwem i wszędzie słyszy, że w kraju muzułmańskim niepotrzebne są domy starców, bo tutaj ludzie opiekują się swoimi rodzicami aż do ich godnej śmierci.

Śmierć Ahmeda przychodzi wkrótce i nie jest godna. Mężczyzna umiera sam, leżąc na starej macie w swoim namiocie na przedmieściach Maskatu, z poparzonymi od ognia rękoma.

„Mam tego dość!”, krzyczy w sieci Habiba, ale prócz garstki aktywistów nikt jej nie słucha. Od takich jak ona lepiej trzymać się z daleka. W Ministerstwie Środowiska, w którym Habiba pracuje już prawie dwadzieścia lat, coraz mniej ludzi odpowiada jej „dzień dobry”. Ona sama dostaje też coraz mniej zadań do wykonania. A im bardziej nudzi się

w pracy, tym więcej robi poza nią. Przeważnie stwarza problemy, bo wytyka innym błędy.

Habiba nie potrafi siedzieć bezczynnie. Po śmierci Ahmeda zaczyna odwiedzać biednych ludzi żyjących poza Maskatem. Nagrywa filmiki z ich udziałem. Zakłada blog, na którym pokazuje, jak mieszkają. Filmy noszą tytuł *Moaning of walls*, czyli lament ścian, bo Habiba ujawnia w nich sekrety trzymane w domowym zaciszu, sprawy, o których nie można w Omanie głośno mówić. Pokazuje biedę, samotność, choroby i brak pomocy ze strony państwa.

Od czasu śmierci Ahmeda Habiba pracuje na dwa etaty. Pierwszy to praca w Ministerstwie Środowiska, gdzie nudzi się przez cały dzień, czekając, aż wybije druga i będzie mogła iść do domu. Drugi etat zaczyna po południu. Odpala wtedy domowego laptopa i przegląda korespondencję. Tego dnia jej wzrok pada na wiadomość zatytułowaną „Zabijani przez zanieczyszczenia w Suharze”. Suhar to miasto położone ponad dwieście kilometrów na północny zachód od Maskatu. Mail nie jest podpisany z imienia i nazwiska, jedyny podpis to „kobiety z portu w Suharze”. W mailu kobiety proszą, by Habiba przyjechała na miejsce, i obiecują, że wszystko jej opowiedzą. W pierwszy weekend po otrzymaniu wiadomości Habiba z samego rana otwiera metalową bramę na podwórzu swojego domu i rusza do Suharu.

Na miejscu wita ją nieprzyjemny zapach unoszący się w powietrzu i grupa kobiet, które szybko prowadzą ją do jednego z prostych domów położonych przy porcie. Pomiedzy domami, na klepiskach, wśród pyłu i szarego piasku bawią się dzieci. Gdzieniedzie siedzą mężczyźni i przyglądają się grupie kobiet. Domy są parterowe, nie mają w sobie nic z okazałości willi znajdujących się w stolicy. Po wejściu do jednego z nich kobiety siadają na dywanie wokół Habiby i zaczynają się przekrzykiwać.

– Jesteś naszą ostatnią nadzieją. – Słyszać z niemal wszystkich ust.

– Czy chodzi o ten dziwny zapach? – pyta Habiba. – Co tak śmierdzi?

– Nie wiemy, ale wiemy, że nas zaturwają. – Przebija się głos jednej z kobiet. – Te wszystkie kobiety miały po kilka aborcji z powodu wad genetycznych płodów. – Wskazuje palcem na kolejne kobiety i wylicza. – Ta miała dwie aborcje, ta cztery, następna trzy, kolejna jedną i tak dalej. Jest nas wiele. Musisz coś z tym zrobić. Pracujesz w Ministerstwie Środowiska.

– Zrobię, co będę mogła. Opowiedz wszystko od samego początku. Co się tu dzieje? Co podejrzewacie?

– Zaraz obok naszych domów, tu, w dzielnicy Liwa, na terenie portu powstały wielkie zakłady chemiczne. Najpierw zabrano nam plażę, więc nasi mężczyźni, którzy z dziada pradziada byli rybakami, stracili źródło dochodu. Potem zbudowano tu zakłady. Nie dano w nich jednak naszym mężczyznom pracy. Nie chcą, żebyśmy widzieli, jak wygląda produkcja i co się tam wytwarza. Sprowadzili do pracy Azjatów.

– Jakie jeszcze niepokojące objawy zauważyliście?

– Mamy trudności z oddychaniem, wielu z nas choruje choruje na raka.

– A nasze dzieci mają problemy skórne i mdłości – mówi kolejna z kobiet i woła kilkuletnią córkę.

Do pokoju wchodzi szczupła dziewczynka w kolorowej dżalabii.

– Moja Hawlan wymiotuje co rano. W nocy smród jest nie do zniesienia i każdego ranka Hawlan ma torsje. Zresztą nie tylko ona. Inne dzieci też.

– Musimy zebrać próbki – decyduje Habiba.

Do Suharu wraca tydzień później. Chodzi od domu do domu. Zbiera materiał do przebadania – wodę, ziemię i pył osiadły na meblach. Po przeprowadzeniu analiz okazuje się, że zanieczyszczone jest wszystko: ziemia, powietrze i woda. Wszechobecne toksyny są przyczyną występowania wad genetycznych u płodów i problemów zdrowotnych mieszkańców. Wniosek jest jeden: domy położone są zbyt blisko zakładów. Na skargę Habiby rząd odpowiada, podając własne dane, zgodnie z którymi powietrze, woda i ziemia wokół zakładów są czyste. Habiba jest jednak pewna, że dawni rybacy z Suharu giną z powodu zanieczyszczenia środowiska. Wyniki badań publikuje w internecie.

I nagle staje się coś dziwnego: filmy i artykuły Habiby zaczynają rozchodzić się po Omanie z prędkością ognia. Ludzie coraz jawniej popierają jej działalność. Habiba nie musi szukać kolejnych spraw. Ludzie zgłaszają się sami, opowiadają o nieszczęściach. Ale wraz z popularnością w sieci zaczyna się samotność w świecie realnym.



Habiba wie, że wcześniej czy później ta rozmowa będzie musiała się odbyć, więc gdy dzwoni telefon, głośno wzdycha i siada w fotelu gotowa na jedną z trudniejszych konfrontacji w swoim życiu.

– Czy ty chcesz nas wszystkich wsadzić do więzienia? – pyta głos w słuchawce.

– Nie, ja po prostu walczę o poprawę warunków życia tych biednych ludzi. Nasz kraj jest obrzydliwie bogaty, więc kiedy widzę niesprawiedliwość, to stoję po stronie słabszych – odpowiada spokojnie Habiba, ale ręce zaczynają jej drżeć.

– Po co ci to? Dobrze wiesz, że niczego nie wskórasz, a sprowadzisz na siebie i na nas kłopoty. Masz natychmiast przestać.

– Wiesz, że tego nie zrobię.

– A czy ty wiesz, że dzwonią do nas ze służb specjalnych? – Głos w słuchawce zamienia się w krzyk. – Ostrzegają nas, żeby się z tobą nie zadawać, że pracujesz dla obcych służb, dla wrogów naszego kraju.

– Doskonale zdajesz sobie sprawę, że to nieprawda.

– Nie będę z tobą dłużej rozmawiał. Dopóki nie przestaniesz, nie masz we mnie brata.

Habiba odkłada telefon, patrząc na puste podwórze domu. Wie, że została sama. Wkrótce jej konta internetowe zostają zhakowane i usunięte. Na jedynym zdjęciu Habiby, które zostaje z internetu, widać kobietę z domalowanymi oczami diabła.



Z końcem 2010 roku w Tunezji zaczyna się Arabska Wiosna. Ludzie są niezadowoleni z warunków życiowych. Zamieszki zmieniają się w rewolucję. Habiba bacznie obserwuje, co dzieje się w Tunezji. W styczniu zamieszki rozlewają się na inne kraje. Trafiają też do Omanu.

W poniedziałek 17 stycznia 2011 roku Habiba budzi się wcześniej niż zwykle. Tego dnia nie idzie do pracy. Razem z synem jedzą lekkie śniadanie, a gdy on wychodzi do szkoły, Habiba wkłada wygodne spodnie i sportowe buty. W razie konieczności łatwiej będzie uciekać. Do kieszeni wsuwa główkę czosnku. Ma pomóc, gdyby policja rozpuściła gaz łzawiący. Wtedy czosnek trzeba szybko przystawić do nosa. Tak radzą strajkujący w Tunezji. Przed wyjściem z domu Habiba wykonuje jeden telefon, do byłego męża, który mieszka teraz w Dubaju.

– Idę na protest i nie wiem, czy wrócę cała do domu. Jeśli nie zadzwonię do ciebie do godziny piętnastej, musisz wsiadać w samolot i przejąć opiekę

nad naszym synem.

Mężczyzna wie, że nie ma sensu dyskutować z byłą żoną. Nikt nie przekona Habiby, by tego dnia została w domu.

Pokojowy marsz ma się odbyć w dzielnicy ministerialnej, w reprezentacyjnej części miasta, od północy otoczonej ambasadami, a od południa nowoczesną dwupasmówką imienia sułtana Kabusa. To pierwszy protest w Omanie, dlatego Habiba się boi. Nie wie, jak zareagują władze. Zbliżając się do miejsca zbiórki, zauważa przyglądającego się jej taksówkarza. Dobrze wie, że kierowcy taksówek często pracują dla służb specjalnych. Na szczęście taksówkarz odjeżdża. Za to wokół pojawiają się grupy policjantów, a w powietrzu helikoptery. Robi się coraz głośniejsze. Protestujący niosą transparenty i w pokojowy sposób wykrzykują swoje żądania. Chcą podwyższenia minimalnej płacy, polepszenia warunków życia, wolności wypowiedzi i postawienia przed sądem ministrów zasiadających w rządzie. Protestujących jest około dwustu, policji kilkukrotnie więcej. Habiba czuje się tak, jakby była na wojnie. Słyszy hałas tłumu i huk latających nad głową helikopterów. Jej broń, główka czosnku, pozostaje bezpieczna w kieszeni. Drugą bronią jest aparat, którym Habiba robi zdjęcia. Kiedy ma ich wystarczająco dużo, pędzi do domu i natychmiast wrzuca do sieci. Nie ma czasu na pisanie artykułu. Wpisuje tylko hasło „Protest”, a pod nim umieszcza mnóstwo zdjęć. W ciągu następnych dwudziestu czterech godzin ma 13 tysięcy wejść na stronę. Tej nocy znowu nie może spać.



„Jeśli walczysz o prawa ludzi, to musisz się nami zająć. Pomóż nam”. Mail, który przyszedł do Habiby 5 marca, wzbudza w niej złość. Tym razem strajkują pracownicy firmy naftowej na pustyni, na południu kraju. Skarżą się na głodowe stawki, za które nie są w stanie wyżywić swoich rodzin. Dostają 5 riali, czyli 50 złotych dziennie.

– Co zrobić? – pyta samą siebie. – Chyba muszę jechać na pustynię. Ktoś musi tych ludzi przynajmniej wysłuchać.

Habiba wie, że nie może jechać sama, bo do pokonania jest ponad pięćset kilometrów. Musi poprosić o pomoc innych aktywistów. Ale nie może pojechać z jednym, niespokrewnionym mężczyzną, bo zostaną oskarżeni

o uprawianie seksu pozamałżeńskiego. Trzeba zorganizować przynajmniej dwie osoby. W krótkim czasie zgadzają się z nią wyruszyć znajomy aktywista oraz prawnik. Wyjeżdżają przed świtem. Tuż po opuszczeniu miasta Habiba spostrzega w lusterku podążający za nimi nieoznakowany samochód.

– Mamy towarzystwo, filmują nas – mówi. – Co robimy?

– Jedziemy dalej – odpowiada kolega. – Nic złego nie robimy.

Na zewnątrz panuje już prawie czterdziestostopniowy upał, przed nimi rozciąga się pustynia. Wszędzie tylko suchy piach i kamienie. Jadą drogą nr 31 w kierunku Salali. Znak przy drodze informuje, że kolejne rondo znajduje się za 230 kilometrów. Wokół nie ma żywej duszy, oprócz samochodu, który ciągnie się za nimi. Po pięciu godzinach docierają na miejsce. Czują, jakby trafili do miasta duchów. Krążą pomiędzy opuszczonymi budynkami, zasypanymi piaskiem z pobliskiej pustyni. Ulice są puste. Po chwili zauważają starszego mężczyznę. Nie wysiadając z samochodu, Habiba pyta:

– Dlaczego miasto jest takie puste? Gdzie jest protest?

– Nie ma tu żadnego protestu – odpowiada mężczyzna.

– Jak to? Zostaliśmy tu zaproszeni, żeby porozmawiać z protestującymi.

– Już wszystko się skończyło, jesteśmy szczęśliwi, wszystko jest dobrze.

Habiba wyczuwa strach w głosie mężczyzny. Nie chce go dłużej wypytywać, zwłaszcza że ich samochód cały czas znajduje się pod obserwacją. Dopiero później dowie się, że rząd zdążył po cichu przekazać strajkującym wiadomość, że sułtan im pomoże. Gdy zamieszki ucichły, rząd, zamiast pomóc, obniżył protestującym pensje, odciął prąd i dostawy jedzenia. W ten sposób skutecznie zamknął niezadowolonym usta.

– Wracamy – decyduje Habiba. – Coś jest nie tak. Nikt tu dzisiaj nie będzie z nami rozmawiał. A ja obiecałam synowi, że wrócę przed szesnastą do domu.

Chwilę po opuszczeniu miasta drogę zajeżdża im duży van. Zatrzymuje się tuż przed samochodem Habiby, wzniesając tuman kurzu. Wsiada z niego czterech mężczyzn. Nie są umundurowani, ale Habiba wie, że to policja. Chwyta za telefon, robi mężczyznom kilka zdjęć, które usiłuje wysłać do prawnika. Wykręca do niego numer i włącza tryb głośnomówiący. Chce, by prawnik słyszał, co się dzieje. Policjant z nienagannie przystrzyżoną brodą chwyta jednak telefon Habiby i wyłącza go.

– Dawać ręce, jesteście aresztowani – mówi najwyższy z funkcjonariuszy. Habiba do dziś pamięta zapach jego perfum. Subtelny, bardzo delikatny, z nutą piżma.

– Za co nas aresztujecie? – pyta.

– Podburzaliście ludzi przeciwko sułtanowi.

Jest pierwszy maja, południe, na zewnątrz pięćdziesięciostopniowy upał. W głowie Habiby kłębi się tysiąc myśli. Wepchnięta na tył samochodu, bez klimatyzacji, z zamkniętymi oknami zastanawia się, jak nie zemdleć z gorąca i braku wody oraz jak poinformować syna o tym, co się stało.

Tego dnia Habiba nie wróci do domu ani o szesnastej, ani nawet o północy. Zamiast tego trafi do więzienia. To będzie jej druga najdłuższa noc w życiu.



Z Habibą spotykam się kilka lat później. Mieszka blisko mnie. Nasze domy dzieli jedynie wyschnięte wadi, koryto rzeki okresowej. Zwykle biegają po nim na wpół dzikie hordy psów, dziś nie ma tam żadnego. Dom Habiby położony jest w spokojnej dzielnicy Al-Ghubra, zamieszkałej zarówno przez miejscowych, jak i przyjezdnych. Z zewnątrz niczym się nie wyróżnia. Otacza go taki sam wysoki mur jak te, które znajdują się przed domami sąsiadów. Odróżnia go jednak to, że mieszka w nim samotna matka z synem. Habiba po rozstaniu z mężem nie wróciła do rodzinnego domu. Jest zbyt niezależna, by żyć rytmem dnia wyznaczanym przez braci, kuzynów, ich żony oraz dzieci.

Choć mieszkam niedaleko, spotykamy się z Habibą w pobliskim hotelu The Chedi, położonym nad brzegiem morza, z dala od innych hoteli, restauracji i sklepów. W Chedi można zaszyć się w kącie kawiarni i porozmawiać bez świadków.

Habiba wchodzi pewnym krokiem, ubrana w szerokie spodnie, luźną tunikę i hidżab. Od razu się rozpoznajemy. Pierwsza podaje mi rękę. Jej uścisk jest silny i zdecydowany. Zupełnie inny od delikatnego, nieśmiałego uścisku Omanek, które poznałam wcześniej. Habiba nie nosi biżuterii, na jej nadgarstku zauważam jedynie duży złoty zegarek.

– Podoba ci się? – pyta Habiba. – Zobacz, jest ze szczerego złota. – Ściąga i podaje mi zegarek, bym go obejrzała.

Jest solidny, a zarazem elegancki. To Omega, wykonana z białego i żółtego złota. Ma złotą, 24-karatową bransoletę. Odwracam tarczę i z tyłu widzę królewski emblemat, który jest też godłem Omanu.

– Wiesz, kto dał mi ten zegarek? – pyta Habiba

– Kto?

– Sułtan Kabus – odpowiada Habiba, ale wcale się nie uśmiecha. –

W dwa tysiące dziewiątym roku byliśmy gospodarzami Pucharu Zatoki Perskiej w piłce nożnej. Odbywa się on zazwyczaj co dwa lata w kolejnych krajach zatoki, w sumie każdy kraj jest organizatorem rozgrywek mniej więcej co szesnaście lat. W dwa tysiące dziewiątym roku byłam osobiście zaangażowana w przygotowanie tej imprezy. Przewodniczący piłkarskiego komitetu organizacyjnego mieszkał poza Maskatem, w Sur. To ponad sto kilometrów na południe od stolicy, więc tak naprawdę to ja się wszystkim zajmowałam. Kiedy przyszło do zapłaty, przewodniczący i każdy z wyższych członków związku dostali bonusy w postaci dwadzieścia pięć tysięcy riali, a dodatkowo po złotym zegarku wartym siedem tysięcy riali. Powiedziano, że otrzymali je za ciężką pracę przy organizacji imprezy. Tymczasem pracę wykonali za nich inni. Nagrody dostało w sumie piętnaście osób blisko związanych z rządem. Mnie i członkom mojego teamu przekazano po pięćset riali, a reszcie ekipy oraz wolontariuszom nie dano niczego. Poczulałam się jak niewolnik. Wstyd mi było spojrzeć w oczy tym wszystkim ludziom, którzy pracowali za darmo. Podpisałam rezygnację i wysłałam swój czek do ministerstwa z prośbą, by za te pieniądze minister kupił wodę dla wolontariuszy. Kolejnego dnia zrobiło się z tego tsunami. Wszyscy członkowie mojego teamu również zwrócili swoje чеки. Zrobiło się głośno. Historia dotarła do uszu sułtana. Minister przez trzy miesiące próbował się ze mną skontaktować. Chciał, bym odwołała rezygnację. I właśnie wtedy sułtan wysłał nam złote zegarki. Miało to być podziękowanie dla nas i wszystkich czterystu wolontariuszy za ich ciężką pracę. Do sportu już nigdy nie wróciłam.

Habiba zakłada zegarek, zamawiamy herbatę i daktyle.

– Tak, wiem, jestem poszukiwaczką problemów. – Uśmiecha się do mnie.

– Nie tęsknisz czasem za Zanzibarem? – pytam.

– Hmm. – Zamyśla się. – Ostatnio coraz częściej zastanawiam się, jak bym żyła, gdybym tam została. To teraz bardzo biedny kraj, być może mogłabym więcej zrobić dla niego niż dla Omanu. Jak na razie jestem tu i to w Omanie toczy się moje życie.

– Jak skończyła się twoja historia z aresztowaniem na pustyni?

– Zawieźli nas na komisariat. Mówili, że nikt o nas nie pyta, nikt się nie interesuje tym, co się z nami stało. Robili wszystko, bym przyznała się do winy.

– Do jakiej winy?

– Do podburzania ludzi przeciwko naszej władzy, przeciwko sułtanowi. Słyszałam, jak wokół mnie, w innych celach torturują osadzonych. Mnie nie bili, ale moich kolegów już tak. Mnie za to trzymali w bardzo zimnym pomieszczeniu i puszczali głośno ciężką muzykę przez dwadzieścia cztery godziny na dobę. Lampy świeciły jak na stadionie, tak że nawet kiedy zamknęłam oczy, było jasno. Słyszałam odgłosy strzałów z pistoletu. W takich warunkach nie możesz spać. Teraz myślę, że odgłosy wystrzałów były nagrane i odtwarzane z głośników. Chodziło o to, by mnie złamać, wystraszyć. Przesiedziałam tak kilka dni i do niczego się nie przyznałam. Jednocześnie za sprawą mojego prawnika zrobiło się o nas głośno. Ludzie zaczęli domagać się naszego uwolnienia. I to im dostało się najbardziej. Ci, którzy zostali aresztowani za stawanie w naszej obronie, mieli dużo trudniej i zostali w więzieniu dłużej niż my. Naszą trójkę potraktowano łżej, bo chcieliśmy bronić tych, którzy byli krzywdzeni. Dlatego policja i prokuratorzy trochę z nami sympatyzowali. Ale ci, którzy protestowali przeciwko osadzeniu nas w więzieniu, obrażali reżim. Jednego z nich zamknięto na rok. Tylko za to, że ujął się za mną na swoim blogu. To byli młodzi ludzie.

Habiba bierze łyk herbaty. Zerka na kobiety siedzące niedaleko nas, jakby upewniała się, że może mówić dalej.

– Pamiętam aktywistę, którego żona była właśnie w pierwszej ciąży. Podczas procesu bardzo płakała. Sędzia spytał tego młodego człowieka: „Dlaczego tam poszedłeś?”, on zaś odparł po prostu: „Bo chciałem, żebyście wypuścili Habibę”. „A kto to jest Habiba? Znasz jej rodzinę?”, drażnił dalej sędzia. „Nie znam, ale szanuję ją i czytam to, co pisze. Zgadzam się z jej poglądami. Popieram ją”. No i dostał pół roku. Służby specjalne chodziły do rodzin tych młodych ludzi i wiesz, co im mówili? Że to była pułapka, że ja z nimi współpracuję i zrobiłam to po to, by wsadzić ich dzieci do więzienia. Sporo z nich nie rozmawia teraz ze mną, nie wierzą mi. Wmawiali tym biednym matkom, że to ja jestem wszystkiemu winna. „Twój syn to dobry człowiek – mówili. – Wszystko przez nią. Kto pozwolił

jej na takie działania? Ona jest szalona, powoduje zagrożenie”. Teraz wiele tych rodzin nienawidzi mnie, nie chce słyszeć mojego imienia.

– Jak przeżył to twój syn?

– Jak tylko przestałam się odzywać, zaczął się niepokoić. Dzwonił do mnie i nagrywał się co dwadzieścia minut. W końcu zadzwonił do taty, do Emiratów. Bał się, że miałam wypadek. Tata go uspokajał, że to pewnie problem z zasięgiem, bo jestem na pustyni. Ale zaczął sam sprawdzać, co się mogło stać. Ja z kolei po aresztowaniu prosiłam, by pozwolili mi wykonać jeden telefon. Mówiłam im, że mój syn jest sam w domu, że martwi się o mnie. Nie zgodzili się. To oczywiście też było częścią tortur. Przekazali funkcjonariuszom, że mają być wobec mnie stanowczy, ale dla niektórych spośród nich to było trudne. Pamiętam chłopaka, który mnie pilnował. Był bardzo smutny. Siedział przy mnie i cały czas bawił się swoim telefonem. A ja bym wtedy oddała wszystko za to, żeby zadzwonić. W końcu zapytał: „Ty jesteś Habiba, tak?”. „Tak, przecież masz o mnie informacje”, odpowiedziałam. On stwierdził wtedy: „Gram w siatkówkę w lokalnej drużynie, dużo o tobie słyszałem”. Było mu przykro, że poznaje mnie w takich okolicznościach, widziałam to po jego zachowaniu. Kiedy udzielałam się w sporcie, walczyłam o takich młodych ludzi jak on. Wielu zawodników bardzo mnie szanowało i lubiło. Potem chłopak siedział obok mnie z pochyloną głową. Odczytałam jego postawę jako: „Chciałbym ci jakoś pomóc, ale nie mogę, muszę wykonywać rozkazy”. Kiedy przywieźli mnie do Maskatu, widziałam, że młodzi policjanci na komisariacie też są zmieszani. Znowu poprosiłam o telefon. Zaczęłam ich straszyć, że mój syn ma niemieckie obywatelstwo i że jeśli coś mu się stanie, to trudno im się będzie z tego wytłumaczyć. Naradzili się i poprosili o numer, by zawiadomić rodzinę. Zadzwonili do mojej kuzynki. A ja szalałam z nerwów, bo nie mogłam usłyszeć własnego dziecka. Potem okazało się, że kuzynka zabrała mojego syna do siebie, ale nie powiedziała mu, co się stało. Dopiero jej córki wyjaśniły mu: „Twoja matka jest w więzieniu, widzieliśmy w internecie”. I tak się właśnie dowiedział.

Niedaleko naszego stolika siadają mężczyźni w śnieżnobiałych diszdaszach. Zamawiają herbatę i od czasu do czasu zerkają w naszą stronę.

– Widzisz, to mogą być ludzie ze służby bezpieczeństwa, oni często kręcą się po knajpkach i słuchają, o czym ludzie rozmawiają – tłumaczy Habiba. – Nie boję się ich. Ostatnio często mieliśmy ze sobą kontakt. –

Uśmiecha się. – Po moim wyjściu z więzienia służby specjalne

nieoczekiwanie zmieniły strategię. Zadzwonili do mnie z ministerstwa i powiedzieli: „Zrobiliśmy błąd, powinnaś pełnić kierowniczą funkcję. Chcemy wysłać cię do Australii na staż. Pojechałabyś? Umożliwimy ci to. Jesteś dobrym człowiekiem, dobrą obywatelką. Pracujesz dla kraju”. Zwracali się do mnie miło. To było bardzo sprytne. Mnóstwo aktywistów krytykujących rząd dostało takie propozycje i wielu z nich skorzystało. Dostali pieniądze, domy, stypendia zagraniczne, dobre posady w państwowych firmach. Ale moją odpowiedzią na propozycję rządu było odejście z pracy w państwowej instytucji. Przeszłam na wcześniejszą emeryturę. Zostałam Ministerstwo Środowiska. Był pierwszy lipca dwa tysiące jedenastego roku.

Mężczyźni bacznie nam się przyglądają, Habiba patrzy jednak w okno, po czym wraca do rozmowy.

– Nie lubiłam tej pracy. W Omanie nie można człowieka tak po prostu zwolnić. Chcąc się pozbyć pracownika, stosuje się więc inne metody. Jedną z nich jest poniżanie. Pewnego dnia na przykład zwierzchnicy uczynili moją szefową dziewczynę, która mogłaby być moją córką. Była nawet miła, ale nie miała ani wiedzy, ani doświadczenia. Starłam się nie reagować. Nie poddawałam się nawet wtedy, kiedy nikt nie mógł ze mną rozmawiać, kiedy ludzie mijali mnie na korytarzu bez słowa. Kiedy ignorowali, gdy coś mówiłam. Potrzebowałam źródła stałych dochodów. Ale po tym, jak dostałam propozycję od rządu, by wyrzec się wszystkiego, w co wierzyłam, o co walczyłam, postanowiłam już niczego od tego rządu nie przyjąć. Finansowo było mi bardzo ciężko. Byłam samotną matką, musiałam sprzedać ziemię, żeby mój syn mógł się dalej uczyć. Dostałam wilczy bilet. Nie miałam zgody na podjęcie jakiegokolwiek pracy, nawet w sektorze prywatnym. Uniemożliwili mi to na stałe. Służby specjalne cały czas mają mnie na oku. W ostatnim tygodniu też miałam spotkanie z nimi. Chcieli, bym zaprzestała swojej działalności. Ale jestem uparta.

Popijamy herbatę, przyglądając się sobie nawzajem. To spotkanie dwóch kobiet z zupełnie innym bagażem doświadczeń, mówiących innymi językami, ale jednocześnie podobnych do siebie. Mimo że nie możemy rozmawiać głośno, mam wrażenie, że słowa Habiby wypełniają całe pomieszczenie, są przemyślane i celne. Jeśli czegoś jest pewna, mówi wprost. Jeśli czegoś nie wie, od razu przyznaje, że to tylko przypuszczenia. Jest w niej matematyczna precyzja, dziennikarska ciekawość i ludzka wrażliwość.

– Widzisz, u nas większość tematów się przemilcza. Wizerunek Omanu ma być nieskazitelny. Wszystko ma być tu „naj”. Najpiękniejsze, najlepsze, najbezpieczniejsze, a ludzie najszcześliwsi. Tymczasem nie ma takiego kraju na świecie, który jest bez skazy. A ja wkładam kij w mrowisko. Czasem robię to na przekór wszystkim, również na przekór sobie, bo najważniejsza jest dla mnie prawda. Na przykład nikt oficjalnie nie powie, że według naszego społeczeństwa najlepszym obywatelem jest stuprocentowy Omańczyk.

– A kim jest stuprocentowy Omańczyk?

– To Arab z białą skórą, ze śródłądzia. Niezmieszany z żadną inną nacją. Im skóra jest jaśniejsza, tym piękniejsza, bardziej czysta i omańska. Wyuczycie się historii, w której wasi rządzący podejmowali zarówno dobre, jak i złe decyzje. Uczycie się o trudnych, czasem haniebnych działaniach waszego kraju. A u nas o takich momentach się milczy. Naukę historii zaczynamy od tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego roku, kiedy władzę przejął sułtan Kabus. Nie uczą tu o Zanzibarze czy o Beludżystanie, z którego przybyło do nas sporo ludzi, na przykład całe plemię Al-Baluszi. Nie przekazują nam wiedzy na temat kultury i języków, którymi posługują się różne ludy w Omanie. Młode pokolenie lekceważy Zanzibarczyków. Omańczycy szczycą się tym, że nasze imperium sięgało aż do wschodniej Afryki, a jednocześnie uważają, że Omańczycy z Zanzibaru nie są w stu procentach Omańczykami. To dla mnie bardzo przykre. Zgodnie z prawem nie ma dyskryminacji, ale ona jest pomiędzy ludźmi.

Habiba na chwilę się zamyśla, po czym kontynuuje temat.

– Uważam, że nasze państwo robi duży błąd, nie ucząc historii. Wczoraj rozmawiałam z jedną dziewczyną i z tego, co mówiła, wywnioskowałam, że pochodzi z Zanzibaru. Kiedy ją o to zapytałam, bardzo się zachnęła. „Nie, nie jestem z Zanzibaru”, rzuciła ostro. Tutaj jest to odbierane jako obelga. Tak samo jeśli powiesz, że ktoś jest z plemienia Baluszi – to też obelga. Trzeba być czystej krwi Omańczykiem, żeby być dobrym obywatelem. Baluszi, by lepiej się poczuć, głoszą ostatnio taką teorię, że są stuprocentowymi Arabami, którzy kiedyś wyjechali do Beludżystanu i po latach stamtąd wrócili. Im dalej to idzie, tym bardziej jest żalosne. Wszyscy więc mówią tu, że są stuprocentowymi Omańczykami. Hinduś mieszkający w Anglii, który dostał obywatelstwo brytyjskie, powie, że jest Brytyjczykiem pochodzenia indyjskiego. I jest z tego dumny. W Omanie ludzie wstydzą się swojego pochodzenia, jeśli tylko są spoza Półwyspu

Arabskiego. Na przykład tak zwany czysty Omańczyk nie poprosi o rękę dziewczyny z rodziny Baluszi. Na pierwszym miejscu stoją tu Omańczycy o jasnej skórze. Drugą kategorią są Omańczycy z Zanzibaru, czyli w większości Arabowie z domieszką krwi afrykańskiej. Ich dzieci nie przyznają się do tego, że rodzice przyjechali z wyspy, bo tu jest bogato, a tam bieda. Kiedyś tam było bogactwo, a tu bieda i wtedy ludzie wstydzili się mówić, że są Arabami. Omańczycy są zdziwieni, że mówię wprost o swoim zanzibarskim pochodzeniu. Dla nich to otwarte przyznanie się do bycia gorszą. Moja babcia była drugą żoną dziadka, a wcześniej jego niewolnicą. W tamtych czasach na Zanzibarze często dochodziło do podobnych małżeństw. Zresztą w arabskich domach niewolników traktowano przeważnie jak członków rodziny, tak było też w przypadku mojej babci. Nigdy nie skarżyła się na rodzinę dziadka. Dlaczego teraz miałabym się wstydzić się, że moja babcia była niewolnicą? Nie podoba mi się to, że wymusza się na młodych ludziach, by zapomnieli o swoich korzeniach. Przez ostatnie czterdzieści cztery lata każdy ukrywa swoją przeszłość tylko po to, by być tu akceptowanym, by być kimś lepszym. Doszło nawet do tego, że wiele rodzin Al-Baluszi, żeby nie być kojarzonymi z Beludżystanem, zmieniło nazwisko na bardziej „arabskie”: Al-Nabhani. Tylko że ludzie wciąż nie kojarzą ich z Arabami, ale z plemieniem Baluszi przybyłym z Beludżystanu. Jedna z moich znajomych zbuntowała się przeciw zmianie nazwiska. Mówi głośno: „Ja jestem z rodziny Baluszi, nie nazywam się Nabhani”. Jej rodzice zmienili nazwisko na bardziej „omańskie”. Wszyscy jednak wiedzą, że Nabhani to tak naprawdę Baluszi i każdy na ten temat plotkuje, więc po co to robić? O mnie też plotkują, że nie jestem czystej krwi Omarką. Ale mnie to nie obchodzi, bo jestem dumna ze swojego pochodzenia. I chciałabym, żeby młodzi ludzie też mogli być z niego dumni. Jakiś czas temu próbowałam zorganizować serię spotkań na ten temat, żeby przerwać ciszę. Zaraz jednak oskarżono mnie o powodowanie dyskryminacji. „Chcesz ją obudzić” – mówili. – „Bo tu nie ma dyskryminacji. A ty chcesz ją wskrzesić”. My, Omańczycy – od zwykłego człowieka do polityka – załatwiamy wszystko pod stołem, zamiatamy pod dywan największe brudy. O nich się nie rozmawia. Wszystkie śmieci są ukryte. Obcokrajowcy ich nie widzą i nawet nie są ich ciekawi. Mieszkają tu latami i są zachwyceni tym krajem, jego bogactwem i pięknem przyrody. Ale trudno im się dziwić, skoro sami

Omańczycy nie chcą wejrzeć głębiej. Wszystko chowamy za tymi naszymi wysokimi murami.

Rozmowę przerywa kelnerka, zbierając puste filiżanki. Zamawiamy kolejną herbatę.

– Znasz historię Dżabal Achdar? – kontynuuje Habiba. – W szesnastym wieku toczyła się tam wojna z Portugalczykami i do dziś mieszkańcy tych okolic mają bardzo jasną skórę. Wielu z nich ma też niebieskie albo zielone tęczówki. Nie wyglądają jak inni Omańczycy. Napisałam coś takiego: „Dlaczego za każdym razem, kiedy pytam kogoś, dlaczego ludzie z Dżabal Achdar mają jasną skórę i kolorowe tęczówki, to słyszę odpowiedź: zapytaj Portugalczyków?”. I to wszystko. Po tym wpisie otrzymałam groźby. Plemiona z Dżabal Achdar zwołały naradę, na której ustalono, że jeśli nie przestanę zamieszczać takich wpisów i oficjalnie nie przeproszę, to wezwą mnie przed sąd. Straszili mnie przez ostatnie dwa dni, że insynuuję ni mniej, ni więcej, że ich kobiety pięćset lat temu sypiały z Portugalczykami. Jednocześnie tłumaczyli: „Mamy białą skórę ze względu na pogodę. Tu nie jest tak gorąco jak w pozostałych częściach Omanu”. No więc pytam, dlaczego osoby czarnoskóre żyjące od pokoleń w Europie nigdy nie stały się białe. I tak sobie myślę, że poziom agresji ludzi z Dżabal Achdar wobec mnie dowodzi, że coś jest na rzeczy. Wyzywali mnie od niewolniczek, a tutaj to jedna z największych zniewag. Grozili mi nawet śmiercią. Pisali do mnie: „Jesteśmy czystej krwi Omańczykami, nie rób z nas pół-Omańczyków!”. Problem polega na tym, że ludzie nie uznają cię za dobrego obywatela, jeśli nie jesteś czystym Arabem.

Wielu Omańczyków twierdzi, że Oman to demokratyczny kraj. Z dumą pokazują imponujący budynek parlamentu, mówią o wyborach do Rady Konsultacyjnej. Wspominają o izbie wyższej, czyli Radzie Państwa, która pełni funkcję doradczą. I rzeczywiście sułtan słucha swoich poddanych, ale ostatecznie robi to, co uważa za słuszne. Jest głową państwa, szefem rządu, ministrem spraw zagranicznych, obrony i finansów. Jednocześnie zgodnie z prawem zarówno tworzenie partii politycznych, jak i zwoływanie zgromadzeń bez zezwolenia jest zakazane. Jeśli zaś chodzi o wolność słowa i wolność wypowiedzi, to co prawda są one zagwarantowane w ustawie zasadniczej z 1996 roku, tyle tylko, że to prawo jest... limitowane. I tak na przykład 31. artykuł tej ustawy mówi o wolności prasy i publikacji, a jednocześnie ustawa zakazuje publikowania materiałów, które prowadzą

do publicznej niezgody, gwałcących bezpieczeństwo państwa lub też obrażających czyjąś godność i jego prawa.

Dziennikarze, wydawcy, blogerzy i zwykli internauci muszą cenzurować się sami. Każdy z nich powinien wiedzieć, o czym pisać nie wolno. W 2013 roku wydawca tygodnika „The Week” nie domyślił się, że w Omanie nie można pisać o gejach. Trzy dni po tym, jak opublikował artykuł *Outsiderzy*, opisujący sytuację omańskich homoseksualistów, tekst wycofano z internetowego wydania, a wydawca musiał oficjalnie przeprosić. Ministerstwo Informacji przegląda wszystkie filmy i publikacje importowane do kraju i zakazuje rozpowszechniania tych, które ocenia jako obraźliwe politycznie, kulturowo bądź obyczajowo.

– W omańskiej prasie nie można pokazać wizerunku przestępcy, mordercy czy gwałciciela, ponieważ jest to niezgodne z tradycją. Ujawnienie zdjęcia sprawcy byłoby potwarzą dla jego niewinnej rodziny albo całego plemienia – tłumaczy Habiba. – Ale społeczeństwo pozna wygląd tego, który odważył się skrytykować rząd. Wtedy i nazwisko, i zdjęcie trafi do gazet.

– Habibo, a jak jest z obrzezaniem kobiet w Omanie? – pytam. – O tym też nie można rozmawiać i pisać?

Moja rozmówczyni nieoczekiwanie parska śmiechem.

– Dobrze trafiłaś, bo napisałam na ten temat pracę dla niemieckiej organizacji praw kobiet. W dwa tysiące trzynastym roku zgłosiła się do mnie organizacja pozarządowa Stop FGM Middle East, czyli Stop Kobiecemu Obrzezaniu w krajach Bliskiego Wschodu. Badali sprawę obrzezania kobiet na naszym terenie. To było jak zrzucenie bomby na kraj. Nikt nie poruszał wcześniej tego tematu, ja też nie byłam nim zainteresowana, bo myślałam, że tematu po prostu nie ma. Myliłam się.

– Czego się dowiedziałaś?

– Zaczniemy od tego, że obrzezanie kobiet to w Omanie temat tabu, nikt o tym nie mówi – odpowiada Habiba. – U nas każde plemię kryje jakieś tajemnice. Generalnie wiemy, że przypadki obrzezania pojawiają się w Zufarze, regionie na południu Omanu, gdzie osiedliły się afrykańskie plemiona Somali. Później ich zwyczaje przejęli Omańczycy. Nasi mężczyźni zgodzą się na wszystko, byle tylko kobieta nie okryła rodziny hańbą. Obrzezanie córki jest im więc na rękę. Dziewczyna nie będzie czerpała przyjemności z seksu, więc nie pojawi się problem niechcianej ciąży. Oczywiście najlepiej było to połączyć z religią. I tak się stało.

W efekcie zwyczaj się rozprzestrzenił. Wszystko działało się jednak za zamkniętymi drzwiami, po cichu. Kiedy więc zgłosili się do mnie ludzie z organizacji praw kobiet, powiedziałam im, że w Omanie nie mamy tego problemu. zaproponowałam jednak, że gdyby chcieli, spróbuję dowiedzieć się czegoś więcej. Byłam już na emeryturze i miałam sporo czasu. Zaczęłam rozmawiać z ludźmi. Stworzyłam kwestionariusz, który wysłałam do wszystkich znajomych. Wybrałam ich tak, by reprezentowali każdy region Omanu i mieli zróżnicowane wykształcenie. Wśród moich pytań znalazły się między innymi: „Czy wierzysz, że obrzezanie jest częścią naszej religii?”, „Czy powinno się to kontynuować?”, „Czy byłaś obrzezana?”. Zadałam około dziesięciu pytań. Przepytałam sto kobiet i stu mężczyzn. Poszłam do szpitala, do supermarketu. Nie było łatwo, bo z każdego z takich miejsc szybko mnie wyganiano, nie miałam zezwolenia na robienie ankiety. Nikt oficjalnie nie wydałby takiej zgody. Na sto kobiet osiemdziesiąt trzy były obrzezane. Wśród nich były zarówno starsze kobiety oraz te w średnim wieku, jak i młode dziewczyny, a nawet malutkie dzieci. Wszystkie kobiety myślały, że to wymóg religijny. Jeszcze kilka lat temu obrzezań kobiet dokonywano w warunkach szpitalnych. Kiedy międzynarodowe organizacje zaczęły protestować przeciwko takim zabiegom, proceder przeniósł się do domów, robiono to po cichu. Powstawały też prywatne kliniki. Większość z nich działa do dziś. Przeanalizowałam wyniki badań i uporządkowałam dane: zrobiłam grafiki, statystyki, bo lubię matematykę i porządek. Poszłam z tym do muftiego, sprawującego najwyższą władzę duchową w Omanie. Zostawiłam mu wyniki badań i poprosiłam o odpowiedź na piśmie. Ponieważ jednak w Omanie mieszkają ibadyci, szyici i sunnici, to mufti jak zawsze odpowiedział bardzo dyplomatycznie. Nie wyraził jasno ani poparcia, ani sprzeciwu. Poszłam zatem do Ministerstwa Zdrowia. Znalazłam lekarkę, która zajmowała się tym tematem. Powiedziała, że już wiele razy zgłaszała to w ministerstwie, ale uznawano, że nie jest to temat do dyskusji. Wróciłam więc do muftiego, zorganizowałam warsztaty, na których zamierzałam uświadamiać kobiety, że obrzezanie nie jest częścią naszej religii. Przyszło sporo kobiet, ale tylko na pierwsze spotkanie. Na drugim się już nie zjawily, a potem przestały się do mnie odzywać. Nawet ci, którzy mnie wcześniej wspierali, odwrócili się ode mnie. Niedługo potem ogłoszono w Omanie zakaz przeprowadzania wszelkich badań na ten temat

bez zgody Ministerstwa Informacji. Nie można przeprowadzać ankiet, przepytywać ludzi i prezentować wyników tych badań. To teraz nielegalne.



Młody Hindus ociera pot z czoła. Jeszcze tylko czterdzieści sadzonek i skończy pracę. Długie, służbowe ogrodniczki grzeją bardziej niż tradycyjne indyjskie dhoti, kilkumetrowy kawałek materiału upinany w pasie. Razem z grupą mężczyzn pracuje tu od rana. Sadzą rośliny na klombach przy reprezentacyjnej trasie szybkiego ruchu, która prowadzi z lotniska do centrum stolicy. Dzisiaj wkładają do ziemi wysokie trawy, jutro będą sadzić krzaczki bugenwilli, bo te rośliny pięknie wyglądają przez cały rok. Słońce nie daje odpocząć, a spaliny i huk przejeżdżających samochodów sprawiają, że człowiek męczy się szybciej niż zwykle.

Każdego roku na początku listopada na trawnikach położonych przy głównych ulicach omańskiej stolicy przybywa robotników z Indii, Pakistanu i Bangladeszu. Dzięki ich pracy trawa robi się bardziej gęsta i zielona. Przybywa też kwiatów i krzewów. Po zakończeniu prac ogrodniczych mężczyźni wieszają omańskie flagi i lampki w kolorach narodowych. Dekoracje pojawiają się przy ulicach, na budynkach państwowych i prywatnych firmach, a także na prywatnych posesjach.

Jak cały Oman, również zmieniła się zgodnie z dekretem sułtana w 1970 roku. To trzy równe poziome pasy: biały, czerwony i zielony, z szerokim pionowym pasem na lewym boku flagi. Boczny pas ma kolor czerwony. W lewym górnym rogu flagi znajduje się godło państwowe, będące znakiem dynastii Al-Busaidi, z której wywodzi się sułtan. To dwa skrzyżowane ze sobą miecze, a na nich tradycyjny omański sztylet w pochwie, zwany handżarem. Miecze i sztylet reprezentują tradycyjną broń omańskich wojowników. Łączy je ozdobne wędzidło używane do jazdy konnej. Biały kolor flagi oznacza pokój i dobrobyt, czerwony przypomina o walkach przeciw najeźdźcom, a zielony symbolizuje płodność i zielone góry zwane po arabsku Dżabal Achdar.

Siedzimy z Habibą w kawiarni w eleganckiej dzielnicy The Wave. Patrzymy na przejeżdżające luksusowe samochody, szczęśliwe twarze młodych ludzi na ulicy. Osiemnasty listopada to ważne dla Omańczyków

święto. Tego dnia w 1650 roku Oman wyzwolił się spod kontroli Portugalczyków. Habiba nie ma jednak powodów do radości.

– Czy wiesz, że mój syn po skończeniu osiemnastu lat będzie musiał opuścić ten kraj? Wiesz, że nie ma tutejszego obywatelstwa?

– Dlaczego?

– Obywatelstwo Omanu dostaje się po ojcu. A ojcem mojego syna jest Niemiec – tłumaczy Habiba. – To Arab, ale z niemieckim obywatelstwem. Syn ma teraz siedemnaście lat. Za pół roku stanie się pełnoletni i będzie musiał opuścić ten kraj. Jeśli Omańczyk poślubi kobietę spoza Omanu, to ich dzieci automatycznie będą Omańczykami, a ona po pięciu latach będzie mogła starać się o obywatelstwo. I nawet jeśli się rozwiedzie, to będzie mogła mieszkać w Omanie, bo tu są jej dzieci. Jeśli natomiast Omanka poślubi obcokrajowca, to dzieci będą pozbawione szans na uzyskanie obywatelstwa. Jeśli on straci tu pracę, to będzie musiał wyjechać z kraju razem z dziećmi. Na tym nie kończą się nierówności w traktowaniu dzieci, których ojcowie są spoza Omanu. Mój syn urodził się jako wcześniak, leżał w inkubatorze. Za każdy dzień jego pobytu w szpitalu policzono mi sto riali. Tylko dlatego, że jego ojciec jest Niemcem. Powiedziałam, że mogą wsadzić mnie do więzienia, ale nie zapłacę. Opuścili. Ale kazali mi płacić za każdą wizytę syna u lekarza. Skontaktowałam się z dziennikarką, która w tamtym czasie zajmowała się sprawami społecznymi. Wtedy jeszcze prowadziła swój program w telewizji. Poświęciła temu cały odcinek. Po emisji programu rząd ogłosił, że dzieci nie-Omańczyków mają prawo do darmowej edukacji i opieki zdrowotnej, ale do pozostałych omańskich przywilejów, w tym do dziedziczenia, już nie. W dwutysięcznym roku poruszyłam ten temat w mediach społecznościowych. Jak zwykle wszyscy byli zdumieni, że odważyłam się o tym mówić. Krytykowałam głośno ministrów, że nie dbają o prawa kobiet w tym kraju. Jeśli krytykujesz tu ministra, to tak jakbyś krytykowała samego sułtana. Mówili, że kobiet będących w podobnej sytuacji jest garstka, więc postanowiłam im udowodnić, że kłamią. Ogłosiłam w mediach społecznościowych, że robię na ten temat badania. W ciągu tygodnia mój prywatny telefon zmienił się w call center. Dzwoniły do mnie Omanki z całego świata – z Bombaju, Pakistanu, Egiptu, Kanady, ze Stanów – i prosiły: „Pomóż moim dzieciom dostać obywatelstwo”. Mówiłam, że będę walczyć o ich prawa. Postanowiłam, że przedstawię w ministerstwie sto pierwszych zgłoszeń. W międzyczasie zgłaszały się kolejne kobiety. Miałam zebrane wszystkie

dokumenty, z numerami paszportów. Udałam się z nimi do Ministerstwa Rozwoju Społecznego. Natychmiast złożyli mi propozycję: „Damy tej setce ludzi obywatelstwo, ale przestań już o tym mówić”. Odpowiedziałam im tak: „To proszę powiedzieć, co mam przekazać pozostałym setkom dzieci i ich matkom. W rodzinie królewskiej również zdarzają się takie przypadki i traktowane są inaczej. Dlaczego prawo nie traktuje wszystkich tak samo?”. Propozycję wycofano.

Rozmowę na chwilę zagłuszają okrzyki rozbawionej młodzieży świętującej Dzień Narodowy.

– Według naszego prawa Omańcy powinni żenić się z Omankami – kontynuuje Habiba. – Chodzi o to, by Oman był czysty etnicznie i muzułmański. Sułtan wymyślił to tak: zgodę na ślub z obcokrajowcem może dostać obywatel Omanu wielokrotnie rozwiedziony, bo to oznacza, że nie jest najlepszą partią. Zgodę może dostać również osoba, która jest poważnie chora, niepełnosprawna, bądź stara – niech obcokrajowiec się nią zaopiekuje. Niektórzy biorą więc tylko ślub religijny, bez cywilnego. Zgodnie z zasadami islamu takie pary mogą ze sobą żyć, ale współmałżonek nie ma w Omanie żadnych praw. Kobieta z innego kraju może poślubić Omańczyka pod warunkiem, że jest chrześcijanką albo żydówką. Nikt nie każe jej zmieniać swojej wiary, ale musi wiedzieć, że jej dzieci będą muzułmanami. Jeśli kobieta wyznaje hinduizm albo buddyzm, musi przed ślubem przejść na islam. Dla nas liczą się tylko te religie, które zakładają istnienie jednego boga, czyli islam, chrześcijaństwo i judaizm. Mężczyzna obcokrajowiec, by poślubić Omankę, musi przejść na islam i zostać obrzezany. Najpierw jednak trzeba wystąpić o zgodę na zawarcie związku małżeńskiego w Ministerstwie Rozwoju Społecznego. Jeśli Omańczyk lub Omanka, którzy starają się poślubić obcokrajowca, będą owdowiali, rozwiedzeni albo bezpłodni, łatwiej dostaną zgodę na ślub. Wniosek będzie rozpatrywany przez czteroosobową komisję. Ostateczną decyzję o ślubie podejmuje minister spraw wewnętrznych. Ale procedura ciągnie się miesiącami, a bywa, że wręcz latami. Urzędnicy często gubią ważne dokumenty, robią literówki w nazwisku, błędnie wpisują numery paszportów. Zwlekają, ile się da. Głównie po to, by zainteresowani zrezygnowali ze swoich planów.

Naszą rozmowę przerywa telefon. Habiba przeprasza i odbiera. Po chwili wracamy do dyskusji.

– Właśnie dzwoniła Omanka, która wyszła za Holendra. Uciekł z trojgiem małych dzieci do Holandii, nie widziała ich od trzech lat. Prosi mnie o pomoc. Te dzieci są obywatelami Holandii, nie Omanu. Rodzice są po rozwodzie. Wielu z tych mężów Europejczyków zostaje muzułmanami tylko na papierze. Po to, by wziąć ślub. A żyją tak jak do tej pory. Po rozstaniu z żoną zabierają dzieciaki, bo mają do nich prawo. A kobieta tutaj nie dostanie wsparcia rządu. Usłyszy: „Zasłużyłaś na to”. Jeśli były mąż chce zatrzymać dzieci, omańska policja nigdy nie stanie po stronie kobiety, choćby była czystej krwi Omanką. A dlaczego? Bo chcą ją ukarać za to, że wybrała obcokrajowca. Ma być przykładem dla innych. Moje małżeństwo też nie było udane. On był Niemcem, ale pochodził z Libanu. Podczas rozwodu powiedziałam mu: „Chcesz samochód, lodówkę, sofę, to bierz. Ale mój syn ma tylko pięć lat. Ty nie jesteś w stanie zadbać o siebie, a co dopiero o dziecko”. Wiem, że prawo stało po jego stronie. Zagroziłam mu: „Jeśli weźmiesz ze sobą mojego syna, to ja zostawię pracę, zostawię ten kraj i przylecę do Niemiec. Poproszę o wsparcie wszystkie organizacje kobiece, zabiorę syna i połowę twoich zarobków”. Wystraszył się. Ostatecznie zgodził się, by syn został ze mną, ale widuje się z nim, kiedy tylko zechce. Niestety, większość kobiet takich jak ja, które poślubiły obcokrajowców, ma gorzej. Rodzina zwykle się od nich odwraca i zostają bez jakiegokolwiek wsparcia. Słyszą od nich: „Kto ci kazał wychodzić za takiego człowieka? Sama tego chciałaś”. W takiej sytuacji kobieta jest zdana na łaskę byłego męża, który może się zgodzić, by matka widywała dzieci, albo nie.

– Jak zamierzasz pomóc tej kobiecie, która przed chwilą dzwoniła?

– Nie chcę jej dobijać, mówiąc prawdę. Zbieram informacje o wszystkich takich przypadkach i będę znowu uderzać do naszego rządu. – Habiba zamyśla się i poważnieje. Widać, że tłumia emocje. – Jeśli wygonią moje dziecko – mówi wolno – wyjadę razem z nim. Polecimy do Niemiec. Wynajmę mój omański dom i wyruszę razem z synem. Jeśli tu go nie chcą, to pójdzie na studia w Niemczech. Tutaj i tak jestem samotna, więc nie martwię się tym, że gdzieś indziej będę sama. Będę się starała o pracę w organizacjach zajmujących się prawami kobiet. Dalej będę robiła to, co kocham najbardziej. Będę walczyła o równość wobec prawa.

Za oknem paradują rozbawieni mężczyźni i rodziny z dziećmi, ludzie trzymają w rękach flagi. Wielka radość związana ze świętowaniem Dnia Narodowego będzie trwać do końca listopada. Potem powoli znikną

dekoracje w kolorach omańskiej flagi. Hindusi przeniosą się z kwiatowych klombów na ulice, plaże i do parków. Tam czekać będą na nich sterty śmieci. Opakowania po jedzeniu, plastikowe butelki, podarte chorągiewki. Zacznie się wielkie sprzątanie.



Na pokład samolotu Habiba i jej syn będą mogli zabrać dwie dwudziestopięciokilogramowe walizki. Gdyby chcieli wziąć więcej, musieliby zapłacić po 20 dolarów za każdy kilogram. Mija czterdzieści pięć lat, odkąd sześciolatnia Habiba zrobiła swój pierwszy krok na omańskiej ziemi. Dziś szykuje się do kolejnej ucieczki.

– Tym razem przynajmniej mogę coś wziąć – mówi. – Całe dwadzieścia pięć kilo mojego życia.

– Wrócisz tu kiedyś? – pytam.

– Nie w najbliższej przyszłości. Mój powrót będzie zależał od tego, jakich będziemy mieli przywódców.

– Jak patrzysz wstecz na swoje życie, to czy jest coś, co byś w nim zmieniła?

– Hmm, to bardzo trudne pytanie. Wiem doskonale, że miałam mnóstwo okazji, by żyć spokojnie i dostatnio. Ale nie wiem, czy bym coś zmieniła. Musiałabym żyć tak jak większość ludzi, którzy nie są sobą, nie żyją zgodnie ze swoim sumieniem. Interesują ich tylko pieniądze, płodzenie i wychowywanie dzieci. Takie priorytety to jedyny sposób, by tu przetrwać, by odnieść sukces. Ja zawsze zamykałam te drzwi. Miałam okazję, by być kimś ważnym i pod ochroną rządu mówić, że kobiety mają tutaj mnóstwo praw, że jesteśmy najszczęśliwszymi ludźmi na świecie. Mogłam być taką kukiełką w rękach władz. Skorzystałabym na tym finansowo i pod tym względem byłabym bardzo szczęśliwa. Może ci ludzie są szczęśliwi w taki sposób? Nie, nie żałuję swojego życia, swoich decyzji. Oczywiście często cierpię, żyję w strachu. Czasem zadaję sobie pytanie: „Dlaczego torturuję samą siebie?”.

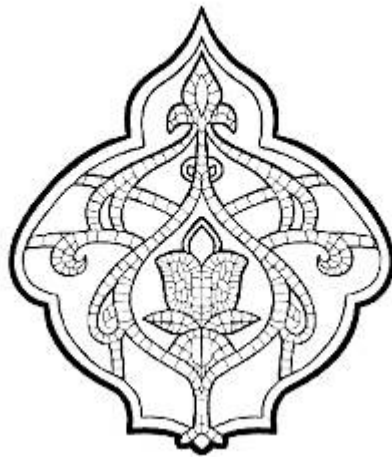
– Warto było?

– Widzisz, ludzie tutaj podążają za tym, co podpowiada im system. Nie potrafią sami decydować. System stwierdza: „Kochasz ją”, to ją kochasz, stwierdza: „Nienawidzisz”, to nienawidzisz. Ludzie mają tu wyprane

mózgi. To dotyczy wszystkich, także przedstawiciele mediów. Może to daje im poczucie bezpieczeństwa? Władza określa, co możesz, a czego nie. O takich jak ja ludzie systemu mówią: „Ona jest zła, jest wrogiem. Chce zepsuć nasz kraj, wpuścić wrogów, którzy nas zaatakują”. Więc ludzie siedzą cicho, bo tak jest wygodnie. Ale rozumiem to, mają dzieci, rodziny, dbają o nie. A tacy jak ja na całym świecie są mniejszością. Zresztą niełatwo tak żyć, szczególnie kobiecie. Chcę wyjechać, bo nie chcę żyć w strachu. I nie chcę, by mój syn żył w strachu. Więc, czy zmieniałabym coś, patrząc w przeszłość? Nie. Nie mogę się zatrzymać. Bo jeśli się zatrzymujesz, to się cofasz. Dlatego o takich jak ja mówi się, że jesteśmy szaleni. To jest tak, jakbyś prowadziła biznes, dużo pracowała i niczego z tego nie miała. Tylko straty.



Habiba wchodzi na pokład samolotu, za nią podąża syn. Ona siada przy oknie, on obok niej. Start. Samolot wznosi się coraz wyżej. Domy robią się małe, światła zamglone, za to w blasku księżyca coraz szerzej roztacza się bezkresna czarna toń Zatoki Arabskiej. Ten kolor Habiba dobrze pamięta. Zamiast fal rozbijających się z łomotem o małą łódź słyszy miły głos stewardesy, która wita na pokładzie samolotu do Frankfurtu. Habiba, tak samo jak czterdzieści pięć lat wcześniej, nie potrafi powstrzymać łez. Teraz jest już pewna, że to nie są łzy szczęścia.



AURELIA

Bajki nie trwają wiecznie

Czternasty kwietnia 1979 roku jest wyjątkowo zimny. Na zewnątrz plucha, śnieg z deszczem i wiatr. Aurelia, widząc, co dzieje się za oknem, zakłada córkom ciepłe kurtki, sama narzuca na plecy płaszcz. Taksówka czeka pod blokiem. Kobieta energicznie zamyka drzwi mieszkania, które do tego dnia było jej rodzinnym domem.

Droga z Częstochowy do Warszawy jest długa. Córki na szczęście zasnęły. O kraju, do którego się wybiera, Aurelia wie tylko tyle, że panuje w nim wieczne lato, że jest tam pustynia i ciepłe morze. Wie też, że to kraj muzułmański, a nowy sułtan planuje zrobić z niego nowoczesne, bogate państwo. I, co najważniejsze, wie, że czeka tam na nią Tabit.

Startując z lotniska w Warszawie, kobieta zerka na szare otoczenie, którego długo nie zobaczy.



– Za dziesięć minut będziemy lądować w As-Sib – ogłasza miłym tonem stewardesa.

Aurelia wygląda przez okno. Widzi zatokę, skały, góry, piach, gdzieś dostrzega też małe, pustynne drzewka.

– Jest zieleń! – mówi do córek. – Jak jest zieleń, to będzie dobrze. Zobaczcie, dziewczynki, tam na dole czeka na nas tata.

Magda i Zahra, wymęczone podróżą, na hasło „tata” budzą się błyskawicznie. Samolot zatrzymuje się na płycie lotniska. Wychodząc z klimatyzowanego wnętrza, dziewczynki czują, jakby weszły do pieca.

– Mamo, tu jest jak w duchówce! – krzyczy Magda. – Jakbym była w piecu do pieczenia chleba.

– Mamo, duszno – wtóruje siostrze Zahra.

– No chyba będziemy musiały się przyzwyczaić – odpowiada Aurelia. – Na pewno nie będziemy tu marznąć.

Z powodów bezpieczeństwa lotnisko jest zamknięte dla odwiedzających. Rebelia w prowincji Zufar na południu Omanu zakończyła się co prawda już trzy lata temu i rząd odzyskał kontrolę nad całym rejonem, ale w kraju wciąż dochodzi do zamieszek. Dlatego też na lotnisku zachowuje się szczególne środki bezpieczeństwa. Ci, którzy chcą powitać przylatujących, muszą czekać poza jego terenem.

– *Salam alejkum*, dzień dobry! Rela?

Głośne powitanie rozbudza Aurelię i dziewczynki czekające w dusznej hali lotniska.

– Tak, jestem Rela – potakuje Aurelia.

Mężczyzna w białej diszdaszy uśmiecha się szeroko i łamanym angielskim tłumaczy, że przysłał go Tabit, mąż Aurelii.

– Wy tu sobie poczekajcie, a ja wszystko załatwię – oznajmia, po czym zabiera trzy paszporty i biegnie do urzędników.

Dziewczynki z mamą siadają na ławce. Z małego okienka oddzielającego halę przylotów od świata zewnętrznego wyszczerza się do Aurelii i dziewczynek śniada gęba. Dlaczego temu facetowi tak wesoło? – myśli Aurelia. O co tu chodzi? Czy oni w ten sposób podrywają kobiety? Aurelia odwraca się tyłem i stara się ignorować dziwadło za oknem. Kiedy wszystkie trzy wychodzą z lotniska, ta sama gęba razem z należącym do niej ciałem pędem leci w ich stronę z otwartymi ramionami.

– Tabit? – krzyczy Aurelia z niedowierzaniem.

– Tata? – wykrzykują dziewczynki.

– Ty idioto, mogłeś ubrać się normalnie, żeby cię poznała! – Aurelia rzuca się mężowi w ramiona.

Rozmawiają ze sobą łamanym polskim i angielskim.

– Liczyłem się z tym, ale chciałem ci pokazać nasz strój narodowy. – Tabit z dumą prezentuje śnieżnobiałą diszdaszę.

– Ale ja nigdy wcześniej nie widziałam cię w czymś takim i cię nie poznałam! Poza tym jesteś bardzo opalony.

– Wybiegłem po was prosto z pracy, a na co dzień nosimy tu diszdasze. Chodźcie, zabieram was do domu.

W 1979 roku Oman przypomina wielki tuman kurzu. Od czasu, kiedy zaczął rządzić sułtan Kabus, gdzie się nie spojrzy, tam jest plac budowy. A gdzie budowa, tam i kurz. Buduje się wszystko – drogi, szkoły, szpitale,

domy, ministerstwa i meczety. Od dziewięciu lat nowy sułtan z rozmachem zmienia oblicze swojego kraju.

Przed 1970 rokiem Oman był w ruinie. Aurelia dobrze pamięta opowieści Tabita. W Maskacie obowiązywała godzina policyjna. Nie wolno było podróżować po kraju, a nawet wychodzić z domu po zachodzie słońca. W sklepach brakowało wszystkiego, a ludzie żywili się daktylami i mlekiem wielbłąda. W całym państwie były dwie małe szkoły podstawowe. Palenie papierosów na ulicy czy gra na instrumentach były zakazane. Dlatego Tabit wyjechał z kraju. Kiedy jednak sułtan Kabus obalił swojego ojca i wysłał go na emigrację do Wielkiej Brytanii, wszystko się zmieniło. Aurelia i Tabit postanowili więc spróbować życia w Omanie znajdującym się pod rządami postępowego władcy.

Aurelia patrzy przez okno samochodu. Piach, kurz, skały, kamienie i kolejne place budowy. Gdzieś widać pustynne drzewka, które pod warstwą kurzu kryją odrobinę zieleni. Na klepiskach pomiędzy ulicami przemykają mężczyźni ubrani w sukienki narzucone na luźne spodnie. Aurelii wszystko wydaje się egzotyczne.

– To robotnicy z Pakistanu – tłumaczy Tabit. – Omańcy chodzą w diszdaszach, takich jak moja.

Po godzinie dojeżdżają do Ruwi. To nowo powstała enklawa położona na północ od Matrah, dawnej stolicy Omanu i zarazem jednej z siedzib sułtana. Bloki wybudował rząd i przeznaczył je dla potrzebnych Omanowi specjalistów. Mijają meczet imienia sułtana Kabusa, zwieńczony dużą zieloną kopułą, i podjeżdżają pod nowoczesne osiedle. Zamiast suchego klepiska Aurelia widzi czyste chodniki i zasadzone wokół drzewka. Apartament jest przestronny i nowoczesnie wyposażony. Jest w nim duży kolorowy telewizor Philipsa, odtwarzacz wideo, ogromna lodówka, komplet mebli dziecięcych i wypoczynkowych. Dziewczynki piszczą radośnie, odkrywając nowe miejsce.

– To dla was – mówi Tabit. – Sułtan docenia wykształconych Omańczyków, którzy decydują się służyć ojczyźnie. Jak widzisz, Oman się buduje, więc ja jako architekt po Politechnice Warszawskiej jestem tu potrzebny i dlatego sułtan sporo nam zapewnia. Nie martw się, zrobię wszystko, byśmy tu byli szczęśliwi.

Poznając okolicę, Aurelia widzi na ulicach kobiety w kolorowych dżalabijach, spośród których część ma odkryte włosy. Kobiety najczęściej wysiadują na matach przed domami, dziergają czapeczki dla mężów

i synów i głośno rozmawiają. Któregoś dnia proszą, by Aurelia się do nich przysiadła. Są ciekawe egzotycznych żon Omańczyków, którzy zjeżdżają się do kraju z różnych stron świata. Podpytują o pogodę w Polsce, o nowo wybranego papieża Polaka. Komplementują delikatną słowiańską urodę Aurelii, uczą tutejszych zwyczajów. Na przykład tego, że z mężczyznami nie rozmawia się o kobietach, a z kobietami o mężczyznach. Można za to swobodnie pytać każdego, jak się czuje, jak zdrowie, jak dzieci i co ogólnie słyszą. Poznając bliżej Omańczyków, Aurelia odkrywa, że w tutejszych rodzinach domowe obowiązki należą do chłopców. Córki traktowane są ulgowo, jak księżniczki. I tak też się zachowują. Tego się nie spodziewała.

W sklepach Polka odkrywa międzynarodowe zaopatrzenie. Można tu dostać polską szynkę eksportową, czekolady i owoce cytrusowe. Są luksusowe produkty sprowadzane z Europy, kosmetyki i ubrania. Sąsiedzi Aurelii to Brytyjczycy, Egipcjanie i Irakijczycy. Jest też kilka kobiet z Europy Wschodniej, które podobnie jak Aurelia wyszły za mąż za Omańczyków. Są Rosjanki, Bułgarki oraz Bożena, która tak jak Aurelia przyleciała tu z Polski wraz z dziećmi. Aurelia spędza czas na wychowywaniu córek, spotkaniach ze znajomymi męża oraz z Bożeną i jej rodziną. Czasem widują się z członkami rodziny królewskiej. Popijają z nimi kawę, zajadają daktyle i rozmawiają jak równy z równym. Nikt jej nie ocenia, nie krytykuje. Ludzie są gościnni i otwarci.

Kilka rzeczy szokuje Aurelię. Między innymi to, że w omańskich domach posiłek podawany jest na podłodze, na jednym wielkim talerzu, z którego każdy ręką wybiera jedzenie. Albo to, że Omańczycy nie leczą dzieci do piątego roku życia, wierząc, że jak przeżyją, to będą silne i zdrowe. Wszystko inne zostaje w rękach Boga.

Tabit dotrzymuje obietnicy. Jest mężem, ojcem, opiekunem i przewodnikiem po nowym kraju. W domu zatrudnia pomocnika zwanego w Omanie służącym, który w dni robocze sprząta i gotuje. W weekendy Tabit zrywa się rano na targ po świeże ryby, by przygotować z nich obiad dla swoich trzech kobiet. Dziewczynki cieszą się słońcem i plażą, a Aurelia czuje się tak, jakby żyła w bajce.



Za oknem szumią liście palm i słychać rześisty deszcz. To burza, która rzadko przychodzi nad Maskat. Pioruny biją jeden za drugim, rozświetlając okolicę. Jest już ciemno. Aurelia nie lubi burzy, uważa, że jest w niej coś upiornego. Ale dziś Aurelia jest spokojna. Przy jej łóżku cicho siada Tabit. Bierze ją za rękę i czule się do niej uśmiecha. Aurelia wyraźnie widzi jego duże, mądre oczy. Tabit nachyla się i szepce:

– Reluczku moja, ja już umieram.

Aurelia budzi się i zamiast męża przy łóżku widzi twarz przyjaciółki.

Rano, kilkanaście godzin wcześniej, nad Maskatem pojawiają się pierwsze chmury. Z początku są to niewinne białe obłoczki. Widok jasnych chmur należy do rzadkości w mieście, w którym deszcz pada kilka razy w roku. Tabit umawia się z kolegami na ryby. Aurelia ma niedobre przeczucia.

– Poczekajcie, aż zmieni się pogoda – radzi. – Na dzisiaj zapowiadali deszcz. Lepiej, żebyście najpierw odnowili łódkę, i kupili co trzeba. Nie macie ani kamizelek, ani czepaków do wody.

– Reluczku moja, umówiliśmy się już z Talibem i Salimem, chcemy wypróbować nową łódkę – tłumaczy Tabit. – To zajmie tylko kilka godzin, a wieczorem pójdziemy z dziewczynkami na kolację.

Aurelia wie, że decyzja już zapadła i nie ma co dyskutować. Spędzi ten dzień z córkami, wieczorem zaś wszyscy razem wybiorą się na kolację do przyjaciół.

Mężczyźni już mają wypłynąć w morze, kiedy coś zaczyna się dziać z silnikiem. W końcu udaje się go naprawić. Tabit, Salim oraz Talib, który jest mężem Bożeny, wypływają z małego portu położonego niedaleko pałacu sułtana w Matrah. Pogoda jest stabilna, nic nie wskazuje na to, by miała się załamać. Wszyscy trzej wiedzą jednak, że z początkiem lutego aura bywa kapryśna, dlatego gdy zauważają nadciągające ciemne chmury, szybko decydują się na powrót. Silnik jednak nie odpala. Próbują uruchomić go kilka razy, nic z tego. Fala robi się coraz wyższa, wiatr silniejszy, a w łódce przybywa wody. Zdają sobie sprawę, że jeśli zostaną w łodzi, to fale roztrzaskają ich o skały. Postanawiają dotrzeć wpław do małej skalnej wysepki. To niebezpieczne, ale nie mają wyjścia. Podwodne skały, których wokół jest pełno, mają kształt kapeluszy. Jeśli ktoś się pod nie dostanie, to może nie wydostać się na powierzchnię. Pierwszy skacze Tabit. Pozostali czekają, aż dopłynie. Po kilku minutach Talib dostrzega Tabita na skale.

– Dopłynął, udało mu się! – krzyczy do Salima.

Teraz skacze do wody Talib, zaraz za nim podąża Salim.

– Tabit, Salim, jesteście? – woła Talib, gdy tylko dopływa do wysepki.

– Jestem – mówi Salim, ale Tabit milczy.

– Taaabit! – krzyczą razem. – Gdzie jesteś?

Odpowiada im cisza. Obchodzą każdy kąt wyspy. Nie znajdują nikogo.

Ostry dźwięk telefonu przerywa ciszę. Aurelia, zmęczona czekaniem i wybudzona z twardego snu, zrywa się odebrać połączenie. Może to być tylko zły sen? – myśli. Może to Tabit dzwoni uprzedzić, że spóźni się na kolację?

– Halo? – drżącym głosem mówi do słuchawki.

– Aurelia? – pyta damski głos.

– Tak?

– Tu Bożena. Taliba i Salima znaleziono na jednej z wysepek w pobliżu wybrzeża. Tabita z nimi nie ma. Szukają go.

Aurelia odkłada słuchawkę, znając już finał tej historii. Trzy dni później telefon dzwoni ponownie. Odnaleziono Tabita.

Materiał, którym przykryte jest ciało, ma biały kolor. Aurelia zwleka z odkryciem zwłok, jakby się łudziła, że dopóki ich nie zobaczy, wciąż będzie szansa, że mąż żyje. Po chwili kiwa głową, jest gotowa. Ciało Tabita jest opuchnięte, sine i poobijane. Aurelia mdleje. Ma trzydzieści dwa lata, dwie ośmioletnie córki i właśnie została wdową w obcym, islamskim kraju.



W islamie ogień jest symbolem szatana. Dlatego muzułmanie nie spopielają zwłok. Kiedy umiera mężczyzna, jego ciałem zajmują się mężczyźni. Ciało Tabita zostaje dokładnie umyte, namaszczone olejkami i okadzone bahkurem. To kadzidło z drobnych kawałów drzewa agarowego nasączone ambłą, piżmem i żywicą z drzewa sandałowego. Mówi się, że bahkur odpędza złe moce, odświeża powietrze i skłania do duchowych wędrówek. Po umyciu ciała mężczyźni zatykają watą siedem jego naturalnych otworów, zawijają zwłoki w biały płócienny całun i składają do ziemi. Bez trumny, głową w stronę Mekki. Układają zmarłego na prawym boku. Wygląda trochę, jakby spał. Ciało umieszczają w ziemi na tyle głęboko, by

nie odkopały go zwierzęta. Przysypawszy zwłoki, po stronie głowy kładą kamień. W tym czasie kobiety modlą się i przygotowują przyjęcie żałobne. Do domu Aurelii przynoszą tradycyjne arabskie potrawy. Kozinę z ryżem, ryby i pieczone kurczaki. Pocieszają, modlą się i czytają Koran.

Ceremonia pogrzebowa trwa trzy dni. Według islamu trzeciego dnia dusza zmarłego opuszcza ciało i idzie do nieba. Po śmierci męża wdowa powinna zostać w domu przez cztery miesiące i dziesięć dni. Jeśli jest w ciąży, będzie wiadomo, że to dziecko zmarłego męża. W tym czasie nie musi ubierać się na czarno, ale kolory ubrań powinny być stonowane. Nie może nosić niczego białego, ponieważ biel symbolizuje niewinność, ani czerwonego, bo ta barwa oznacza radość. Nie używa też perfum. Podczas żałoby ludzie przynoszą wdowie jedzenie.

Kiedy po czterech miesiącach i dziesięciu dniach od śmierci męża Aurelia pierwszy raz wychodzi z domu na zakupy, dociera do niej, że została sama.



Z Aurelią spotykam się w jej domu, który mieści się w dzielnicy Al-Ghubra, niemal w centrum Maskatu. W tutejszych zadbanych rezydencjach mieszkają zarówno omańskie rodziny, jak i obcokrajowcy. Jest dziesiąta rano. Aurelia otwiera wielką metalową bramę i prowadzi mnie przez ukwiecone podwórko do drewnianych drzwi. Ze środka wydobywa się przyjemny chłód i zapach kadzidła. Dom w środku przypomina elegancką europejską willę. Gdyby nie kilka szczegółów, jak drewniane, rzeźbione omańskie drzwi, arabski dywanik na podłodze czy muszle z Zatoki Omańskiej wyłożone na półce w łazience, można by pomyśleć, że jest się na Starym Kontynencie. Aurelia szykuje śniadanie – kolorowe minikanapeczki i truskawki ze śmietaną.

Siadamy przy stole, gospodyni stawia na nim jedzenie oraz dzbanek z kawą i małe filiżanki. Ubrana jest w jasne spodnie i bluzkę na ramiączkach, ma delikatny makijaż i starannie uczesane blond włosy. Jest początek stycznia, obok nas stoi sztuczna choinka.

– Spójrz na te gwiazdeczki. – Aurelia wskazuje wzrokiem na choinkę. – Kupił je mój mąż w tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym dziewiątym roku na naszą pierwszą Wigilię w Omanie. Doskonale pamiętam te święta.

Smuciłam się, że jestem tak daleko od Polski. Na tydzień przed Wigilią Tabit zaczął znosić do domu ozdoby choinkowe, a któregoś dnia pojawił się na progu z choinką. Sztuczną, ale ja ze szczęścia się rozplakałam. Miałam wrażenie, że ta choinka pachnie lasem. Do dziś mam kilka ozdób, które wtedy na niej wisały. Te gwiazdeczki, koraliki, dzwonki, widzisz? Trzymam je do dziś. Mój mąż szanował moje tradycje, a ja szanowałam jego. Lubił nasze polskie święta. Dlatego odtworzył je dla mnie w Omanie.

Znajdujemy się w gustownie urządzonym, przestronnym salonie. Na stole stoi bukiet świeżo ściętych kwiatów. To rzadkość w Omanie, bo kwiaty to prawdziwy rarytas. W Maskacie jest kilka kwiaciarni, ale ich asortyment sprowadza się samolotami z Europy, co nie pozostaje bez wpływu na cenę. Z odbiornika dobiega głównie muzyka pop, nadawana przez popularną anglojęzyczną stację. Dino, młody pekińczyk, który najwyraźniej lubi gości, z radością nadstawia się do pieśczoł. Z daleka obserwuje nas kot. Aurelia podnosi się po kolejną kawę i po ciasteczka z daktyli, a potem siada w wygodnym fotelu. Wlewa napój do eleganckich filiżanek. Po pokoju rozchodzi się przyjemny aromat.

– Widzisz te zdjęcia? – Gospodyni wskazuje na fotografie ustawione na małym stoliku w rogu salonu.

Na zdjęciu są dwie dziewczynki, bliźniaczki Magda i Zahra, córki Aurelii i Tabita. Zdjęcie zrobiono w 1979 roku w zakładzie fotograficznym w Częstochowie, chwilę przed przeprowadzką do Omanu. Dziewczynki stoją na nim jedna obok drugiej, we włosy wplecione mają białe kokardki. Są ubrane w ciemne marynarki, spódniczki, białe rajstopy i czarne buty.

– Mają tu po sześć lat – tłumaczy Aurelia. – A tu ja, zobacz.

Aurelia na zdjęciu ma nieco ponad dwadzieścia lat. Wygląda pięknie, ma typową słowiańską urodę. Długie jasne włosy delikatnie opadają jej na ramiona. Lekko się uśmiecha.

– Moja sprawa była tutaj bardzo głośna. Nazywano mnie nawet żelazną damą. To był jeden z pierwszych przypadków, gdy Europejka została wdową po Omańczyku.

Zza okna dobiega nawoływanie do modlitwy południowej. Przez chwilę wsłuchujemy się w dźwięczny głos dochodzący z meczetu. Allahu Akbar słychać w całym domu.

– Po śmierci Tabita natychmiast pojawił się tu jego brat. Przyleciał z Tanzanii po mnie i po dziewczynki. Chciał zabrać nas do siebie. Zgodnie z muzułmańskim zwyczajem kobieta musi mieć męskiego opiekuna.

Gdybym miała syna, to on sprawowałby nad nami opiekę, nawet gdyby był niepełnoletni. A w tej sytuacji miał się nami zaopiekować brat Tabita. Ja jednak nie potrzebowałam opieki, nie chciałam wyprowadzać się do Tanzanii. Pomogli mi nasi omańscy przyjaciele. Tabit był tu szanowany i w związku z tym ja też. Omańscy wiedzieli, że można powierzyć mi dzieci, które, według islamskiego prawa, po ojcu muzułmaninie też są muzułmanami. Ale brat męża robił wszystko, by uprzykrzyć mi życie. Przynależałam sobie wtedy, że nikt nie zabierze mi dziewczynek. Pamiętam, że przyjeżdżał tu wiele razy bez mojej wiedzy. Przyjaciele męża ostrzegali mnie wtedy: „Aurelio, on znowu jedzie, już jest w samolocie, w drodze do Omanu”. To byli ludzie na stanowiskach, wiedzieli wszystko. I to oni dali mi oparcie i siłę. Pamiętam jak dziś rozprawę, od której zależał mój dalszy los. Sędzia powiedział tak: „Nam nie przeszkadza, że ona jest chrześcijanką, bo oznajmiła, że zostaje w Omanie i będzie wychować dzieci w wierze muzułmańskiej”. Wtedy brat Tabita zaprotestował: „Nie, to ja powinienem je chować, a nie katoliczka”. Odparłam wówczas „Dobrze, to ja przechodzę na islam. Proszę o sprowadzenie na salę muftiego”. Po tych słowach sędzia stwierdził: „No widzisz. Czego jeszcze chcesz? Dzieci zostają z matką w Omanie, a ty wracaj do siebie”. To był najpiękniejszy dzień mojego życia po śmierci męża. Bratu Tabita i jego matce oczywiście należał się spadek. Zgodnie z prawem islamskim musiałam im oddać ich część. Mogłam sobie pozostawić jedną trzecią naszego majątku. Tak mówi prawo szariatu. Gdybym miała syna, nie musiałabym niczego przekazywać bratu, tylko matce. Do momentu, kiedy moje córki uzyskały pełnoletność, brat męża formalnie sprawował pieczę nie tylko nad nimi, ale i nade mną. Dzięki wsparciu przyjaciół była to jednak formalność i dziećmi zajmowałam się sama.

– Nie przeszło ci przez myśl, by wrócić do Polski?

– Nie, tutaj był mój dom, tu czułam się bezpiecznie. Wiedziałam, że nasi przyjaciele i sąsiedzi nie dadzą mi zrobić krzywdy. Gdybym wtedy wróciła do Polski, nikt nie uwierzyłby w śmierć mojego męża. Myśleliby, że mnie wygonił. W tamtym czasie w Polsce bardzo źle postrzegano kobiety, które wiązały się z Arabami.

– Przeszłaś na islam?

– Tak, wierzę, że Bóg jest jeden. W każdej z tych religii trzeba być dobrym człowiekiem, by pójść do nieba. I takim człowiekiem staram się być. Nie zakrywam się abają, chodzę ubrana jak w Europie. Koran tego nie

zabrania. Jest tam jedynie napisane, by zakrywać miejsca intymne. Jak przyjechałam do Omanu, to kobiety nie chodziły tak pozawijane jak dziś. Ubierały się kolorowo. Niektóre nosiły luźno zawiązane chustki, inne miały odkryte głowy. Zwłaszcza w dużych miastach. To mężczyźni narzucili im taki styl ubierania, jaki teraz obowiązuje, czyli zakrycie od stóp do głów. Tak jest mężczyznom wygodniej. Wolą, by nikt poza nimi nie oglądał ich żon. Pamiętam, że kiedy przeszłam na islam, to moja fotografia ukazała się w tutejszej gazecie – śmieje się Aurelia. – Zrobili mi naprawdę piękne zdjęcie. W domu rozdzwonił się wtedy telefon. Ludzie mówili: „Mabruk, gratulacje, Lejlo”. Pytałam: „Skąd wiecie, że mam na imię Lejla?”. „Z gazety”, odpowiadali. I potem jeszcze z telewizji do mnie przyjechali. To było dla nich wielkie wydarzenie. Muzułmanie bardzo się cieszą, gdy innowierca przyjmuje islam.

– A dlaczego Lejla?

– Przechodząc na islam, przyjmuje się nowe imię. Jak poznaliśmy się z mężem, któregoś dnia powiedział: „Do ciebie pasuje imię Lejla”. Dlatego wybrałam właśnie je. Do tej pory teściowa mojej córki Zahry nazywa mnie w ten sposób. Jednak dla większości nadal jestem Relą, to zdrobnienie od imienia Aurelia. Mówią, że to imię jest najbardziej odpowiednie dla mnie. Przed przejściem na islam rozmawiałam z muftim. Zaproponował: „Będiesz Lejlą Mahomet”. Drugie imię dostaje się tutaj po ojcu, ale innowiercy z reguły przyjmują imię proroka. Powiedziałam mu wtedy, że mój ojciec miał na imię Gabriel. A Gabriel według islamu był wysłannikiem Allaha i przewodnikiem proroka Mahometa podczas jego objawień. Mufti ucieszył się i w ten sposób zostałam Lejlą Gabriel.



Jak co roku, w listopadzie Polacy mieszkający w Omanie urządzają Święto Niepodległości. Z reguły spotykają się w którymś z domów. Każdy przynosi coś do jedzenia, jest też alkohol. W tym roku spotkanie odbywa się u Bożeny, tej samej, która wyszła za mąż za Taliba.

Bożena mieszka na peryferiach Maskatu, w Al-Amarat. Z centrum miasta prowadzą tam dwie drogi. Jedna to wygodna dwupasmówka biegnąca dookoła miasta, przez Wadi Adai oraz Wadi Amarat. Druga, nieco węższa, wiedzie serpentynami przez wysokie, skaliste góry. Warto wybrać tę drugą,

bo ze szczytu rozpościera się piękny widok na miasto i Zatokę Omańską. Białe domy i intensywnie błękitny kolor znajdującej się za nimi zatoki robią wrażenie na każdym, kto tu wjedzie.

Po drugiej stronie gór krajobraz przypomina obcą planetę. Nie ma już palm, zielonej trawy ani zadbanych parkanów przy drodze. Zaczyna się prawdziwy Oman, przykurzony i dziki. Gdzieś na tym pustkowiu wyrasta wysokie murowane ogrodzenie, a za nim parterowy dom z wieżyczką pośrodku. Al-Amarat to niewielkie miasteczko położone w sercu kamiennej pustyni. Dom Bożeny znajduje się na końcu małej uliczki. Naprzeciwko trwa budowa kolejnego domu. Robotnicy z Pakistanu mają właśnie przerwę. Rozsiadają się na starych fotelach i kanapach ustawionych w sąsiedztwie ulicy. Odpoczywają w cieniu i gapią się, kto przyjechał do sąsiadów. Kuta żelazna brama prowadząca do domu Bożeny szczelnie zasłania to, co znajduje się za nią. Kto przekroczy jej próg, trafi do innego świata. Posiadłość Bożeny to oaza zieleni. Asparagusy, hibiskusy, kaktusy, oleandry, palmy daktylowe i bugenwille wdzierają się na podwórze z każdej strony. Jest też drzewo pomarańczowe i róża pustyni. Ten ogród pośród piachu i kamieni jest dumą gospodyni.

Wnętrze domu jest mieszaniną Polski, Omanu i Zanzibaru, z którego pochodził Talib. W gablotach za szkłem stoją zwożone tu przez lata polskie kryształły, obok nich są drewniane figurki zanzibarskich kobiet uchwyconych przy pracy w polu. Na ścianach wiszą wersety Koranu mówiące o pokoju i miłości bliźniego. Na zewnątrz, w ogrodzie, ganiają dzieciaki, przy plastikowych stolikach ustawionych przed domem siedzą w grupkach dorośli. Jest ciepło i przyjemnie. Niektórzy śpiewają polskie pieśni patriotyczne przy akompaniamencie gitary i akordeonu.

Przy stoliku w rogu ogrodu usadowiła się grupa kobiet i żywiołowo o czymś dyskutuje. Wśród nich zauważam Aurelię, kilka znajomych Polek i dwie Omanki. Jedna z nich ma ciemną skórę i burzę kruczoczarnych włosów. Siedzi w obcisłej, króciutkiej sukience. To Zeina. Ma nieco ponad czterdzieści lat i emanuje energią oraz seksapilem. Tutejsi Polacy ją znają, bo po rozwodzie z omańskim mężem związała się z naszym rodakiem. Przysiadam się do stolika i przysłuchuję rozmowie.

– Jak widzisz przyszłość swojej córki? – pyta Zeinę jedna z kobiet. – Pozwolisz jej chodzić na randki, zanim wyjdzie za mąż?

– Najpierw niech skończy studia, potem może wychodzić za mąż. Ale randki są wykluczone.

– Oj, Zeino, przecież trudno czekać aż tyle lat.

– Ale my tu, w Omanie, czekamy. Ja też czekałam. Jak wychodziłam za mąż, to byłam dziewicą – odpowiada Zeina.

– A w jakim wieku brałaś ślub?

– Miałam dziewiętnaście lat. Widzisz, my wychowujemy dzieci zgodnie z nakazami naszej religii i uczymy je, że czystość do ślubu to podstawa – mówi Zeina. – Niezależnie od tego, co sama robię, nie chcę, żeby moja córka przeciwstawiała się obowiązującym nakazom. Nie chcę, by miała takie problemy jak ja. Moja rodzina nie zna Jana. Nie zabieram go na spotkania rodzinne, bo nie wypada. Oni wiedzą, że się z kimś spotykam, ale nie poruszamy tego tematu. Moja mama nigdy by nie zaakceptowała chrześcijanina.

– Moi rodzice też nie potrafili zaakceptować mojego wyboru – wtrąca Aurelia. – Uprzedzenia są z każdej strony. Wydaje mi się, że ludzie po prostu boją się nieznanego. Stereotypy są silnie zakorzenione i w nas, Polakach, i w Arabach.

– Masz rację – potakuje Zeina – ale u nas chodzi jeszcze o religię. Muzułmanka nie może spotykać się z mężczyzną bez ślubu, a ślub może wziąć tylko z muzulmaninem. Jan nie myśli o zmianie wiary, dlatego musimy się ukrywać. Na szczęście jestem już niezależna finansowo, więc sama wybieram, jak chcę żyć. Ale moja córka, chcąc mieć rodzinę i dzieci tu, w Omanie, musi prowadzić się zgodnie z tutejszymi zasadami. Najpierw musi skończyć studia. Teraz za mąż wychodzi się później. Kiedyś szybko się brało ślub i szybko rozwodziło. Ale jeśli bardzo będzie chciała wyjść za mąż, to jej pozwolę. Bo lepiej wyjść za mąż, niż zrobić jakąś głupotę przed ślubem. Jest wiele dziewczyn, które uciekają z domu i żyją w grzechu, nie chciałabym, żeby posunęła się do czegoś takiego.

– No jasne – wtrąca Aurelia – lepiej wyjść za mąż i potem się rozwieść, a później znowu wyjść za mąż. To jest tu hałal, to jest dozwolone.

– *Ajła*, tak – potwierdza Zeina. – W islamie można rozwodzić się do woli. My nie przyrzekamy, że będziemy ze sobą aż do śmierci. Bóg daje nam możliwość rozstania. Dlatego podejście chrześcijan, którzy składają obietnicę przed swoim Bogiem, że zostaną z kimś do końca życia, jest dla nas niepojęte. Arab nie wie, co wydarzy się jutro, nie mówiąc już o tym, co stanie się za kilkadziesiąt lat. Może mój mąż nie będzie o mnie dbał albo będzie mnie bił? Po co więc obiecywać sobie coś, czego nie jest się pewnym?

– W Europie panuje przekonanie, że tutejsze małżeństwa są nieszczęśliwe albo kończą się rozwodem, ponieważ zostały zaaranżowane – tłumaczy Aurelia. – Wcale tak nie jest.

– Ja sama już zeswatałam kilka par – chwali się Zeina. – Nie tak dawno przyszedł do mnie znajomy pilot i mówi, że chciałby znaleźć żonę. Ma prawie czterdziestkę, jest przystojny, ma świetną pracę i zarobki. Zapytał, czy znam odpowiednią kandydatkę. Pytam go więc: „Kogo szukasz?”, „W jakim ma być wieku?”, „Jaki kolor skóry?”, bo oni wszyscy mają tu obsesję na punkcie jasnej karnacji. Jakie wykształcenie, figura i tak dalej? Powiedział, że powinna mieć do trzydziestu pięciu lat i żeby była z dobrej rodziny, mądra i ładna. Kolor skóry nie gra roli. Od razu pomyślałam o swojej siostrzenicy. Ładna, szczupła, z wyższym wykształceniem, trzydziestotrzylatka. Zadzwoiłam do córki, żeby zabrała ją na kawę do knajpki przy operze na piątą po południu. Zgodziła się. Oczywiście o niczym nie wiedziała. Mój znajomy miał się tam pojawić przypadkowo i miałam go zaprosić do stolika. Tak się też stało. Siedziałyśmy we trzy i on do nas podszedł. Udałam, że jestem zdziwiona, i poprosiłam, żeby się do nas przysiadł. We trzy możemy siedzieć z mężczyzną, ale nigdy sam na sam. Potem poprosiłam siostrzenicę, żeby przyniosła mi coś z pobliskiego sklepu. Wtedy on zobaczył, jak się porusza i jaką ma figurę. Szczegóły opisałam mu później, bo przecież ona była w abai. Przypadła mu do gustu. Po kilku dniach zadzwoniłam do niej i zapytałam, czy spodobał się jej mój kolega. Odparła, że tak, więc opowiedziałam jej o całym spisku. Potem zaczęli ze sobą czatować, a niedługo idę na ich ślub. Tak to się właśnie załatwia w Omanie.

– A co robicie, by mąż nie wziął sobie kolejnej żony? – pyta jedna z Polek.

– Żeby Arab cię nie zostawił, musisz być ładna, zadbana i dobra w łóżku – orzeka Zeina z miną znawczyni. – Ale to nie wszystko. Jeśli zapraszasz do domu koleżanki, pamiętaj, by nie miały kontaktu z twoim mężem. Po co kusić los? Nigdy też nie przedstawiaj ich mężowi, bo a nuż któraś mu się spodoba i będzie chciał się z nią ożenić. Pamiętaj, żeby codziennie zaspokajać go seksualnie. W ten sposób dbasz o swoją pozycję w małżeństwie. Jeśli twój mąż ma jedną żonę i myśli, że ona potrzebuje seksu codziennie, to zastanawia się, jak udałoby mu się zaspokoić kolejne żony, gdyby je miał. Dlatego trzeba go męczyć w łóżku. Kolejny sposób to splekiwać jego konto. To najprostsza i najprzyjemniejsza metoda. Należy

trzymać rękę na pulsie. Gdy tylko pojawi się gotówka, to kupować, kupować i kupować. Nowy dom, samochód, biżuterię, ciuchy, wakacyjny wyjazd. Cokolwiek, byle konto było wyzerowane. Jeśli mąż nie będzie miał pieniędzy, nie będzie go stać na drugą żonę. Przecież zgodnie z Koranem druga powinna otrzymać to samo, co pierwsza. Zresztą trzecia i czwarta też. Małżeństwo to drogi biznes – śmieje się Zeina. – Arabki bardzo o siebie dbają. Nic innego nie mają do roboty. Obowiązki domowe przejmuje służąca. Ona ma posprzątać, poprasować, zaopiekować się dziećmi. Pani musi być wypoczęta, piękna i pachnąca, jak mąż wróci z pracy. I gotowa na seks. Wiele Arabek po porodach robi sobie operacje plastyczne, również tam, na dole. Zwężają sobie pochwy, żeby zachować atrakcyjność. Upiększają sobie miejsca intymne, uczą się technik seksualnych, żeby zadowolić męża. A wszystko po to, żeby on nie wziął sobie drugiej żony. Dla nas to jest walka o przetrwanie. Dlatego ta, która potrafiła utrzymać przy sobie męża i sprawić, by nie wziął drugiej żony, jest tutaj bohaterką.

– Z jednej strony Arabki są bardzo wyuzdane, a z drugiej, jak czytasz to, co prorok mówi na temat seksu, to czujesz, jakbyś była w świecie wyjątkowej cnotliwości – wtrąca druga z Omanek.

– A co mówi prorok? – pytam.

– Prorok mówi mężczyźnie: jeśli chcesz mieć dziecko, to zgaś światło, nie patrz na żonę i na jej narządy. Trzy razy zawołaj, by szatan odszedł. Wtedy dziecko nie będzie miało chorób psychicznych. Nie wolno uprawiać seksu analnego ani oralnego, choć poszczególne szkoły podchodzą do tych spraw w odmienny sposób. Szyici, w przeciwieństwie do ibadytów i sunnitów, mogą na przykład uprawiać seks ze wszystkimi czterema żonami naraz, ale tylko jeśli one tego zechcą. Kobiety nie mogą patrzeć na wdzięki innej żony. Nie mogą patrzeć na jej genitalia, ale na biust tak. Mówi się, że spośród wszystkich muzułmanów najlepsi w łóżku są szyici. U nich wszystko wolno, nic nie jest grzechem. Człowiek ma być seksualnie usatysfakcjonowany. Musi też dobrze zjeść.

Przy stoliku siedzi również Marta. W Omanie mieszka od kilku miesięcy. Jest nauczycielką języka angielskiego. Popijajmy soki, wodę, wino, zagryzamy je polską sałatką warzywną z majonezem i indyjskimi samosami. Marta po kieliszku wina przyznaje, że chciałaby wyjść za mąż za Omańczyka. Zeina od razu podchwytuje temat.

– To jaki on ma być? Wysoki, niski? Biały, czarny? Czy może mieć już jedną żonę? Czy może być rozwiedziony? Jakie ma mieć zarobki? Jaki

dom?

Marta robi wielkie oczy. Nie jest gotowa na rozważanie tak szczegółowych kwestii.

– Tak, tak, tutaj męża wybiera się jak towar w hipermarkecie. Musisz wiedzieć, czego szukasz, w którym dziale i na której półce – tłumaczy Omanka.

Kobiety przekonują Martę, że to bardzo ważne, żeby wiedzieć, ile zarabia mężczyzna i czy potrafi ciężko pracować.

– Tutaj takie pytania nie są niczym niewłaściwym. Przecież kobieta ma ze swoim mężem spędzić wiele lat. Lepiej dobrze wszystko posprawdzać, niż potem żałować – radzi Aurelia.

– Nie martw się, Europejka nie musi być dziewicą – wtrąca Zeina. – Ale też Europejka jest dla Omańczyków tańsza. Nie muszą płacić jej wysokiego posagu. Europejka nie ma tylu wymagań co Arabka. Arabki są sprytne, a Europejki głupie, bo nie zabezpieczają się odpowiednio w kontrakcie. A nie chcesz przypadkiem Egipcjanina albo Libańczyka?

– Nie, tylko Omańczyka.

– A co ci się podoba w Omańczykach? – pyta Zeina.

– Omańczycy nie zachowują się arogancko, są mili i bardzo uczynni.

– Ależ oni są kłamczuchami! – wtrąca Aurelia.

– Wszyscy faceci są kłamczuchami – stwierdza Zeina.

– Albo po prostu przemilczają prawdę – dodaje Marta. – Umawiałam się tu z kilkoma mężczyznami, ale przy którymś z kolejnych spotkaniu okazywało się na przykład, że oni mają żonę i piątkę dzieci, co nie przeszkadzało im spotykać się ze mną! I taki jeden czy drugi umawia się ze mną przez miesiąc i zawsze ma dla mnie czas, rano, wieczorem, w nocy. Nie zachowuje się jak ojciec i mąż, zachowuje się jak singiel. Wychodzi z domu, kiedy chce, wraca, kiedy chce. Nie idzie do siebie na noc. I co on mówi takiej żonie?

– Nic nie mówi. Wychodzi z domu i tyle – tłumaczy Aurelia. – Żona może mu gderać, a on na to: „Cicho bądź, bo rozwiodę się z tobą”. I co wtedy? Ano nic. Kobieta siedzi spokojnie, bo nie chce rozwodu. Nawet zgodzi się na drugą czy trzecią żonę, bo nie chce zostać sama. Oni tu mają zupełnie inne poczucie przyzwoitości niż mężczyźni z Europy – kontynuuje Aurelia. – Poszukują okazji. Ale kobiety też często szukają okazji i zachowują się prowokacyjnie. Mężatki omańskie zaczepiają wielu mężczyzn. Jeśli są nieszczęśliwe w domu, to poszukują przygód. Mam

jedną przyjaciółkę Omankę, jest już dwukrotnie rozwiedziona. Świeżo po drugim rozwodzie powiedziała mi, że ma już na oku jednego pana. Minął tydzień, a ona dzwoni do mnie i mówi: „Zaproponowałam mu małżeństwo, zgodził się”. Też był rozwiedziony i się pobrali. I tak się tutaj dzieje. Żadne randki, tylko ślub. Jeśli mężczyzna myśli o kobiecie poważnie, zaoferuje jej ślub, a nie randkę.

– Musisz wiedzieć, że Omańcy, szukając żon, w pierwszej kolejności biorą pod uwagę kobiety z rodziny. Kandydatka ma być przede wszystkim grzeczna, a poza tym miła – tłumaczy druga z Omanek. – Tutejsi mężczyźni szukają kobiet płochych. Najlepiej takich, które właśnie skończyły szkołę i nie znają jeszcze życia. Takimi kobietami łatwo sterować. Można je ukształtować na swoją modłę. Stają się takie, jakimi chcą je widzieć mężowie. Nie mają własnego zdania, są posłuszne. Najpierw dochodzi do zaręczyn. Rodziny ustalają szczegóły między sobą, potem chłopak daje dziewczynie pierścionek zaręczynowy. Po zaręczynach mogą się już spotykać, na przykład wyjść do kawiarni, mogą też wysyłać do siebie esemesy, czatować. Ale kontaktów fizycznych między nimi absolutnie nie może być. Takie zaręczyny łatwo zerwać, jeśli młodym coś się w sobie nie spodoba. Znam kobiety, które zerwały zaręczyny, bo okazało się, że on pochodzi z bardzo tradycyjnej rodziny i ma pretensje, że ona na spotkaniach rodzinnych rozmawia ze swoimi kuzynami. Wtedy dobrze jest podjąć decyzję, zanim zostanie zorganizowany ślub, a on następuje zwykle niedługo po zaręczynach. Ponieważ zgodnie z naszą religią nie można współżyć bez ślubu, to wszyscy te śluby biorą.

– Musicie wiedzieć, że mężczyźni w Omanie mają tak wielkie ego, że owszem, opiekują się żoną i udzielają jej rad, ale nie dzielą z nią swoich problemów – dodaje Aurelia. – Oni nie szukają partnerki do dyskusji, do podejmowania wspólnych decyzji. Żona powinna być uległa, a od dyskusji są koledzy.

– Wiesz, czasem bardzo się denerwuję, słysząc, co moje koleżanki tu wygadują – wtrąca Zeina. – Niby takie nowoczesne, bogate, wykształcone, a żyją jedną nogą w średniowieczu. Cały czas usprawiedliwiają tutejszych mężczyzn. Powołują się na to, co powiedział prorok prawie tysiąc pięćset lat temu. Ale wiele z jego słów zostało przez ten czas zniekształconych. Prorok zrobił dużo dobrego dla kobiet. Dopiero całe lata po jego śmierci zaczęła się era manipulowania kobietami. Prorok nie mówił, że kobiety i mężczyźni muszą spędzać czas osobno, nie zakazywał im wspólnej

modlitwy. Kiedyś wszyscy modlili się w jednym meczecie, ale kobiety stawały bliżej wyjścia na wypadek, gdyby dzieciaki chciały pobawić się przed meczetem. A dzisiaj mężczyźni twierdzą, że kobieta ich podnieca, że musi być osobno, bo inaczej nie będą mogli się skupić na modlitwie. W Koranie na przykład nigdzie nie jest napisane, że jeśli żona nie da ci dzieci, to możesz sobie wziąć kolejną. A faceci często tak się tłumaczą. Miałam kilka propozycji zostania drugą żoną. Wielu moich kolegów z pracy przychodziło do mnie i mówiło: „Ożeniłem się, bo mi kazali wziąć za żonę kuzynkę. Nie chciałem tego, nie kocham jej i ona jest beznadziejna w łóżku. A ty jesteś zupełnie inna. Ja ciebie chcę, nie tamtą. Zostań moją drugą żoną”. To jest ich sposób. A tak naprawdę chodzi im o seks. Nie mogą go mieć poza małżeństwem, więc szukają drugiej żony. Jeden powie, że potrzebuje więcej dzieci, drugi, że nie układa mu się w łóżku z pierwszą żoną, kolejny, że żona jest nieładna, inny, że intelektualnie mu nie odpowiada. Tutejsi mężczyźni, jak wpadają w kryzys, to od razu się żenią. Z przeprowadzonych tu badań wynika, że najczęściej mężczyźni bierze drugą żonę, gdy dopada ich kryzys wieku średniego.

– Jak cię poprosi o rękę, to znaczy, że cię szanuje – zwraca się do Marty Bożena. – Ale musisz wiedzieć, że Arabowie są przyzwyczajeni do tego, że oprócz żon mają jeszcze kochanki. Tak, w Omanie też się to zdarza, choć oficjalnie jest zabronione. Dawniej były to niewolnice i konkubiny. Dlatego, jak już żona urodzi im dzieci, to ich życie rozdziela się na dwa światy, ona ma swój, a on swój. Ona siedzi w domu, spotyka się z kuzynkami i siostrami. On wychodzi i prowadzi życie na zewnątrz. Kiedyś Omańcy jeździli szukać przygód za granicę, do Afryki i Azji, ale poprzywozili z tych wypraw choroby weneryczne i HIV. Żeby zapobiec epidemii, postanowiono otworzyć w Omanie tzw. pałace masażu i kontrolować stan zdrowia ich pracowników. Oczywiście tak naprawdę to były domy publiczne, ale wszystko odbywało się pod płaszczykiem zwykłego masażu. Po niedługim czasie omańskie żony podniosły raban, bo odkryły, po co tak naprawdę ich mężowie chodzą do takich przybytków. Pałace zamknięto i zakazano pracy w charakterze „masażystek”. Teraz Omańcy znowu tłumnie wyjeżdżają na wakacje do Tajlandii. I co, dalej chcesz mieć męża Omańczyka?



– Pijesz kawę z mlekiem? – pyta Aurelia.

W salonie rozchodzi się delikatny zapach *frankincense*. Aurelia szykuje kawę z kardamonem, nalewa ją do małych filiżanek.

– Czy wiesz, że najzdrowsze mleko mamy od wielbłądów? W Polsce ludzie nie zdają sobie z tego sprawy, ale Arabowie już od tysięcy lat doceniają jego walory. Dzięki niemu są w stanie przetrwać wiele dni na pustyni. Podobno mleko wielbłąda leczy bezpłodność. Może z powodu tego mleka Omańczycy mają tyle dzieciaków – śmieje się Aurelia.

Siadamy w wygodnych fotelach przy małym stoliku w rogu pomieszczenia.

– W latach osiemdziesiątych była tu jeszcze jedna Polka, która miała męża Omańczyka – kontynuuje Aurelia. – On był beduinem z pustyni Wahiba, hodował wielbłądy. Po kilku latach małżeństwa zginął w wypadku samochodowym, a ona wkrótce po jego śmierci wyjechała z Omanu. Nie chciała zostać na pustyni. Kiedy opuszczała Oman, była w ciąży. W Polsce urodziła syna, dała mu na imię Szymon. Wyobraź sobie, że po latach omańska rodzina odnalazła chłopaka w Polsce. Wujek Szymona przekazał mu należny po ojcu majątek. Młody spadkobierca dostał tu dom i własnego wielbłąda. Nauczył się arabskiego i czasem przyjeżdża do rodziny ojca. Obecnie nie ma go w Omanie, ale jego rodzina jest bardzo gościnna. Jeśli chcesz, możesz ich odwiedzić. Mieszkają w małej wiosce o nazwie Badija na skraju pustyni Wahiba.



Droga do Badii jest równa i szeroka. Po poboczu spacerują wielbłądy, pasą się na piaszczysto-kamienistym terenie. Wyszukują malutkie listki wśród ostrych gałązek pustynnych krzaków, czasem znajdują jakąś wysuszoną trawę. Niebezpiecznie jest tu podróżować po zmroku. Z daleka nie widać wielbłąda, bo jest w kolorze otoczenia. Jeśli samochód wjedzie w wielbłąda, to jego korpus znajdzie się na wysokości głowy człowieka.

Podobno wielu ludziom wielbłądy pourywały tu głowy. Na tej drodze zginął też ojciec Szymona.

Domy w okolicy Badii nie są tak okazałe jak te w stolicy Omanu, ale są solidne i tak samo jak w Maskacie, otoczone wysokim murem. Te bliżej pustyni zbudowane są na piachu, te bliżej gór – na kamieniach. Niektóre stoją przy drodze asfaltowej, a inne po prostu pośród wydm. Urządzone są w prosty sposób. Nie ma w nich wielu mebli, są tylko podstawowe, potrzebne do życia sprzęty. Łóżka, szafy, dywany, duże lodówki i zawieszane na ścianach obrazy z cytatami ze świętej księgi. Ludzie tu wierzą, że dobrze mieć przy sobie słowa Koranu. Takie słowa chronią dom przed złem, a ich głośna recytacja uspokaja i podoba się Bogu. W domach nie ma stołów i krzeseł, jada się na podłodze. W madżlisie, obok trzech ścian, są za to wygodne siedziska. W domach są też telewizory. Duże, nowoczesne, plazmowe, z których ciągną się po ścianie poplątane kable.

Do Badii wiozę ze sobą prawie całą rodzinę – syna, męża i moich rodziców, którzy właśnie odwiedzili nas w Omanie. To nawet lepiej, niż gdybym wybrała się sama, bo tutaj tak właśnie powinno się jeździć w odwiedziny. Całą rodziną.

Dom Raszida, kuzyna Szymona, położony jest na piaskach z dala od drogi, pomiędzy Badiją a Al-Kamil. Obok bramy, pod rozłożystym pustynnym drzewem stoi nowy nissan patrol. Dla tutejszego mężczyzny samochód jest ważniejszy niż dom. Musi być ładny, szybki i drogi. Ten właśnie taki jest. Raszida stać na dobry samochód. Jest inteligentnym, wykształconym w Wielkiej Brytanii człowiekiem. Pomimo młodego wieku ma w sobie życiową mądrość, odpowiedzialność, łagodność i serdeczność. Jego imię znaczy po arabsku „dojrzały” i doskonale do niego pasuje. Na wszystko zapracował sam. Był jednym z lepszych uczniów w szkole i właśnie dlatego dostał stypendium rządowe na studia za granicą. Dzisiaj jest ekonomistą, pracuje w Państwowym Funduszu Rezerw Narodowych. Zajmuje się wyszukiwaniem przedsięwzięć, w które można zainwestować pieniądze rządu pochodzące ze sprzedaży ropy i gazu. Raszid dużo podróżuje, ale weekendy spędza w rodzinnym domu w Badii, bo rodzina jest najważniejsza.

Raszid i jego dwaj bracia prowadzą nas do madżlisu. Na środku leży duży perski dywan, a przy ścianach znajdują się siedziska.

– Siarum Siahbar, jakieś wieści, co słyhać? – pytają.

Zanim siądzie się do obiadu, dobrze jest wymienić się informacjami. Co u kogo słycać? Kto się ożenił, kto urodził, kto zmarł? Najpierw pyta jedna strona, potem druga. W ten sposób zamyka się informacyjny krąg. To stary zwyczaj. Kiedyś ludzie nie mieli innego sposobu, by się czegoś dowiedzieć, niż przekazywanie sobie nowin z ust do ust. W Badii zwykło się też pytać o wielbłądy i kozy, bo wiele rodzin je hoduje. Rodzina Raszida również.

Nasz gospodarz chwali się swoim dwuletnim synkiem Omarem. Imię Omar nosił jeden z islamskich bohaterów. To dobre imię dla chłopca.

– Na razie mam tylko jednego syna, ale wszędzie go pełno – mówi Raszid. – Bawi się z kozami, goni kury. Ostatnio przyszły pod dom lisy. Są dwa razy mniejsze od kota pustynnego, a mimo to zaatakowały kury. Musimy stale pilnować naszych zwierząt i Omar już nam w tym pomaga.

Żona Raszida, Tahani, jest młoda. Ma mały, zgrabny nos, duże oczy i nieśmiały uśmiech. Wita nas w intensywnie różowej dżalabii. Trzyma się na dystans i do madżlisu wchodzi tylko na chwilę. Omar kręci się blisko mamy. Tahani jest w zaawansowanej ciąży. Jeszcze nie wie, że za dwa miesiące urodzi córeczkę, której da imię Mariam.

Pytam Raszida, jak znalazł żonę.

– Optymalizacja – odpowiada, puszczając oko. – Chodzi o to, żeby dziewczyna mieszkała blisko i była z rodziny. Wtedy nie trzeba dużo jeździć. Wszystko jest na miejscu. Żonę mam więc z rodziny kuzyna. To jego córka. Z dobrej rodziny, bo z naszej – śmieje się. – U nas można się ożenić nawet z własną ciotką. To zupełnie legalne.

Raszid widuje się z żoną tylko w weekendy i dni wolne od pracy. Tak w Badii wygląda życie rodzinne. Mężczyźni pracują w stolicy, a kobiety wychowują dzieci w rodzinnych domach. Niektórzy koledzy Raszida pochodzący z prowincji mają już w stolicy drugie żony, ale jak na razie Raszid zakochany jest w swojej pięknej, młodej Tahani i z tęsknotą wyczekuje weekendów, by móc spędzić czas z nią i najbliższymi.

A czas musi podzielić równo między wszystkich. Najpierw przewidziana jest wizyta u teściów. Żona Raszida wciąż mieszka z rodzicami, gdy mąż wyjeżdża do pracy. W czwartki wieczorem, czyli tuż przed omańskim weekendem trwającym do soboty, Raszid opuszcza stolicę i jedzie do Badii. Po krótkiej kolacji u teściów zabiera Tahani i synka do domu swoich rodziców. Ale tam musi zadbać nie tylko o Tahani i Omara, ale również o matkę, braci i przede wszystkim ojca, który ostatnio podupadł na zdrowiu.

– Moglibyśmy zatrudnić pielęgniarkę, ale chcemy zajmować się nim sami, bo rodzice to dla nas największy skarb. Jesteśmy im winni opiekę, oni dali nam wszystko. Jeśli teraz się nimi nie zajmiemy, to później nasze dzieci nie będą się troszczyć o nas. Każdy uczy się na przykładzie innych. Opieka nad rodzicami to dla mnie jak służenie Bogu. Jeśli jesteś dobry dla rodziców, to jesteś bliżej Boga.

Raszid głaszcze po ramieniu ojca siedzącego na wózku inwalidzkim.

– Ile ma pan lat? – pyta mojego tatę Raszid.

– Za pół roku skończę siedemdziesiąt pięć.

– Ho, ho, czyli jest pan tylko o rok młodszy od mojego ojca, a wygląda pan na całkiem sprawnego. U was, w Europie, ludzie więcej się ruszają, chodzą, są aktywni do późnej starości. U nas jest bardzo gorąco i ludzie siedzą w domach. Jedyne, co robią, to produkują dzieci – śmieje się Raszid. – Wcześniej mieliśmy po dwanaścioro dzieci z jednej matki. Teraz to się zmieniło, często kobieta ma tylko szóstkę, czasem czwórkę, zdarza się, że siódemkę. Ale to wciąż więcej niż u was.

Brat Raszida, Ali, w ustawionej na podłodze misce myje małe kubki do kawy. Tu domownicy korzystają z tych samych kubków co goście, jedynie je po nich przepłukują. Ali studiuje w Maskacie handel. Podobnie jak Raszid w domu bywa tylko w weekendy. Nie jest jeszcze żonaty. Jak skończy studia, poszuka sobie żony pośród kuzynek z okolic Badii. Kandydatka musi być z jego plemienia, Al-Haszmi. Ali nie wyobraża sobie, żeby mogło być inaczej. Na razie skupia się na podawaniu kawy. Jest najmłodszy z rodzeństwa, więc to on służy gościom oraz starszym braciom.

– U was jest w zimie jak w lodówce, jest na minusie, prawda? – zagaduje Raszid. – Byłem w Anglii, Hiszpanii i we Francji, ale na razie zwiedziłem tylko Europę Zachodnią. Może kiedyś wybiorę się do Polski. W końcu mam tam kuzyna – śmieje się. – Zanim napijecie się kawy, musicie zjeść przynajmniej jednego daktyla. Tak jest zdrowiej dla żołądka. Zawsze tak robimy.

Daktyle smakują wybornie. Pochodzą z plantacji Raszida. I to od nich zaczyna się posiłek. Po daktylach pojawiają się ciasta. Tutaj deser jada się nie tylko po obiedzie, ale również przed nim. Przy kawie i słodyczach jest czas na dyskusje, bo obiad goście zjadają już sami.

W pewnej chwili do madżlisu wkraczają bracia Raszida, niosąc misy pełne jedzenia.

– Szukaliśmy w całym domu widelców i znaleźliśmy tylko dwa, więc część z was będzie musiała jeść łyżką – śmieje się znów Raszid. – Nie mamy za dużo sztuców, bo my jemy rękoma.

Ali rozkłada na środku podłogi ceratę i kładzie na niej talerze z potrawami. Jest wołowina, ryby, kurczak z brokułami, owoce morza, ryż i sałatki. Po rozstawieniu naczyń z posiłkiem Raszid i jego bracia dyskretnie opuszczają pokój.

– No jak to? Czy naprawdę mamy jeść sami? – pyta z troską w głosie moja mama.

Już nawet rozłożenie posiłku na podłodze nie dziwi moich rodziców tak bardzo, jak samotna biesiada, tak się jednak tutaj przyjęło. Zwyczaj ten bierze się stąd, że gość w arabskim domu powinien się czuć jak u siebie. Nic nie powinno go krępować, wtedy będzie jadł do woli. Po posiłku, jeśli ma ochotę, może się zdrzemnąć, poleżeć i odpocząć. Zwłaszcza gdy jest po długiej podróży.

Czas szybko nam mija i nagle z wczesnej pory robi się popołudnie. Przed telewizorem zasiadają z nami czterej bracia: Hamud, Ali, Omar i Raszid. Telewizor wisi wysoko na ścianie, a od niego do podłogi prowadzi gruby kabel. Odbiornik ryczy na cały regulator. Bracia siedzą na dywanie, popijają zaatar, czyli napar z liści dzikiego oregano. Rozpoczyna się wyścig. Komentator drze się z odbiornika, niemalże śpiewa: „*Jalla, jalla, szybciej, szybciej*”. Bracia również krzyczą.

– Ten z numerem czternaście to wielbłąd od nas, z Badii – przekrzykuje ich Raszid. – On wygra, zobaczysz. To finałowy bieg na osiem kilometrów.

Wyścigi wielbłądów odbywają się przez całą zimę. Sezon gonitw zaczyna się w listopadzie, a kończy w kwietniu. Potem jest już za gorąco. W Badii goszczę w styczniu. W polskiej telewizji królują biegi i skoki narciarskie. Będąc w Omanie, aż trudno sobie wyobrazić śnieg i dyscypliny zimowe. Nikt tu też się nimi nie ekscytuje. Tutaj prawdziwe emocje budzą wyścigi wielbłądów. Dobry wielbłąd to żyła złota.

– Ile macie wielbłądów? – pytam.

– Piętnaście – odpowiada Hamud. – Ale nie wszystkie są w stu procentach nasze. Większość z nich mam „na wychowaniu”. Trenuję je, żywię i potem dostaję trzydzieści procent z każdej wygranej w wyścigach. To przypomina współdziałanie dwóch firm we wspólnym celu, jest jak joint venture. – Uśmiecha się.

Na pustyni posiadanie wielbłąda traktuje się jak świetny biznes. Należy go tylko umieścić u dobrego hodowcy. Hamud jest jednym z nich. Ma pod opieką dziewięć wielbłądów wyścigowych, które należą do kuzynów. Jego własny jest jeden, ale dzieli go na pół z bratem. Opiekuje się też wielbłędami rozplodowymi. Za każdego nowo narodzonego dostaje pięćdziesiąt procent jego wartości. Wielbłądy przeznaczone do rozmnażania kosztują od 1500 riali do 5 tysięcy, czyli od 15 do 50 tysięcy złotych. Zależy, od jakich rodziców pochodzą. Tymczasem krowa kosztuje tu 200 riali, a baran albo koza około 170. Różnica jest spora. Hamud musi jednak dużo zainwestować, by wielbłądzica mogła zająć w ciążę. Najpierw szuka dla niej dobrego partnera. Bywa, że zabiera samicę w podróż do Emiratów Arabskich, gdzie czeka na nią kawaler. Potem mniej więcej przez dwanaście miesięcy musi dbać o ciężarną wielbłądzicę. Po roku poznaje efekt swoich starań, ale tak naprawdę dopiero z czasem okazuje się, czy młody wielbłąd jest obiecującym biegaczem, czy może nadaje się na zawody piękności, czy tylko do hodowli.

– Najłatwiej stwierdzić, czy wielbłąd będzie właściwym kandydatem do uczestnictwa w zawodach piękności – tłumaczy Raszid. – Widać to od razu. Nos musi być długi i opuszczony ku dołowi. Wargi również muszą być skierowane w dół. Zęby mają być zdrowe i proste. Kolor sierści też się liczy. Powinien być brązowawy z czerwonym odcieniem albo białawoszary. Nogi powinny być proste, absolutnie nie w X. Garb musi być raczej z tyłu wielbłąda niż z przodu. Ten przesunięty do przodu nie wygląda ładnie i nie jest bezpieczny dla jeźdźcy, bo jak widzisz, w Omanie mamy tylko wielbłądy jednogarbne. No i w tych zawodach możesz zarobić od dwudziestu do stu tysięcy riali. W ramach wygranej możesz też dostać samochód.

– Zakup bardzo młodego zwierzęcia wyścigowego jest obarczony dużym ryzykiem, bo trudno przewidzieć, czy zwierzę będzie szybkie. Są tacy, którzy nie boją się ryzyka i kupują wielbłąda wyścigowego, jak nie ma jeszcze roku – mówi Hamud. – Ostatnio dostaliśmy za kilkumiesięcznego wielbłąda dwanaście tysięcy riali. Kupujący podjął ryzyko, bo widział w nim potencjał, ale tak naprawdę dopiero na pierwszych zawodach okaże się, czy wielbłąd będzie wygrywał.

Hamud jest nauczycielem IT oraz matematyki w pobliskiej szkole. Trudno pogodzić mu tę pracę z hodowlą wielbłądów. Wprawdzie ma ludzi do pomocy, ale i tak musi sam dbać o kondycję zwierząt. I nigdy nie jest

pewien, czy będzie miał z tego zysk. W środowisku wszyscy wiedzą, że szczęście może przyjść nieoczekiwanie po wielu latach ciężkiej pracy. Może też nie przyjść wcale. Ale warto się starać, warto żyć marzeniami, bo każdy beduin wierzy, że kiedyś i jemu się poszczęści.

Hodowla wielbłąda to kosztowny biznes. Wielbłąd musi dobrze zjeść, a zieleni w Omanie jest jak na lekarstwo. Istnieją jednak gospodarstwa, w których uprawia się koniczynę. Hodowca wielbłądów podpisuje kontrakt na dostawę paszy z właścicielem takiego gospodarstwa. Hamud dziennie na koniczynę wydaje 10 riali. Dodatkowo wielbłądy jedzą jęczmień, który również trzeba sprowadzać. Daktyle, których jest tu dostatek, nie nadają się dla wielbłądów wyścigowych. Są ciężkostrawne, mają w sobie za dużo żelaza.

Przed wyścigami wielbłąd zjada dwa kilo koniczyny i pije dobrej jakości wodę. Dostaje też odżywkę. Dobierane są one indywidualnie przez lekarza. Medyk bada krew zwierzęcia i sprawdza, czy nie ma ono kłopotów z nerkami, analizuje poziom cukru i wtedy komponuje właściwy skład specyfiku. Suplementy dla wielbłądów potrafią być drogie. Wszystko zależy od tego, ile zarabia zwierzę. Jeśli jest zwycięzcą, to weterynarz podnosi stawkę. Czasami więc za odżywkę płaci się 3 riale, a czasami tysiąc.

Wielu marzy o tym, by wygrać główne wyścigi w Dubaju. Do zgarnięcia jest samochód Bentley wart 500 tysięcy riali omańskich, czyli około 5 milionów złotych. Do zdobycia są też lexusy czy range rovery. Nie ma zakładów, bo hazard zgodnie z Koranem jest zakazany. Ale jest za to loteria. Wysła się esemes z numerem obstawianego wielbłąda, a potem spośród wszystkich esemesów z dobrymi typami jest losowany najnowszy model Lexusa.

– My też byliśmy bardzo blisko wygranej, ale pod koniec gonitwy inny wielbłąd prześcignął naszego – mówi Hamud. – Podczas każdych zawodów istnieje też duże prawdopodobieństwo korzystnego sprzedania wielbłąda. Ostatnio po wygranych wyścigach dostałem za jednego wielbłąda 100 tysięcy riali – dodaje. Przeliczam szybko w myślach, i wychodzi, że Hamud zarobił milion złotych.

Na wyścigach roczne wielbłądy mają do przebiegnięcia półtora kilometra, dwuletnie – dwa kilometry, trzyletnie ścigają się na trzech kilometrach, a czteroletnie na pięciu. Kulminacyjnym punktem programu są wyścigi wielbłądów powyżej piątego roku życia. Podczas tego biegu

zwierzęta mają do pokonania osiem kilometrów. Przed każdymi zawodami wielbłądy intensywnie trenują, pokonując dystanse dłuższe niż na zawodach. Intensywność treningu zmniejsza się dzień przed zawodami. Redukuje się też wtedy jedzenie. Wszystko po to, by zwierzę było zrelaksowane i nieprzejedzone.

– Hodowcy są profesjonalistami, doskonale znają się na wielbłądach. Wiedzą, jak je hodować, czym karmić, czym leczyć i jakie zastrzyki podawać – tłumaczy Raszid. – Ale nie można stosować niedozwolonych środków, bo przed każdymi zawodami wielbłądom bada się krew i mocz. Wszystko przebiega tak samo jak u sportowców. Na większych zawodach badania odbywają się zwykle na dwa dni przed biegiem. Po wyścigach zwycięzca przechodzi kolejną serię badań. Na lokalnych zawodach analizy przeprowadza się tylko po biegu i jeśli okaże się, że zwierzę było na dopingu, to nagroda idzie do właściciela drugiego wielbłąda.

– No ale najgorszy jest w takim wypadku wstyd – wtrąca Hamud. – Wszyscy piszą o tobie na WhatsAppie, szybko się rozchodzi informacja, że oszukiwałeś. Za pierwsze oszustwo płaci się karę stu riali, za drugim razem trzeba zapłacić pięćset riali, za trzecim tysiąc riali i dostaje się zakaz brania udziału w zawodach na sześć miesięcy, czyli na cały sezon.

– Mieliśmy dużo afer z dopingiem – mówi Raszid. – Dosyć znana była ta, która dotyczyła wielbłąda należącego do trzech braci. Każdy z nich wystawiał zwierzę pod innym imieniem. Faszrowali wielbłąda niedozwolonymi środkami i wystawiali go pod trzema imionami, licząc na to, że im się uda. Jak zwierzę wystawione przez jednego z braci przyłapano na dopingu, to potem tego samego wielbłąda wystawiał inny brat. Udawali, że to inny wielbłąd. Kiedy odkryto oszustwo, rozpętała się afery i wtedy, żeby zapobiec takim sytuacjom, na dużych wyścigach zaczęto znaczyć wielbłądy na całe życie. Wszczepiają im mikroczipy. Dodatkowo te zwierzęta, które zostały przyłapano na dopingu, są strzyżone, więc każdy z daleka widzi, że wielbłąd był faszrowany niedozwolonymi środkami. A sierść odrasta długo, więc do końca sezonu widać to wyraźnie.

Wielbłądom nie wolno podawać wielu substancji. Na przykład zielonej herbaty, bo pobudza tak samo jak kawa. A mówi się, że daje bardzo dobre efekty. Wielbłądowi nie można też podawać miodu, bo ten produkt zwiększa wydolność serca. W XIX wieku pojono zwierzęta alkoholem. Dziś jest on całkowicie zakazany. Próbowano też podawać środki antykoncepcyjne. Podobno „czyściły krew”, zamazywały jej prawidłowy

obraz i trudno było wykryć, czy zwierzę jest na dopingu. Do dzisiaj zdarza się, że lekarze doradzają właścicielom najlepsze metody oczyszczania krwi zwierząt i aplikują wielbłądom odpowiednie środki. Po dopingu zwierzęta mają problem z krążeniem krwi, pracą serca i oddychaniem. Dlatego do najcenniejszych wielbłądów przyjeżdżają lekarze z Europy. Najlepsi są z Francji i Niemiec. Niektórzy hodowcy podróżują nawet do Ameryki Południowej i tam szukają nowych medykamentów. Czasami znajdują coś, co działa, ale pilnie strzegą potem swojego sekretu.

Na ekranie telewizora finałowa gonitwa z Dubaju dobiega końca. Wygrywa wielbłąd z Badii. Bracia Al-Haszmi czerwienieją z wrażenia. Hamud chwytą za telefon. Dzwoni do kuzynów. Krzyczy, żeby włączyli telewizor. To wielki dzień. Wielbłądy z pierwszą i drugą lokatą są z Omanu. Zawody sponsoruje szejk Dubaju. Siedzi w łoży i obserwuje. Kamera pokazuje zbliżenie na puchar. Wykonany jest z 24-karatowego złota i widać na nim wizerunek dwóch wielbłądów. W środku pucharu znajduje się czek. Za chwilę szejk wręczy go właścicielowi zwycięskiego zwierzęcia.

– Szejk zawsze przygląda się gonitwie, wypatrując obiecujących wielbłądów. Jeśli uzna, że jakieś zwierzę rokuje, to od razu dobija targu – mówi Omar. – Kiedyś jeden człowiek nie chciał mu sprzedać swojego wielbłąda. Próbował zniechęcić szejka, podając wysoką cenę. Za dobrego wielbłąda trzeba czasem zapłacić milion dirhamów, czyli sto tysięcy riali omańskich. Ale ten człowiek powiedział, że chce dziesięć milionów dirhamów, czyli milion riali. Szejk natychmiast się jednak zgodził i zwierzę trafiło do niego.

– Chcecie zobaczyć naszą hodowlę? Zabiorę was – proponuje Raszid.

Dojeżdżamy do pobliskiego miasteczka Al-Kamil. Z meczetu słychać muezzina wzywającego do modlitwy.

Zbliżamy się do zagród z wielbłądami. Zwierzęta stoją pod gołym niebem za prostymi metalowymi ogrodzeniami. Wysiadamy. Pachnie jak w oborze pełnej krów. Za nami zachodzi słońce. Wielka pomarańczowa kula chowa się za górami. Robi się chłodno. Raszid pokazuje ciężarne samice. Widzimy też wielbłądzicę polskiego kuzyna Raszida, Szymona. To Baraga. Wielka, zdrowa, piękna. Samice trzymane są na osobności. Mają po dziesięć lat i jeszcze przez pięć kolejnych będą mogły rodzić. Przez całe życie każda z nich wyda na świat maksymalnie siedem młodych. Po jednym z każdej ciąży, która trwa dwanaście, czasem trzynaście miesięcy. Potem przez kolejny rok matka będzie karmić małe własnym mlekiem.

Mleko wielbłąda jest bogate w przeciwciężła, chudsze od mleka krowiego, a przy tym zawiera więcej witaminy C i żelaza niż mleko krowie. Idealnie sprawdza się w diecie osób nietolerujących laktozy. Nie ma się co dziwić, że ludzie, którzy zajmują się samicami hodowlanymi, piją ich mleko. Czasem podaje się je chorym. W Salali, na południu Omanu, beduini regularnie doją wielbłądy i sprzedają ich mleko. Popularnością cieszy się też wielbłądzie mięso, które jest nietłuste, zawiera mało cholesterolu i ma mnóstwo substancji odżywczych.

Podchodzimy do Baragi. Daje się pogłaskać. Jej garb jest wyjątkowo miękki. To rezerwuar tłuszczu i wody.

– Mówimy na to siak, to jest tłuszcz z garbu. Prawdziwy delikates. Dodajesz go do chudego wielbłądziego mięsa i zjadasz. Pycha – zachwała Raszid. – Wielbłądy dla nas, ludzi pustyni, to prawdziwy skarb.

Jedna z wielbłądzic jest chora. Leży przykryta kocem.

– Cia, cia – popycha ją Raszid. Chce, żeby wstała. Musi sprawdzić, czy nie ma biegunki. Jutro przyślą do niej lekarza. – Opieka nad wielbłądami to ciężka praca. Dlatego wykonują ją mężczyźni. Kobiety mogą być właścicielkami wielbłądów, ewentualnie zajmują się samicami i ich młodymi. Choć najczęściej to także robimy my, mężczyźni, a nasze żony zbierają tylko profity – śmieje się Raszid.



Wyścigi wielbłądów w Badii odbywają się co drugą sobotę, czasem co trzecią. Nikt tego z góry nie wie i nie planuje. Zaczynają się o szóstej rano. Wielbłądy przybywają z okolicznych wiosek dzień przed wyścigami. Hodowcy wynajmują mały skrawek pustyni niedaleko torów wyścigowych, gdzie zwierzęta mogą wypocząć i dobrze zjeść.

Stara murowana trybuna świeci pustkami. Kiedyś schodziły się tu całe rodziny. Kobiety siedziały z jednej strony trybuny, mężczyźni z drugiej, a dzieciaki biegały pomiędzy nimi. Teraz młodzi ludzie oglądają zawody w domu. Nie chce im się wysiadywać na pustyni, skoro wszystko lepiej widać w telewizorze. Raszid twierdzi, że młode pokolenie nie interesuje się tak bardzo wielbłądami, bo więcej czasu poświęca na edukację.

Podjeżdża po nas Ahmed al-Wahabi, właściciel części pustyni Wahiba. To sympatyczny trzydziestokilkuletni mężczyzna o okrągłej, uśmiechniętej

twarzy.

– Wskakujcie – krzyczy i wskazuje dłonią miejsce w swoim starym pikapie.

Siadam obok Ahmeda i nagle tracę nad wszystkim kontrolę. To, co wyrabia Ahmed i kilkudziesięciu innych mężczyzn ze swoimi samochodami, wydaje się nie do ogarnięcia, ale pomimo chaosu nikt na nikogo nie wpada. Jedni pędzą w naszym kierunku, czyli w stronę mety, inni w stronę startu. Wszyscy wzbudzają tumany piachu i kurzu. Mężczyźni mają na głowach przewiązane chusty, tak by piach nie dostawał się do ust, uszu i włosów. Odślonięte mają jedynie oczy. Jeżdżą po kilku w każdym samochodzie i głośno krzyczą. Po chwili udaje mi się zrozumieć, kto za czym pędzi. Ahmed pędzi, bo chce mi pokazać jak największą liczbę gonitw. Pozostali gnają za swoimi wielbłądami, które biegną obok w wyścigu. A jeszcze inni, by zdążyć na kolejny bieg.

Jeszcze na początku XXI wieku dżokejami były dzieci, głównie z Pakistanu, Indii i Sri Lanki. W wyścigach brały udział nawet sześciolatki. Im lżejszy dżokej, tym lepiej, dlatego dzieciaki były wychudzone. W czasie treningów i wyścigów dochodziło do wielu wypadków. W końcu za sprawą międzynarodowych organizacji humanitarnych żywych dżokejów zastąpiły elektroniczne. Wyglądają jak malutkie, jaskrawo ubrane ludziki. Każdy elektroniczny dżokej wyposażony jest w bacik, który uruchamia się zdalnie za pomocą przycisku w odbiorniku. Dżokej posiada też głośnik, przez który dobiega głos trenera. Mężczyźni w czasie gonitwy starają się jechać jak najbliżej toru, żeby dobrze widzieć i właściwie popędzać swoje zwierzęta. Tuż przy barierze swój tor ma ekipa telewizyjna. Nikt nie ma prawa wjechać na jej pas. To jedyny uprzywilejowany samochód w tym chaosie.

Godzinę później jest po wszystkim. Siadamy na opustoszałych trybunach. Zbierają się tam również właściciele zwierząt i hodowcy. Mężczyźni o czymś głośno dyskutują, skupieni wokół człowieka ze stosem dokumentów.

– Na małych zawodach mamy komitety złożone z właścicieli, oni składają się na nagrody – tłumaczy mi Raszid. – Prywatni sponsorzy czasami też coś dorzuca. Za chwilę wypłacą zwycięzcom ich dołę, ale to symboliczne kwoty, dziesięć, pięćdziesiąt riali, na zachętę do udziału w zawodach. Chodzi tylko o to, żeby trenować, żeby nie wypaść z rytmu. Dlatego zawody organizowane są regularnie. Na takich jak te zdobywasz przede wszystkim punkty za wygraną. Im więcej punktów ma wielbłąd, tym

drożej możesz go sprzedać. Mój brat kiedyś sprzedał takiego wielbłąda za dwadzieścia pięć tysięcy riali.

Dzisiejszy zwycięzca zgarnia plik banknotów wyciągniętych z wielkiego jutowego worka, ekipa telewizyjna składa sprzęt i odjeżdża, opiekunowie zwierząt prowadzą wielbłądy na odpoczynek. Na torze zostają już tylko te zwierzęta, które przyjechały na trening, ale i one po chwili kończą biegi. Po zawodach wielbłądy mają czas na relaks i regenerację sił. Dostają najlepszej jakości koniczynę. Po dwóch dniach od zawodów są gotowe, by zacząć lekki trening. W wyścigach wezmą udział pewnie za dwa tygodnie.

Ahmed al-Wahabi na pożegnanie głośno błogosławi moją rodzinę. Kieruje kilka razy ręce ku niebu oraz w naszą stronę, mamrocząc coś pod nosem. Przekazuje mojemu tacie w prezencie muzułmański sznur modlitewny, zwany misbahą, co ojciec przyjmuje z powagą. Jest pod wrażeniem życzliwości i bezinteresowności nieznanego. Ahmed życzy nam wszystkiego najlepszego i odjeżdża w żółty, suchy i nagrany już słońcem piach pustyni Wahiba.



– Kobiety o jasnej karnacji są tu na wagę złota. Najlepsze są oczywiście te z własnego plemienia – opisuje mi tutejsze gusta Aurelia. – Z małżeństwem w islamie jest tak, że nikt tu sobie niczego nie obiecuje do końca życia. Ślub nie jest sakramentem. To kontrakt między ludźmi zawarty przed Bogiem. Rozwód według Koranu jest jak trzęsienie ziemi, ale jeżeli to jedyne wyjście z trudnej sytuacji, to trzeba go przeprowadzić. Potem możesz się już żenić tyle razy, ile chcesz. Musisz wiedzieć, że kobiety mają tu ogromne oczekiwania. Żądają od przyszłego małżonka milionowych wpłat, domów i samochodów. Przed ślubem kobieta żąda mahru, czyli posagu. Może zaznaczyć, że posag ma być podzielony na dwie części. Przed ślubem dostaje jedną, druga zaś jest zagwarantowana na wypadek rozwodu. Nie ma też reguły, zgodnie z którą dziewczicy należy się więcej niż rozwódce czy wdowie. Kobieta dostaje mahr niezależnie od tego, czy jest dziewicą. Koran tylko w jednym miejscu przywołuje słowa proroka, z których wynika, że lepiej żenić się z dziewicami. Ale przecież sam prorok za pierwszą żonę wziął wdowę. Oficjalny limit posagu to teraz 4 tysiące

riali, czyli jakieś 40 tysięcy złotych, ale ludzie się do tego nie stosują. Kobiety często żądają więcej.

Wesele to w Omanie wielkie wydarzenie. W zależności od tego, jak zamożna jest rodzina, przyjęcia organizuje się w hotelach, salach ślubnych lub rozstawianych na tę okazję tradycyjnych namiotach. Osobno bawią się mężczyźni, osobno kobiety.

Dzisiejsze wesele odbędzie się w zamkniętym klubie znajdującym się nad Zatoką Omańską, w dzielnicy Azaiba. Dekoracje tworzą baśniową atmosferę jak z Krainy tysiąca i jednej nocy. Salę przyozdobiono różowym tiulem z błyszczącymi cekinami. Materiał podświetlają lampki. Na podwyższeniu znajduje się ociekający złotem tron, na którym niebawem zasiądzie panna młoda. Pomieszczenie tonie w kwiatkach. W każdym rogu sali stoi strażniczka, która pilnuje, by nie robić zdjęć bawiącym się kobietom. Orkiestra, w której grają mężczyźni, odgradzona jest grubą zasłoną.

Panna młoda ma dwanaście sióstr i pięciu braci. Głową rodziny jest Omańczyk, będący mężem trzech kobiet – pierwszą jest Arabka, dwie kolejne to Hinduski. Oblubienica jest córką Arabki, dlatego tylko pierwsza żona bierze udział w weselu. Zwyczajowo na weselu jest tylko matka panny młodej. Pozostałych żon ojca panny młodej się nie zaprasza. Za to jego córki są w komplecie. Kobiety pochodzące od omańskiej matki trzymają się razem, te od Hindusek siedzą kilka stołów dalej, w swoim gronie.

Wesele to czas na zabłyśnięcie przed potencjalnymi teściowymi, które bacznie obserwują kandydatki na synowe. Kobiety we własnym gronie ściągają abaje i prezentują się w całej okazałości. Wszędzie unosi się zapach ciężkich, orientalnych perfum. Imprezę zaczyna pokaz tańca arabskiego. Kobiety wymachują biodrami w rytm muzyki. Chwilę później rozbrzmiewają hinduskie rytmy i salę opanowuje hinduska część rodziny. Potem wszystkie kobiety tańczą już razem. Każda w kolorowej, rzucającej się w oczy kreacji, każda w innym stylu, z innej epoki. Stroje inspirowane są starożytnym Egiptem, cygańskim weselem, serialem o dynastii Tudorów, dziecięcymi baśniami pełnymi wróżek, światem księżniczek, filmami Bollywood, a nawet serialem Dynastia. Jest sporo błyszczących gorsetów, złotych szpilek, wirują tiule, koronki i cekiny. Na głowach królują treski, diademy, pióra i róże. Piękną, oliwkową skórę przykrywa wybielający makijaż kończący się na szyi kobiet. Głęboko odsłonięte dekolty pozostają naturalne, ciepłe i oliwkowe.

Kolorowe księżniczki tańczą ze sobą i ze swoimi telefonami. Kobiety z rodziny panny młodej mogą robić zdjęcia i czatować w trakcie tańca. Nikt poza nimi nie pstryknie tu fotki. Na stołach ozdobionych kwiatami stoją woda, soki i słodczyce.

Wreszcie pojawia się panna młoda. Tłum kobiet wykrzykuje głośne *la, la, la*, zasłaniając przy tym usta dłonią. Panna młoda ubrana w białą koronkową suknię sunie przez długą salę, po czym zasiada na tronie. Tam spędzi swoje wesele. Wkrótce po jej wejściu otwiera się sala z cateringiem. Daniem głównym jest baranina przyrządzona z zabitych tego ranka zwierząt. Do tego są sałatki, hinduskie samosy, arabski chleb i ziemniaki. Kobiety częstują się mięsem, wyciągając je z tac rękoma. Kolejka jest długa i trzeba się spieszyć, by coś dostać. W porównaniu z polskim weselem jedzenia jest mało i szybko się kończy. Pod koniec kolacji kelnerki rozdają prosto do ręki omańską halwę. Po zjedzeniu trudno zmazać z dłoni klejącą maź. W ruch idą więc serwety i serwetki.

Po posiłku, tuż przed północą, zjawia się pan młody w otoczeniu rodziny. Przed wejściem mężczyzn wszystkie kobiety zakrywają się abajami i chustami. Pan młody wkracza w otoczeniu braci i matki. Ubrany jest w tradycyjny omański strój, czyli białą diszdaszę z handżarem wetkniętym za pas. Kobiety znowu krzyczą *la, la, la, la*. Pan młody wchodzi na scenę po stromych schodach prowadzących do tronu panny młodej. Mężczyzna zbliża się do wybranki, której siostry narzuciły na głowę biały kaptur. Siostry i matka pana młodego przekazują mu islamski różaniec do modlitwy i rzucają na parę młodą pieniądze. Dawniej drobniaki zbierała służba, teraz robi to filipińska obsługa wesela. Co zbiorą, to ich.

Pod koniec ceremonii matka pana młodego całuje w czoło pannę młodą i oddaje jej swojego syna. Za chwilę ustawi się kolejka do życzeń i wspólnych zdjęć. Dziewczyna poważnieje, z daleka widać, że po twarzy spływają jej strużki potu. Po raz pierwszy jest tak blisko mężczyzny, za chwilę czeka ją noc poślubna. Kobiety z rodziny zaraz po uroczystości przygotowują ją do tego wydarzenia. Zmyją makijaż, nasmarują ciało olejkami, poinstruuują, jak zachować się tej pierwszej nocy.

Chwilę po północy państwo młodzi wychodzą z sali. Goście również zbierają się do wyjścia. Kobiety rozjeżdżają się do domów swoimi terenowymi samochodami.



– Dla mnie Oman to zapach dojrzewających na palmach daktyli i kahwy, omańskiej kawy podawanej z kardamonem – zamyśla się Aurelia. – Nigdy nie czułam się tutaj osamotniona, zapomniana. Za to w Polsce... często chciało mi się płakać. Ludzie nie wierzyli, że mój mąż umarł. Mówili, że mnie zostawił. W Polsce nazywali mnie Arabką, to miała być obelga. Tymczasem tu, w Omanie, zawsze czułam się akceptowana. Pamiętam zabawną sytuację, gdy moje córki chodziły do szkoły. Dyrektorką była Irakijka. Bardzo często wzywała mnie do siebie. Powody były błahe, na przykład brak podręcznika albo to, że do szkoły odwiózł dziewczynki kuzyn. Rzekomo obawiała się, że to może być ich chłopak. Zaczęto komentować pół żartem, pół serio, że dyrektorka chciała po prostu podpatrzeć fason mojej sukienki, bo po kilku dniach przychodziła do szkoły w podobnym stroju.

– To chyba miłe?

– Bardzo. Pytali: „Skąd jesteś?”, a gdy odpowiadałam, że z Polski, to natychmiast chcieli wiedzieć, gdzie jest Polska. Tłumaczyłam im więc, że na wschód od Niemiec, w Europie. Pytali o klimat w naszym kraju i jakie mamy zimy. Co to jest śnieg, jakie ubranie trzeba założyć, żeby się ogrzać? Byli ciekawi, a jednocześnie życzliwi. Czasem w wiadomościach podawano informacje z Europy. Pamiętam, były jakieś rozruchy, chyba w Poznaniu, i przekazali wtedy wyrazy współczucia dla Polaków. To mnie bardzo ujęło. O Polsce wiedzieli mało. Później zaczęli kojarzyć ją z Lechem Wałęsą i piłką nożną. Znali Dejnę, mówili na niego Dina, znali też Lubańskiego i Latę. Potem znany zrobił się papież Jan Paweł II. Nazywali go *babą*, czyli tatą. Mówili: „*Baba* na Watykanie – też Polak”. Nigdy nie czułam się dyskryminowana, nigdy nie usłyszałam złego słowa na swój temat. Omańczycy woleli Polaków niż Anglików, bo Anglicy są wyniośli, zaczepiają nosem o chmury. A my, Polki, byłyśmy otwarte, przyjacielskie, tolerancyjne. Gdybym miała znowu wybierać, gdzie mieszkać, tu czy w Polsce, to wybrałabym Oman, choć bardzo kocham swoją ojczyznę. Tu czuję się swobodniej. Tu jest też mój dom. Moje obie córki wyszły w Omanie za mąż, obie mają tu dzieci. Tu są ich korzenie.

Naszej rozmowie przysłuchuje się Magda, córka Aurelii. Jest drobną szatynką o dużych oczach. Z mamą na co dzień rozmawia po polsku, wplatając czasem angielskie słowa.

– Czy wiesz, że dla każdego muzułmanina najważniejsza jest matka? – pyta Magda. – Po trzykroć matka, a potem reszta. Matka cię nosiła pod sercem, urodziła cię i wychowała. Ojciec za to przynosił ci chleb i dbał o twój dobrobyt. Matka nie jest od sprzątanania czy gotowania. Ona ma ładnie wyglądać i być wolna od jakichkolwiek trosk. Mąż nie powinien dzielić z nią problemów. Ma dawać spokój i utrzymanie. Według Koranu mężczyzna ma okazywać kobiecie szacunek. Mój tata bardzo szanował mamę. Nakazał mi opiekować się nią, gdy go zabraknie. To dla mnie święty obowiązek.

Aurelia na chwilę się zamyśla.

– Przed śmiercią męża prowadziłam życie prawdziwej księżniczki – wyznaje. – Miałam wszystko, czego tylko zechciałam. Tabit traktował mnie po królewsku. Ale moja bajka trwała krótko. Po wypadku było mi ciężko. Nauczyłam się, że o nieszczęściu trzeba głośno mówić, wyrzucić z siebie to, co bolesne. Gdy Tabit zmarł, trzymałam wszystko w sobie. Do mojej wewnętrznej przemiany przyczyniło się to, że ludzie opowiadali mi o swoich problemach. Pomagałam im znaleźć rozwiązanie. Potem zaczęłam sama mówić o tym, co bolesne, i właśnie to pomogło mi stanąć na nogi. A musiałam być bardzo silna, miałam dwie małe córeczki.

– Nie chciałaś ułożyć sobie życia po raz drugi? – pytam.

– Miałam propozycje, mogłam wyjść za mąż, ale nie spotkałam nikogo, z kim chciałabym spędzić życie. Może za dużo nasłuchiwałam się o nieszczęśliwych związkach? Bałam się spróbować. Oczywiście, gdy dzieci opuściły dom i założyły swoje rodziny, to poczułam się samotna. Ale co zrobić? Nie zdarzyło się. Widać, nie było mi pisane.

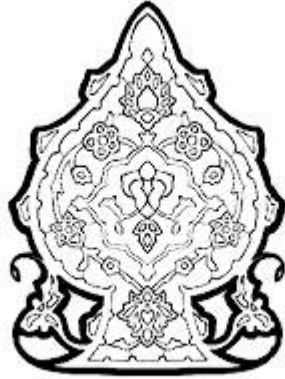


Po śmierci Tabit przychodził do Aurelii w snach jeszcze kilka razy. Przychodził też do córek, widywały go w sypialni. Któregoś razu przysiadł przy łóżku Magdy, ubrany w swoją diszdaszę.

– To ty, Magdo, zajmiesz się swoją mamą – powiedział. – Opiekuj się nią, proszę.

Kiedy ojciec nakazał Magdzie opiekować się mamą, była jeszcze małą dziewczynką. Zapamiętała dobrze, co jej powiedział, i czasem powtarza Aurelii: „*Baba* powiedział, żebym się tobą opiekowała, więc się opiekuję”.

Przed domem Aurelii czuć zapach *frankincense*. Dym z kadzidła rozchodzi się po całym wnętrzu. Aurelia parzy w dzbanuszkach herbatę, rozlewa ją do malutkich arabskich szklaneczek. Jest u siebie. I jest szczęśliwa.



LEA

Opowieść z Krainy tysiąca i jednej nocy

Lea jest piękną kobietą. Do szkoły szariatu, położonej w zadbanej dzielnicy Al-Khuwair, wchodzi ubrana w czarną dżalabiję w białe kwiaty. Za kobietą niesie się chmura ekskluzywnych perfum. Głowę ma szczelnie owiniętą chustą, na ramieniu torbę Yves Saint Laurent. Gdy rozmawia, żywo gestykuluje dłońmi obleczonymi w białe bawełniane rękawiczki. Lea nie ma na sobie makijażu. Pod dżalabiją stara się ukryć zniekształcone halluksami stopy. Widać, że latami nosiła buty na wysokim obcasie. Dziś chodzi w wygodnych klapkach na wysokiej platformie.

Kobiet takich jak ona każdego roku do Maskatu przyjeżdża kilkadziesiąt. Są w różnym wieku, od studentek po emerytki i od panien po rozwódki i wdowy. Zjeżdżają tu z całego świata, pragnąc zmienić swoje życie, bo w poprzednim nie były szczęśliwe. Mają jeden cel: chcą studiować Koran. Upatrują w nim szczęścia, spełnienia i pięknej przyszłości.



Kobiety siedzą na trawniku, czytają książki, rozmawiają, jedzą lunch. Przypominają studentki z kampusu amerykańskiej uczelni, tyle tylko, że są odziane od stóp do głów w czarne abaje. Wśród zebranych nie ma żadnego studenta, bo oddziały męskie znajdują się z drugiej strony szkoły, oddzielone ogrodzeniem i pasem zieleni. Kobiety siedzące na trawie są bardziej zakryte i mają na sobie więcej warstw materiału niż te, które spacerują po omańskich ulicach, a spod chust nie wystaje im niesforny kosmyk włosów czy skrawek ucha. Na stopach noszą grube czarne skarpety. Ja również zostałam poproszona o to, by do szkoły ubrać się skromnie, najlepiej w abaję i chustę. Tak też zrobiłam.

Szkoła kształci zarówno mężczyzn, jak i kobiety i nadaje absolwentom tytuł „uczonych w wierze”. Większość studentów to Omańcy, choć szkoła z otwartymi ramionami wita też obcokrajowców. Ich studia oraz pobyt w kraju finansuje Ministerstwo do Spraw Religii. Zajęcia dla kobiet spoza Omanu odbywają się tu od godziny czwartej po południu do dziewiątej wieczorem, cztery dni w tygodniu, od niedzieli do środy.

Do szkoły zaprosiła mnie Rasha, Omanka, która nadzoruje studia dla cudzoziemek. Wchodzimy do budynku, mijamy salę komputerową i idziemy schodami na pierwsze piętro. Na korytarzu widzimy grupki młodych dziewcząt. Jak na uczennice wszystkie zachowują się nadzwyczaj spokojnie, niemal dostojnie. Jedna z dziewcząt podaje zeszyt nauczycielowi. Nie jest to zwykłe wręczenie przedmiotu osobie stojącej obok. Uczennica stoi w odległości około dwóch metrów od mężczyzny. On znajduje się przy jednej ścianie korytarza, ona przy drugiej. Dziewczyna wyciąga rękę najdalej jak może, to samo robi mężczyzna. Bliższy kontakt fizyczny jest niedopuszczalny. Z takiej odległości prowadzą również rozmowę.

W sali dla cudzoziemek trwa nauka recytacji Koranu. Pomieszczenie przypomina szkolną klasę. Kobiety siedzą przy stolikach, a nauczycielka stoi przed nimi. Wyśpiewuje poszczególne wersety świętej księgi, uczennice je powtarzają. Kobiety zapisują słowa fonetycznie, każda w swoim języku, bo nie potrafią czytać po arabsku. Najgłośniej śpiewa postawna, około sześćdziesięcioletnia Włoszka Hannan. I właśnie ona najbardziej fałszuje.

– Słoń mi nadepnął na ucho, nie przejmuj się. – Hannan puszcza do mnie oko. – Po prostu śpiewam tak, jak potrafię.

W klasie jest też Lea, która przyjechała tu ze stolicy Francji. Pozostałe kobiety pochodzą ze Stanów Zjednoczonych, z Filipin, Tajlandii, Australii, Zambii oraz Pakistanu. Przysiadam się do Lei, która siedzi w pierwszym rzędzie i pilnie naśladuje śpiew nauczycielki. Witamy się skinieniem głowy. Za plecami mam dwunastoletnią Salimę z Australii razem z mamą Aiszą. Gdy tylko rozpoczyna się przerwa, Aisza mnie zagaduje.

– Jesteś muzułmanką? – pyta.

– Nie, nie jestem – odpowiadam.

– Czyli chcesz przejść niedługo na islam?

– Dużo czytam na temat islamu, ale jestem tu, bo piszę książkę o kobietach poznanych w Omanie.

– Słyszałam, że pochodzisz z Polski. Od jak dawna jesteś w Omanie? Mieszkasz tu z rodziną?

– Żyję tu od półtora roku razem z mężem i z synem.

– O, to *Alhamdulillah*, dzięki Bogu, jesteś mężatką. Czy twój mąż również interesuje się islamem?

– Mieszkając tu, nie sposób pozostać obojętnym wobec tej religii – odpowiadam.

– *Subhan Allah*, chwała Bogu. Wiesz, czasem Bóg prowadzi nas krętymi drogami. Mój mąż przez pięćdziesiąt lat swojego życia był chrześcijaninem. Odkąd skończył trzydzieści lat, służył w australijskiej armii. Był oficerem wywiadu i dowódcy wybrali go spośród czterech tysięcy innych kandydatów do służby na terenie Pakistanu, skąd pochodzę. Tam się poznaliśmy. Przed przyjazdem do Pakistanu mąż poznał kulturę muzułmanów, nauczył się jej. Moja rodzina nie przestrzegła w tamtym czasie zasad religijnych. Nie nosiłyśmy na przykład hidżabu. Moja dusza była wtedy martwa, a ja nie czułam się szczęśliwa. Mąż też nigdy nie żył zbyt blisko Boga. Aż nagle nawrócił się i tym samym nawrócił mnie. Wcześniej studiował Biblię, ale nie mógł w niej znaleźć odpowiedzi na wiele pytań, a w Koranie te odpowiedzi są.

Aisza jest atrakcyjną kobietą. Ma regularne rysy twarzy, zgrabny nos, wyraźnie zarysowane kości policzkowe i wielką potrzebę nawracania.

– Przyjechaliśmy tu z rodziną, bo bardzo chciałam, żeby nasze dzieci żyły w kraju islamskim – opowiada. – Tu chodzi też o kulturę, o styl życia. Islam nie jest religią niedzielną, w której wymaga się jedynie pójścia raz na tydzień do świątyni. Trudno jest wypełniać wszystkie jego zalecenia, mieszkając na Zachodzie. Dlatego chciałam żyć w kraju muzułmańskim. Szukaliśmy odpowiedniego miejsca przez prawie dziesięć lat, rozważaliśmy różne opcje. Ostatecznie zdecydowaliśmy się na Oman. W Australii mój mąż świetnie zarabiał. W Omanie zaproponowali mu jedną czwartą wcześniejszej pensji, ale przyjął tę propozycję. No i, *Alhamdulillah*, znalazłam tu prawdziwy pokój. Wcześniej miałam wszystko, czego zapragnęłam, ale moja dusza była zimna. Teraz jest całkiem inaczej. Wyobraź sobie, że mój mąż zaczął chodzić do meczetu pięć razy dziennie. Tu, w Omanie, jest to łatwiejsze, bo ludzie wiedzą, że tak trzeba. Każdy mężczyzna tak robi. Zapisalam dzieci do omańskich szkół, dzięki czemu mają więcej religii i uczą się arabskiego. Będę się modliła za ciebie, żebyś podjęła słuszną decyzję. Będę się modlić za całą

twoją rodzinę. Dam ci jeszcze radę wynikającą z moich doświadczeń. Otwórz się na islam. Nie ma słów, które by opisały to, co możesz dzięki temu zyskać. Trzeba to po prostu poczuć, tak jak dopiero spróbowanie cukru pozwala zrozumieć, na czym polega jego słodycz. Nie da się tego zrozumieć na podstawie opisu.

– Chodź, pokażę ci coś – przerywa nam Lea i prowadzi mnie do sali konferencyjnej.

Przy ścianie znajdują się regały z segregatorami, pośrodku stoi duży stół, a wokół niego krzesła. Za stołem widać kolorowe makiety z domkami i zagrodami dla wielbłądów.

– Zobacz, to są rekwizyty używane podczas wystaw i wykładów organizowanych przez szkołę. – Pokazuje Lea.

Zatrzymujemy się przy największej makiecie. Przedstawia posiadłość proroka i jedenastu żon, z którymi wówczas mieszkał. Na piachu jeden przy drugim stoją proste domki w kształcie sześciątów. Jeden z nich jest dużo większy niż pozostałe.

– Dom proroka musiał być większy – tłumaczy Lea – bo Mahomet przyjmował w nim wielu gości. Zobacz, tu są patyczki z drzewa arakowego, zwane *miswakami*, którymi prorok czyścił zęby. Zapobiegają próchnicy i wzmacniają dziąsła. Wiedziałaś o tym? – dopytuje Lea. – A to są próbki jedzenia, które spożywał, na przykład czarny sezam, który jest naturalnym antybiotykiem.

Podczas kolejnej przerwy przysiadam się do Hannan i pytam, skąd wzięła się w szkole szariat.

– Mieszkam niedaleko, w Mawaleh – odpowiada. – To dzielnica Maskatu położona na obrzeżach miasta. Żyję tam z Fateją, moją omańską córką. Tak ją nazywam od czasu, gdy się nią zaopiekowałam. Potrzebowała pomocy. Uciekła od męża, który ją bił, a ojciec nie pozwolił jej wrócić do domu, więc ją przygarnęłam. A teraz to ona wzięła mnie do siebie po moim rozwodzie. – Hannan zamyśla się. – Po raz pierwszy przyjechałam do Omanu z moim byłym mężem. Przez cztery lata mieszkałam w hotelu Golden Tulip, w którym pracował mąż. Potem, na siedem kolejnych lat wynajęliśmy w Omanie dom. W końcu wyjechaliśmy stąd, bo mąż dostał pracę w Kanadzie. Tam nasze małżeństwo zaczęło się rozsypywać. W Kanadzie nie miałam przyjaciół, którzy mogliby mnie wesprzeć. Z pomocą przyszła mi Fateja, która w międzyczasie dostała formalny

rozwód i całkiem nieźle jej się powodziło. Zaprosiła mnie do siebie i pozwoliła zostać.

– Koniec przerwy! – woła Rasza. – Kolejne zajęcia odbędą się z Abdullą, uczonym w wierze. – Rasza wygląda na podekscytowaną, przykładając palec do ust, prosząc w ten sposób, by kobiety zamilkły.

Abdulla jest niewysoki, na głowie ma biały turban. Biała jest też jego długa broda. Gdy wchodzi do klasy, wszystkie uczennice cichną.

– Na dzisiejszych zajęciach będziemy uczyć się tego, co czyni modlitwę nieważną – zaczyna nauczyciel, stając naprzeciw studentek.

Uczony w wierze mówi częściowo po arabsku, a częściowo po angielsku. Kobiety słuchają i każde słowo zapisują w notesach.

– Podczas modlitwy nie można mówić niczego poza tekstem samej modlitwy – tłumaczy cierpliwie. – Jeśli, na przykład, ktoś zobaczy, że jego dziecko płacze, i zwróci mu uwagę, mówiąc „nie płacz”, to jego modlitwa będzie nieważna. Jeśli imam, który prowadzi modlitwę w meczecie, pomyli się, to możesz powiedzieć: *Subhan Allah*, żeby dać mu znać, że powinien wrócić do odpowiedniego fragmentu – ale możesz to zrobić dopiero po modlitwie Al-Fatiha, czyli surze otwierającej. Wtedy możesz przypomnieć mu to, o czym zapomniał, używając do tego słów z Al-Fatihy. Tylko w tym jednym przypadku możesz powiedzieć coś w czasie modlitwy, ale nadal posługując się słowami świętej księgi. I wtedy modlitwa jest ważna.

Dwunastoletnia Salima, córka Aiszy, jako jedyna w grupie, zamiast notować, obserwuje swoje pomalowane na czarno paznokcie.

– Dlaczego malujesz paznokcie, skoro lakier przeszkadza w ablucjach? – pytam po cichu.

– Mam okres – odpowiada Salima. – W tym czasie kobieta nie modli się, bo jest nieczysta. Dlatego zawsze gdy mam okres, maluję paznokcie. Jak mi się kończy, to zmywam lakier.

– Jak ci się tu podoba?

– Jest okej – odpowiada.

– Nie tęsknisz za Australią?

– Nie bardzo, tutaj jesteśmy postrzegani jako zupełnie normalni ludzie – stwierdza. – W Australii, gdy założyłam chustę, to dużo koleżanek wytykało mnie palcami. Mieszkaliśmy w dzielnicy, w której nie było emigrantów, i dla nich to było coś dziwnego. Tutaj nikogo taki strój nie dziwi, tylko te wykłady mnie męczą. Mama ciągnie mnie ze sobą za każdym razem, gdy tu idzie.

Mama Salimy upomina nas wzrokiem, żebyśmy nie przeszkadzały w wykładzie.

– Kiedyś rozmowa podczas modlitwy była dozwolona – kontynuuje nauki Abdulla. – Tak było za czasów proroka, gdy ludzie nie potrafili się jeszcze modlić. Pewnego dnia jeden z towarzyszy proroka wrócił z podróży do Abisynii i zobaczywszy modlącego się Mahometa, powiedział na powitanie: „*Salam alejkum*, pokój niech będzie z tobą”. Ale prorok w milczeniu kontynuował modlitwę. Potem ten towarzysz spytał proroka: „Co ja takiego zrobiłem? Dlaczego nie odpowiedziałeś na moje powitanie?”. Prorok stwierdził wówczas, że rozmowa podczas modlitwy jest niedozwolona. Jaka z tego korzyść? Ano taka, że możesz w pełni skoncentrować się na modlitwie. Kolejna sprawa: jeśli się modlimy w meczecie, to musimy stać ramię w ramię. Jeśli ktoś w czasie modlitwy musi wyjść, bo na przykład źle się poczuje, to reszta powinna natychmiast przesunąć się tak, by nie było pustego miejsca. Jeśli jednak ktoś się oddali bez wyraźnej przyczyny, to jego modlitwa jest nieważna. Odejść możemy tylko w dwóch przypadkach: jeśli musimy ratować nasze zdrowie czy życie albo naszą własność. Wtedy możemy przerwać modlitwę. Bo nie możesz się modlić i patrzeć, jak cię okradają. – Abdulla szerokim gestem demonstruje kradzież torby.

Uczennice śmieją się głośno i kiwają głowami.

– Jeżeli ktoś cię zaatakuje, musisz się bronić – opowiada dalej uczony w wierze. – Jeśli ktoś podczas modlitwy będzie mdlał, to nie możesz pozwolić, by upadł. Musisz mu pomóc i nie unieważni to twojej modlitwy. Ale nie rozmawiaj z nikim w trakcie udzielania pomocy. Po prostu połóż chorego w bezpiecznym miejscu i kontynuuj modlitwę. Nie wolno też ruszać się bez wyraźnej przyczyny. Jeśli jednak masz małe dziecko i karmisz je piersią, a dziecko w czasie twojej modlitwy zacznie głośno płakać, to weź dziecko na ręce i nakarm je, nie przerywając modlitwy. Ale nie mów nic do dziecka.

– No a co, jeśli ktoś cały czas przechodzi przed nami w meczecie? Czy to też unieważnia naszą modlitwę? – pyta Lea.

– Tak, i dlatego połóż coś przed sobą w czasie modlitwy w takiej odległości, byś mogła swobodnie uklęknąć i zrobić pokłon. Rzecz, którą kładziesz przed sobą, nazywamy sutrą. Jeśli nikt nie będzie chodził pomiędzy tobą a sutrą, to modlitwa będzie ważna. A jeśli ktoś będzie chciał

tamtędy przejść, to spróbuj go powstrzymać, nawet z użyciem odrobiny siły. Kiedy modlitwa jest nieważna, to trzeba ją powtórzyć.

– A czy mogę wydłużyć modlitwę, jeśli czuję taką potrzebę? Pokłonić się pięć razy zamiast na przykład dwukrotnie? – dopytuje Lea.

– Nie możemy niczego dodawać do modlitwy bez zgody Boga – odpowiada Abdulla. – Tak samo nie możemy niczego pomijać bez zgody Allaha. Ale jeśli zapomnisz, który raz uderzasz o podłogę, i pomylisz się w obliczeniach, to modlitwa będzie ważna. Czy ktoś ma jeszcze jakieś pytania?

– Dlaczego odejście od islamu karane jest śmiercią? – niespodziewanie pyta Salima.

– Tak mówi Koran. Wszyscy uczeni w wierze są zgodni, że jeśli odstępującym od wiary jest mężczyzna, to powinien ponieść karę śmierci. W odniesieniu do kobiety zdania wśród uczonych są podzielone. Jedni mówią, że taka kobieta powinna zostać zabita, inni, że ocalona. W religii znajdziemy wiele dowodów na to, że kobiety nie powinno się zabijać, nawet podczas wojny, nawet jeśli jest niewierząca. W sytuacji odejścia od wiary jest podobnie: kobieta powinna być chroniona, bo jest kobietą.

Salima wyraźnie się ożywia i pyta dalej:

– A dlaczego trzeba zabić mężczyznę?

– W niektórych społeczeństwach islamskich tego, kto odstępuje od wiary, uważa się za wroga, ponieważ zagraża on stabilności, może szpiegować na rzecz obcych i zasiewać w ludzkich sercach wątpliwość. Dlatego trzeba temu zapobiec. Ale żeby doszło do wykonania kary śmierci, wyrok musi wydać sąd szariacki. I jeśli oskarżony przed sądem powie, że nadal wierzy, to my, nawet jeśli wiemy, że kłamie, nie możemy skazać go na śmierć. Ostatecznie i tak będzie osądzony przez Boga.

– Aha, okej – odpowiada Salima.

Abdulla ogłasza koniec zajęć. Rasza pojawia się przy mnie i zagaduje:

– I jak, siostrzyczko Anno? Podobało ci się? Będziesz chciała wziąć udział w całym kursie?

Z chęcią przychodziłabym tu codziennie, ale mam jeszcze inne obowiązki. Umawiamy się więc, że będę uczestniczyła w spotkaniach jako wolna słuchaczka, kiedy tylko będę miała czas.

Wychodząc z uczelni, spotykam Leę. Proponuję jej podwiezienie do hostelu, w którym mieszka razem z omańskimi uczennicami szkoły szariatu. Hostel mieści się w okolicy Wielkiego Meczetu, po drodze do

mojego domu. Jest cichy i ciepły wieczór. Słońce już nie pali, za to na niebie błyszczą księżyc i tysiące gwiazd, które widać pomimo świateł miasta. Młody chłopak stojący w bramie uczelni podnosi z uśmiechem szlaban i powoli wyjeżdżamy, kierując się w stronę meczetu.

– Od kiedy mieszkasz w Omanie? – pytam.

– Przyjechałam tu osiem miesięcy temu, we wrześniu – mówi Lea. – Mieszkam w akademiku dla studentek razem z młodzietkami dziewczynami, choć sama mam pięćdziesiąt lat – śmieje się. – Czuję, jakbym się cofnęła w czasie, i już sama nie wiem, czy do czasów mojej młodości, czy młodości Szeherezady z Krainy tysiąca i jednej nocy, bo czas jakby stanął tu w miejscu. Ale jest dobrze. Mam swój cel. Chcę skończyć studia. Na początku było mi trudno przyzwyczać się do nowych warunków, zwłaszcza do życia w zamknięciu, ale teraz jest okej.

W samochodzie Lea ściąga bawełniane rękawiczki. Zauważam, że dłonie ma ozdobione henną w kwiatowy wzór. Lea widzi, że patrzę na jej ręce.

– A, to zrobiła mi dziewczyna z The Second, jak mówimy na nasz hostel. Ona ma do tego powołanie, ma bardzo dobrą rękę. Ale nie może wychodzić z hostelu, więc chyba nie mogłaby ci zrobić henny. Wszystkie dziewczyny, z którymi mieszkam, studiuje w szkole szariatu. Mogą wychodzić z akademika tylko wtedy, gdy przyjeżdża bus i wiezie je na uczelnię. By wyjść, potrzebują *mahrama*, czyli opiekuna, a jest nim mąż, brat albo ojciec. Na początku czułam się jak w więzieniu, choć ja akurat mogę wychodzić. Mnie traktują inaczej, ale o dwudziestej drugiej trzydzieści muszę być na miejscu. W weekendy również muszę wracać o dwudziestej drugiej trzydzieści. Wtedy większość dziewczyn wyjeżdża do rodzin i zostaje sama. Lubię weekendy, bo jest cicho.

– Dlaczego tu przyjechałaś?

– Miałam dość Europy. Tam myśli się tylko o pieniądzach, nikogo nie interesuje życie duchowe. Tu jest inaczej. Do skończenia studiów szariackich zostały mi jeszcze cztery lata. Nie muszę płacić za szkołę, to dar od Ministerstwa Darowizn i Spraw Religijnych, stypendium dla zagranicznych studentek. Ale wyżywienie opłacam sama. Żyję z oszczędności, mam apartament w Paryżu, który teraz wynajmuję. Nie chcę wracać do Europy. Sprzedam mieszkanie we Francji i kupię apartament w jakimś islamskim kraju. Taki mam plan.

Dojeżdżamy do hostelu, który leży w południowej części dzielnicy Al-Ghubra. Fatima kieruje mnie lokalnymi uliczkami. Mijamy okazałe wille

otoczone zielenią.

– O, tu mieszka szajch, uczony w wierze, którego bardzo szanuję, znam go z Wielkiego Meczetu. – Lea pokazuje jeden z domów. Ma pozłacane kolumny i duże podwórze. – Żona szajcha pracuje w szkole. Znam nie tylko ją, ale i prawie całą ich rodzinę, mają siedmioro albo ośmioro dzieci. Teraz skręć w lewo. O, tu jest moja ulica, mój hostel i moje okno. – Lea wskazuje na trzypiętrowy budynek otoczony betonowym murem. – A wejście jest przed nami, zamknięte na klucz.

Parkujemy przed wysoką metalową bramą.

– Dziewczyny, które mieszkają za tym murem, nie widzą niebezpieczeństw tego świata. Nic o nim nie wiedzą – mówi Lea. – Jeśli zostawiłabyś którąś z nich na ulicy, byłaby kompletnie zagubiona. My w Europie wiemy, że ktoś cię może okraść albo zgwałcić. One o tym nie mają pojęcia. A takie rzeczy też się tu zdarzają. Zwykle jednak nie nagłaśnia się takich spraw. Choć niedawno usłyszałam o dwóch Hindusach, którzy zgwałcili Omankę. Policja zrobiła najazd na miejsca, gdzie mieszkają robotnicy z Indii. Wyłapali i deportowali wszystkich, którzy byli tu nielegalnie. Znaleźli też sprawców gwałtu. Podobno wsadzili ich do samolotu do Indii. Tyle tylko, że ostatecznie tych dwóch nie doleciało na miejsce. Mówi się, że wyskoczyli z samolotu nad oceanem.

Zza bramy zerka na nas starszy Omańczyk z długą siwą brodą.

– O, ten facet będzie na mnie za chwilę krzyczał. To strażnik. Sprawdza, kto mnie przywiózł – śmieje się Lea. – On jest tutaj jak mój ojciec. Ponieważ nie mam w Omanie opiekuna, to powiedziano mi, że mogę wychodzić sama, za każdym razem powinnam jednak mówić strażnikowi, gdzie byłam. Ale ten strażnik był strasznie wścibski. Jak pojawiałam się po kilku godzinach, to pytał: „Czy spędziłaś cały ten czas w Wielkim Meczecie? Naprawdę? A co tam robiłaś?”. Takie pytania były denerwujące, więc się przeciwko temu zbuntowałam. Nie chciałam mu się z niczego tłumaczyć. W końcu, czy ja jestem w więzieniu? Kiedy więc prosił: „Powiedz mi, dokąd idziesz”, odpowiadałam mu ze śmiechem: „Czy ty jesteś moją matką? Dlaczego chcesz wiedzieć, dokąd idę?”. Żartowałam, ale on był bardzo poważny. Zmieniłam więc taktykę i zaczęłam mówić: „Oj, zapomniałam, gdzie byłam”. W końcu dali mi spokój. Mogę dostosować się do wielu panujących tu zasad, ale nie mogę zapomnieć o sobie samej.

Lei nie jest śpieszno do hostelu, więc gawędzimy spokojnie pod okiem brodatego starca.

– Uczestniczyłam kiedyś w konferencji – ciągnie Lea. – Była tam młoda, piękna dziewczyna, która opowiadała, czym dla niej jest hidżab. Mówiła, że taki strój daje jej wolność. My w Europie myślimy odwrotnie, więc takie podejście było dla mnie odkrywcze. Ostatecznie doszłam do wniosku, że to rzeczywiście jest źródło wolności. Nie chcę, żeby jakikolwiek facet patrzył na mnie i snuł fantazje. To jest moje piękno i dam je temu, kogo kocham. Hidżab pozwala mi to piękno chronić przed światem. W islamie relacja pomiędzy mężem a żoną jest czystsza i silniejsza niż nasza, zachodnia. Szajch Abdulla powiedział mi wczoraj, że nawet taka henna namalowana na dłoniach kobiety może kusić mężczyznę. Poproszono mnie, żebym ją zakryła przed dzisiejszymi zajęciami.

– Jak to?

– Tak, bo mężczyzna może mieć fantazje na ten temat. Oni nie są przyzwyczajeni do widoku kobiet, więc każdy odsłonięty skrawek naszego ciała ich podnieca. Czy ty wiesz, że jeden nauczyciel śnił tu o mnie? – kontynuuje Lea. – Niedawno na lekcji przedstawiałam jakieś zagadnienie, stojąc przed wszystkimi na środku. Trochę przy tym gestykulowałam i nauczyciel widział moje dłonie. To mu wystarczyło, choć ja nie miałam pojęcia, że dam mu powód do marzeń sennych. Tutaj hennę robi się tylko dla męża, na spotkanie z koleżankami albo na wesele. Po prezentacji powiedziano mi, żebym założyła rękawiczki, bo pokazywanie henny obcemu mężczyźnie jest niemoralne. Odmówiłam, stwierdzając, że jest zbyt gorąco.

– Ale dzisiaj je założyłaś?

– Tak, bo to już kolejna henna. Nie chcę stwarzać problemów. Za to teraz, jak patrzę na kobiety, które noszą rękawiczki, myślę, że skrywają pod nimi hennę dla męża. To też pobudza wyobraźnię.

Pod bramę podjeżdża terenowa toyota i wysiada z niej starszy Omańczyk. Przyjechał odebrać córkę na weekend. Lea śmieje się w głos, widząc stróża wyglądającego jeszcze raz w stronę naszego samochodu. Dochodzi wpół do jedenastej wieczorem. Żegnamy się i umawiamy na kolejne spotkanie. Odjeżdżam, gdy Lea głośno stuka w wielką metalową furkę. Starszy brodaty mężczyzna otwiera wrota i moja znajoma znika za wysokim murem.



Delikatna melodia wybudza Leę ze snu. Właściwie to już nie spała. Drzemała, czekając, aż zadzwoni budzik. Odkąd przyjechała do Maskatu, jej zegar biologiczny przyzwyczaił się do wczesnej pobudki. Jest wpół do czwartej nad ranem. Lea wstaje, bierze kilka łyków wody, którą zawsze trzyma przy łóżku, i idzie do łazienki. Z jej ust wydobywa się głośne: *Bismillah*, co znaczy „w imieniu Allaha”. Ablucje zaczyna od umycia rąk. Najpierw lewą ręką myje prawą, potem na odwrót. Tak, jak nauczyły ją siostry w Wielkim Meczecie. Po zakończeniu ablucji Lea wychodzi ze swojego apartamentu na trzecim piętrze, wspina się po kamiennych schodach na dach budynku i zaczyna poranną modlitwę. W tym momencie czuje, że cały świat należy do niej. Niebo, gwiazdy, księżyc są tylko jej i Allaha. Po modlitwie zostaje na dachu, by obejrzeć wschód słońca. Obserwuje go codziennie, siedząc na macie przywiezionej z Paryża. Słońce wychyla się znad gór, dokładnie nad pałacem sułtana. Gdy słoneczna tarcza już w całości wynurzy się znad górskich wierzchołków, Lea zwraca się w kierunku zatoki, która z brunatnej i zimnej powoli zmienia się w lazurową i zachęcającą do kąpieli. Jest ciepło, ale jeszcze nie upalnie. Ptaki razem z miastem nieśmiało budzą się do życia. W hostelu mieszka około stu pięćdziesięciu kobiet. Nie ma tu wygód, są za to prosto urządzone pokoje z pojedynczymi łóżkami, małymi szafkami na ubrania i stolikami do nauki. Łazienki i kuchnie są wspólne. Nie wszystkie pomieszczenia mają klimatyzację, a telewizja jest zabroniona. Życie w hostelu jest monotonne i przewidywalne. Studentki mieszkają po cztery w pokoju, choć zdarzają się też sypialnie dwuosobowe. Lea uparła się, że musi mieszkać sama. Zagroziła, że jeśli nie otrzyma samodzielnego pokoju z własną kuchnią i łazienką, to wynajmie coś w mieście. To przekonało menedżerki hostelu, by przyznać jej mały apartament na trzecim piętrze. Studentka szkoły szariatu musi być czysta, a jej reputacja bez skazy. Dlatego każdą z nich lepiej mieć na oku. „Wiedza to potęga”, Lea słyszy to zdanie prawie codziennie.

Lekcje prowadzone na terenie hostelu zaczynają się już po porannej modlitwie. Studentki najpierw uczą się grupowo, a potem indywidualnie. Zajęcia kończą się o wpół do dziewiątej i większość kobiet kładzie się

wtedy spać. Budzą się około południa na kolejną modlitwę i obiad. Po południu jadą do szkoły i dopiero wieczorem wracają do hostelu. Za grubymi, wysokimi murami chroniącymi je od zgiełku miasta zachowują się inaczej niż na zewnątrz. Nie okrywają się czarnymi abajami, chodzą ubrane w kolorowe dżalabije. Włosy odkrywają jednak tylko wtedy, kiedy je myją. Niektóre z dziewcząt nakładają makijaż, ale zmywają go przed wyjściem poza mury. Te najbardziej gorliwe w wierze nigdy nie robią makijażu. Łączy je jedno – znają swoją wartość; wiedzą, że opiekunowie strzegą ich honoru. Lea ma wrażenie, że zachowują się, jakby były księżniczkami. Powiedziano im, że są jak nieskażone, kruche kwiaty, o które należy dbać. Wieczorami, zanim pójdą spać, siadają na podłodze w swoich pokojach i śpiewają tradycyjne omańskie pieśni. Mają czyste i mocne głosy. Czasem, gdy ruch na pobliskich uliczkach ucichnie, słychać ich anielski śpiew. Niesie się razem z ciepłym wiatrem po okolicy.

Lea nie ma wielu wspólnych tematów do rozmów ze studentkami. Twierdzi, że są dla niej zbyt młode i mało wiedzą o świecie. Czasem próbuje zażartować w towarzystwie nowych koleżanek, ale potem ma wrażenie, że wszystkie dziwnie na nią patrzą. Zdarza się, że słyszy, jak dziewczęta wybuchają głośnym śmiechem. Szczególnie późnym wieczorem. Ale kiedy zbliża się pora opuszczenia hostelu, poważnieją. Zmierzają do wyjścia w czarnych abajach ze wzrokiem wbitym w ziemię, skromne, ciche i nieśmiałe istoty.



Za niecały miesiąc rozpocznie się ramadan. W Wielkim Meczecie trwają przygotowania. Kobiety umawiają się na modlitwy i spotkania, ustalają, jakie dania będą szykować na wspólne kolacje. Z każdym dniem robi się też coraz bardziej upalnie. Zastanawiam się, ile jeszcze można znieść, skoro temperatura sięga już niemal pięćdziesięciu stopni Celsjusza. Spotykam się z Leą przed Wielkim Meczetem. Widzę, że ledwo trzyma się na nogach, a po jej twarzy spływają strużki potu.

– Czy wszystko w porządku? – pytam.

– Tak, dziękuję. Po prostu zafundowałam sobie spacer w tej saunie. Poszłam pomodlić się do meczetu, który mieści się daleko od mojego hostelu.

– A dlaczego nie tutaj? – jestem ciekawa.

– Niedobrze jest wybierać meczet blisko domu. Lepiej pójść pomodlić się do tego, który położony jest daleko, bo każdy krok, który robisz w drodze do meczetu, jest uznawany za dobry uczynek. Za każdy krok masz u Boga dodatkowe punkty. Ale przeliczyłam się, ta pogoda mnie dobiła. Może wybierzemy się do jakiejś klimatyzowanej knajpki?

Zabieram Leę do mojej ulubionej naleśnikarni położonej przy nadmorskiej promenadzie. Powinniśmy zdążyć zjeść i wypocząć, zanim zaczną się popołudniowe zajęcia w szkole.

– Za co jeszcze można dostać od Boga punkty? – pytam.

– Islam, wbrew pozorom, jest bardzo łatwy w obsłudze. Jeśli zrobisz coś złego, to Bóg odbiera ci jeden punkt. Jak zrobisz coś dobrego, to masz dodawane punkty: od jednego do siedmiu. To Bóg decyduje, ile punktów dostajesz, nigdy więc nie wiesz, ile ci przyzna. Podczas ramadanu należy pościć i za to oczywiście dostajesz trochę punktów, ale jeśli nie przestrzegasz tego nakazu, to możesz odkupić swoje grzechy. Dwudziestego siódmego dnia ramadanu i poprzedzającej go nocy wszystkie modlitwy zostają bowiem wysłuchane, a każdy dobry uczynek jest pomnażany od dziesięciu do siedmiuset razy. Jeśli więc pościsz akurat tego dnia, to masz zaliczony cały ramadan. Nie chcę chodzić na łatwiznę, ale inni tak robią. Uczeni w wierze mówią też, że jak mężczyzna idzie do nieba, to dostaje siedem dziewic. Ale niektórzy uczeni twierdzą, że mogło to zostać źle przetłumaczone, bo w czasach proroka mówiło się, że dostaną siedem rodzynek. Ponieważ jednak rodzynki są nie tylko wysuszonymi owocami, ale i pewnego rodzaju symbolem, to przetłumaczono je jako dziewice. I teraz każdy Arab chodzi do meczetu, żeby dostać w przyszłości te dziewice. Bo mężczyzna, żeby się starał, musi mieć zachętę w postaci nagrody, kobieta tego nie potrzebuje. I tak podejmuje wysiłek.

– Leo, a dlaczego zdecydowałaś się przejść na islam? – pytam.

– Widzisz, kiedyś miałam wszystko, a nie byłam szczęśliwa. Przyleciałam tu kilka lat temu na wakacje z mężem. Mieszkaliśmy w najlepszym hotelu w Omanie, w Al-Bustan Palace. Pracowałam wtedy dla firmy kosmetycznej, a mój mąż zajmował się badaniami, bo jest znanym we Francji naukowcem. Do Wielkiego Meczetu przyjechaliśmy na wycieczkę. I wtedy poczułam coś niezwykłego. Wiedziałam, że muszę tu wrócić. Wyobraź sobie, że mój mąż poczuł to samo. Po powrocie z wakacji zaczęliśmy się uczyć arabskiego i studiować Koran. Mojemu mężowi nie

starczyło zapalu i tylko ja przyjąłam islam. Musiałam zostawić go, bo zgodnie z zasadami religii on jest niewierny. Zgodził się na rozwód, zrozumiał moją motywację. Jesteśmy przyjaciółmi, choć on do dzisiaj ma nadzieję, że przejdzie mi ten islam i do niego wrócę.

– A ty co myślisz?

– A ja coraz częściej myślę o wyjściu za mąż za dobrego muzułmanina. W moim wieku mogę liczyć jedynie na zostanie drugą żoną i tego nie wykluczam. Sama śmieję się z siebie, bo jeszcze kilka lat temu byłam feministką, a teraz myślę o dzieleniu męża z inną kobietą.

– Naprawdę chcesz tu zostać i wyjść za mąż?

– To będzie dla mnie dobre. Chciałabym związać się z kimś mądrym. Na przykład z szajchem, kimś z dużą wiedzą. Nigdy nie poślubiłabym kogoś, kto nie ma wiedzy o islamie. To mój warunek. I nie chcę czekać długo ze ślubem. Nie chcę czekać, aż będę miała sześćdziesiąt lat. Ślub byłby zwieńczeniem mojej wiary. To nie jest tak jak w Kościele katolickim. Tam wiele kobiet nie wychodzi za mąż. Żyją samotnie. Tu jest zupełnie inaczej – tu wręcz trzeba kogoś poślubić. Siostry w meczecie pomagają znaleźć męża kobietom przechodzącym na islam, bo dzięki temu wiara świeżo upieczonych muzułmanek ma szansę się umocnić.

– Proponowały ci już kogoś?

– W meczecie ostatnio był mężczyzna z Jordanii. Rozmawiał z jedną z sióstr, z Naiemą. Okazało się, że jest biznesmenem, niezbyt urodziwym, ale też nie odrażającym, dużo podróżuje. Był w europejskich ubraniach. Naiema przedstawiła nas sobie i zapytała mnie wprost, czy byłabym zainteresowana małżeństwem. Odpowiedziałam jej, że nie. Absolutnie. Nawet na niego nie patrzyłam. Powiedziałam, że przyjechałam tu w innym celu, by studiować Koran. I może za jakiś czas, *in sha Allah*, pomyślę o małżeństwie, ale nie teraz. Teraz mój czas daję Bogu i sobie. Odmówiłam, ale inne wolontariuszki wciąż zwracały mi uwagę, że on często na mnie patrzy, więc w końcu zapytałam go: „To jakiej kobiety szukasz?”. Okazało się, że szuka dynamicznej osoby w wieku około czterdziestu pięciu, pięćdziesięciu lat. Kobiety, która mogłaby z nim podróżować, bo jego żona nie chce tego robić. Byłam zaskoczona. Zapytałam: „To ty masz żonę?”, a on odparł: „Tak, mam żonę i dwójkę dzieci. Ale żona wie, że szukam kolejnej, bo ona nie chce mi towarzyszyć w podróżach. Potrzebuję mądrej towarzyszki podróży”. „To jest jedyny powód?”, dopytywałam. Stwierdził: „Tak, naprawdę potrzebuję takiej kobiety, i moja pierwsza żona nie ma

z tym problemu”. Oczywiście, jest to zgodne z naukami islamu. Może nie jest fair dla naszych serc, ale mąż musi każdej z żon dać to samo. Musi dać miłość, uwagę, troskę, pieniądze, dom, samochód, pożywienie, szkołę dla dzieci – to samo każdej kobiecie.

– Odmówiłaś mu?

– Tak, było za wcześnie na taką decyzję. Rozmawiałam później na ten temat z szajchem Abdullą i powtórzyłam mu słowa proroka Mahometa: „Jeśli nie możesz traktować wszystkich żon równo, to miej jedną”. Stwierdził, że powód do wzięcia kolejnej żony na pewno nie może mieć charakteru seksualnego. Ale jeśli pierwsza żona nie może mieć dzieci, to mężczyzna ma prawo wziąć kolejną. Tak samo żona może wziąć rozwód i znaleźć innego męża, jeśli ten pierwszy jest bezpłodny. Innym powodem do powtórnego ożenku jest sytuacja, kiedy nikt nie chce poślubić danej kobiety, bo, powiedzmy, jest brzydka albo stara. Wtedy mężczyzna, by spodobać się Bogu, może dać takiej kobiecie opiekę i tym samym ją uszczęśliwić. Widzisz, na Zachodzie jest tyle samotnych kobiet. Ile z nich ma depresję? A ile pije w samotności? Tutaj ten problem się rozwiązuje. Oczywiście nie każdy mężczyzna nadaje się do posiadania dwóch żon, bo niełatwo jest traktować każdą identycznie. To musi być dla mężczyzny bardzo trudne. Jak kochać każdą z żon tak samo?

– Nie tęsknisz za towarzystwem mężczyzn? Zdecydowaną większość czasu spędzasz teraz z kobietami.

– Ależ oczywiście, że tęsknię. To część mojej przeszłości. Brakuje mi rozmów z mężczyznami. Zauważyłam, że jeden z szajchów z meczetu jest chyba mną zainteresowany. Powiedziałam mu nawet, że idę dziś z tobą na lunch. Czuję, że on chce mi złożyć małżeńską propozycję.

– Musisz mieć tutaj dużo propozycji. Masz piękne, wielkie oczy i bardzo ładnie ci w hidżabie.

– Naprawdę? Dziękuję – uśmiecha się Lea. – Właściwie to podoba mi się ten szajch. Jest przystojny, otwarty, wygląda jak dżentelmen i ma europejskie obycie, bo mieszkał przez wiele lat w Londynie. Znam jego rodzinę, jego żona jest delikatna i miła. Mają kilkoro dzieci, najmłodsze ma roczek.

– Wyobrażasz sobie życie z nim w charakterze drugiej żony?

– Dojrzewam do tego. I wiesz co? Czuję motyle w brzuchu, gdy o nim myślę.



Dźwięk telefonu budzi mnie wcześniej rano.

– Dziś wieczorem odbywa się spotkanie kobiet, będą tam żony nauczycieli ze szkoły szariatu. Pojedziemy razem? – pyta mnie podekscytowana Lea. Ostatnio spędzamy ze sobą sporo czasu.

– Chętnie ci potowarzyszę – odpowiadam – ale, proszę, daj mi jeszcze chwilę pospać. Dopiero świta.

– Ty też niedługo będziesz modlić się pięć razy dziennie i będziesz wstawać o brzasku, *in sha Allah* – śmieje się Lea. – To jesteśmy umówione.

Zebrania organizowane przez siostrę Azizę z Ministerstwa Darowizn i Spraw Religijnych odbywają się co tydzień. Z reguły kobiety spotykają się w prywatnych domach. Gospodyni zamawia catering albo prosi służące o przygotowanie kolacji dla całej grupy. Dzisiejsze zebranie odbywa się jednak w małej prywatnej szkole w dzielnicy Bauszar. Jadąc z centrum miasta, należy minąć po prawej stronie stadion imienia sułtana Kabusa, potem przy wydmach skręcić w prawo, przejechać obok eleganckiego osiedla zamieszkałego w większości przez obcokrajowców i na rondzie przy prywatnym szpitalu skręcić w lewo, w lokalną drogę. Widać z niej wyrastające tuż za miastem wysokie góry. Po kilkuset metrach dojeżdża się do małej, lokalnej szkoły.

Przed budynkiem zaparkowanych jest kilkanaście samochodów. W środku spotykamy około trzydziestu kobiet. Wszystkie są w czarnych abajach i hidżabach. Kierujemy się do sali lekcyjnej. Jest gorąco, bo jeden z klimatyzatorów nie działa. Kobiety siadają w kole. Widzę kilka znajomych twarzy. Są kobiety z Wielkiego Meczetu, dwie Filipinki oraz Tajka, która niedawno przeszła na islam. Jest też Rasza i Włoszka Hannan, którą poznałam w szkole szariatu.

Celem dzisiejszego spotkania jest próba znalezienia odpowiedzi na pytanie, jak skuteczniej rozpowszechnić wiedzę o islamie. Aziza, która pracuje w Ministerstwie Darowizn i Spraw Religijnych, rozpoczyna część oficjalną. Prosi, by kobiety zgłaszały postulaty. Młodsze uczestniczki spotkania z uśmiechem na twarzy roznoszą wodę i soki. Zaczyna jedna z Omanek.

– Poproszę o poradę, co mam mówić o islamie, jak pytają mnie znajomi – zwraca się do zebranych. – Znam wielu obcokrajowców i czasem nie wiem, jak odpowiadać na ich pytania. Czy mam mówić tylko o tym, o co pytają? Czy dodawać coś od siebie? Czy odpowiadać ogólnie, czy szczegółowo? Jest przecież wiele wyjątków od reguł, mam to wszystko tłumaczyć?

– Odpowiadaj na pytanie i czekaj na kolejne – donośnym głosem podsuwa Włoszka Hannan. – Nie tłumacz na siłę, nie wciskaj od razu wszystkich informacji. Jeśli będą zainteresowani, to dopytają.

Prosta i konkretna porada spotyka się z uznaniem. Kobiety proszą o kolejne pytania.

– Ja właściwie nie mam dzisiaj pytań, ale chciałam zgłosić postulat – zaczyna Tajka. – Nie ma książek o islamie w języku tajskim, a w Omanie pracuje mnóstwo kobiet z Tajlandii. Wydrukujmy dla nich przewodniki religijne.

– Oczywiście, to słuszny postulat. – Kiwa głową Aziza. – Wydrukujemy dla nich książki.

– A ja chciałabym mieć więcej lekcji arabskiego – zgłasza głośno Hannan. – Nie chcę podczas modlitw powtarzać Koranu jak papuga, bez zrozumienia. Nie zgadzam się na to. Dlatego proszę, by zorganizowano nam, obcokrajowcom, dodatkowe lekcje. Uważam również, że powinniśmy popularyzować wiedzę o Omanie. Pisać i mówić więcej na ten temat.

Wszystkie oczy kierują się w moją stronę.

– Oczywiście! Przecież siostra Anna z Polski już pisze książkę o Omanie – odpowiada Aziza.

– No tak, piszę, choć tak naprawdę chciałam zrobić o was film dokumentalny. Nie znalazłam jednak kobiet chętnych do wystąpienia przed kamerą. Uważam, że jeśli chcecie, żeby mówiono o waszej działalności, to musicie w końcu odważyć się na taki występ.

– Tak, tak, pomyślimy o tym. Pomyślimy też o dodatkowych lekcjach języka arabskiego – podsumowuje Aziza.

Podczas przerwy przysiada się do mnie Hannan.

– Jak twój arabski? – pyta. – Mój cały czas bardzo słabo. Trudno po sześćdziesiątce uczyć się nowego języka. Ale bardzo chciałabym skończyć tę szkołę i zacząć doktorat. A potem chciałabym uczyć Omanki w szkole szariatu języka angielskiego.

– Czyli chcesz tu zostać na dłużej? – dopytuję.

– Szajch wczoraj mnie pytał, czego brakuje mi w życiu – kontynuuje Hannan. – Powiedziałam, że nie potrzebuję bogactwa, tylko bezpieczeństwa i być może kogoś, kto będzie mnie kochał. Uśmiechnął się. Powiedział, że chciałby, abym poznała jego matkę i najbliższą rodzinę. On ma trzydzieści siedem lat. Wszystko może się zdarzyć. Oni muszą dbać o kobiety, również o te starsze, chore i samotne. Inaczej nikt się nimi nie zajmie. Ale ja wcale nie jestem pewna, czy bym to zaakceptowała. Ślubu z litości nie chcę. Pochodzę spod Mediolanu. Moje dzieciństwo nie było beztroskie i szczęśliwe. Byłam jedynym dzieckiem moich rodziców. Urodziłam się po wojnie. Mój ojciec miał wtedy pięćdziesiąt lat, a mama czterdzieści jeden. Gdy skończyłam dziewięć lat, moja mama zachorowała. Utraciła pamięć, więc mogę powiedzieć, że straciłam ją, gdy byłam dzieckiem. Wtedy babcia znalazła mi niańkę, która wychowywała mnie do piętnastego roku życia. Miałam dominującego i zazdrosnego ojca. Nie pozwalał mi robić tego, o czym marzyłam. Bardzo ingerował w moje życie. Gdy wracałam później, niż mi nakazał, to dostawałam od niego w twarz. Ale kochał mnie bardzo. Zmarł trzydzieści lat temu. – Po policzkach Hannan spływają pojedyncze łzy. – Nie chcę wracać do Włoch. Nikogo tam nie mam. Ale nie chcę też litości.

– Koniec przerwy! – ogłasza Aziza. – Chciałabym teraz zwrócić się do jednej z kobiet, która jest dzisiaj z nami. Słyszałam, że chcesz przyjąć islam, czy tak? – pyta Filipinkę, która przyszła na spotkanie ze swoją madame.

Filipinka nieśmiało przytakuje. Pałeczkę szybko przejmuje córka Wielkiego Muftiego.

– Pamiętaj, że jeśli się zdecydujesz, nie będzie odwrotu – mówi do dziewczyny. – Musisz być całkowicie pewna. Ale to bardzo dobra decyzja. Bóg ci przekazuje dar wiary. Musisz bardzo kochać Boga i Jezusa. Po przejściu na islam jesteś jak nowo narodzone dziecko, jak niemowlę. Wszystkie grzechy zostają z ciebie zmyte. Jesteś jak czysta kartka, zaczynasz życie od nowa. Nie martw się, że nie potrafisz się modlić, my cię wszystkiego będziemy uczyć, tak jak uczy się małe dziecko, które dopiero zaczyna życie.

Filipinka kiwa głową na znak, że chce wypowiedzieć słowa szahady. Kobiety szybko zarzucają jej na głowę czarną chustę. Córka Wielkiego Muftiego chwyta kobietę za rękę i każe powtarzać tekst wyznania wiary. Na koniec dodaje: „Zaświadczam, że Jezus nie jest synem Boga, tylko

prorokiem”. Filipinka powtarza wszystko słowo w słowo. Widać, że jest wzruszona. Na koniec z każdej strony rozlega się głośne *Allahu Akbar*. Wyznanie wiary wywołuje w kobietach wzruszenie, łączy szczęścia i prawdziwe uniesienie. Jedna z nich niemalże wpada w trans, krzycząc ze łzami w oczach *Allahu Akbar*. Kobiety ściskają radośnie nową muzułmankę. *Allahu Akbar* słychać jeszcze długo.

Córka Wielkiego Muftiego nagle zwraca się do mnie:

– Bardzo dużo ludzi z Zachodu przechodzi na naszą wiarę. To są złote czasy islamu – stwierdza. – Widzimy to po ludziach, którzy tu przyjeżdżają i odnajdują się w naszej religii. Uważamy, że to jest czas, o którym mówił prorok. On zapowiadał, że przyjdzie taki moment, gdy ludzie wrócą i zobaczą prawdziwą drogę islamu. Nasza religia rozprzestrzenia się wszędzie, na całym świecie. Szerzenie jej, czyli da’wa, to nasz obowiązek. Mamy innych zapraszać do islamu. Doświadczyli tego na przykład Amerykaninie, którzy żyli w bazach w Arabii Saudyjskiej. Wielu z nich wraz z rodzinami przeszło na islam. Bóg powiedział: „Jeśli nawrócicie na islam choćby jedną osobę, to liczy się to bardziej niż dobre czyny całego waszego życia”. Dlatego jesteśmy teraz takie szczęśliwe. Jeśli tylko będziesz miała jakieś pytania, przychodź do nas. Zawsze mówimy: „Jeśli czegoś nie wiesz, pytaj mądrych ludzi”. Oczywiście największą wiedzę na temat islamu ma w kraju muzułmańskim Wielki Mufti. Dlatego mój ojciec jest bardzo zajęтым człowiekiem. Ludzie przychodzą do niego, gdy mają problem i nie wiedzą, jak go rozwiązać, na przykład, gdy chcą się rozwieść albo nie zgadzają się z podziałem majątku. On im doradza. Ale też daje wykłady, publikuje książki, no i przede wszystkim ściśle współpracuje z dworem sułtana, który go powołał na to stanowisko.

– Mufti powinien też mieć rodzinę, tak jak każdy inny muzułmanin – włącza się do rozmowy Aziza z Ministerstwa Darowizn i Spraw Religijnych. – Im rodzina jest liczniejsza, tym lepiej. Większość proroków też miała normalne rodziny i wiodła zwykłe życie – tłumaczy. – Bo Allah stworzył człowieka jako istotę społeczną, która potrzebuje bliskich mu osób. Powiększanie rodziny to obowiązek każdego muzułmanina. Ja sama mam trzynaścioro rodzeństwa. U nas rodzina to nie tylko żona, mąż i dzieci. To także wszyscy wujkowie, ciotki i ich rodziny. Żyjemy razem. To, że wasi księża wiodą samotne życie, wydaje mi się niepojęte.

– To papież nie może żyć ze swoją rodziną? – dziwi się Rasza.

– Papież nie może mieć żony i dzieci – odpowiadam. – I nie mieszka z nikim ze swoich bliskich. Mieszka w Watykanie, tak samo jak księża mieszkają przy kościołach, a nie w rodzinnym domu.

– O, to bardzo dziwne. – Oczy Raszy robią się większe niż zwykle. – W takim razie księżom musi być smutno – dodaje po chwili w zamyśleniu, ale zaraz się rozpogadza. – A teraz posłuchajmy, jak pięknie recytuje Koran siostra Sakina.

Młoda kobieta pochyla się nad księgą i zaczyna śpiewać surę 13 pod tytułem „Grzmot”, aje 28 i 29. Jej głos jest niski i donośny. Sakina jest skupiona i jakby trochę nieobecna. Pozostałe kobiety pochylają głowy, niektóre zamykają oczy. Melodia jest jednostajna.

*Ci, którzy uwierzyli
i których serca się uspokajają przez wspomnienie Boga
o tak! Przez wspomnienie Boga
uspokajają się ich serca!
i ci, którzy uwierzyli i czynili dobre dzieła
– tych wszystkich czeka szczęśliwość
i piękne miejsce powrotu!*

Po kilku minutach Sakina kończy.

– I co? Co czułaś? – pytają mnie kobiety. – Bo wiesz, wcale nie trzeba rozumieć słów, żeby ich przekaz do ciebie dotarł.

Melodia rzeczywiście przyjemnie kołysze i uspokaja. Ale jeśli słucha się jej przez dłuższy czas, może też wywołać senność. Może to tak jak z medytacją. Niektórzy poddają się jej od razu, a inni muszą długo ćwiczyć, by cokolwiek poczuć.

– Będziemy się za ciebie modlić, sostro Anno. *In sha Allah*, wkrótce znajdziesz właściwą drogę. Jak już przejdiesz na islam, przyjmij imię Nur. To słowo oznacza światło, a twoja twarz jest promienna, pełna światła. I koniecznie daj nam znać, kiedy to się stanie.



Ubrana w czarną abaję i chustę na głowie stukam do wielkiej metalowej bramy hostelu. Jest tak gorąco, że ledwie wyszłam z samochodu, a już

czuję, jak pot płynie mi po plecach. Po drugiej stronie słyszę powolne człapanie. Brodaty starzec lekko uchyla wrota i pyta, do kogo przyszedłam.

– *Salam alejkum*, przychodzę do Lei – odpowiadam.

Brama się otwiera. Wchodzę na małe betonowe podwórze. Mężczyzna ręką pokazuje wejście do budynku. Otwiera je wielkim kluczem, a gdy tylko przekraczam próg, zatrzaskuje za mną drzwi i przekręca klucz w zamku. Jestem w ciasnym korytarzu oświetlonym jarzeniówką, przede mną kolejne drzwi. Tym razem otwiera kobieta, menedżerka hostelu. Zapisuje moje imię i nazwisko oraz informację, do kogo idę. Dzwoni po Leę.

– O, dobrze, że już jesteś – cieszy się na mój widok Lea. – Dziękuję, że przyjechałaś.

Wchodzimy po schodach na trzecie piętro. Apartament Lei to dwudziestometrowa klitka z malutką łazienką, wiatrakiem mielącym gorące, wilgotne powietrze i dużą lampą jarzeniową zwisającą z sufitu. Na środku pokoju stoi spakowana waliza Louis Vuitton i kilka mniejszych toreb.

– Muszę odpocząć, pooddychać świeżym powietrzem, zmienić otoczenie, bo nie będę miała siły przeżyć ramadanu tak, jak powinnam – tłumaczy ściszym głosem Lea.

Chwytny na spólkę walizkę oraz torby i schodzimy na parter. Menedżerka wymeldowuje Leę, a następnie otwiera pierwsze z drzwi.

– Muszą nas tak pilnować. Kiedyś zdarzyło się, że dziewczyny wyszły z hostelu bez wiedzy menedżerek i ich rodziny miały potem o to duże pretensje.

Dzwonimy do kolejnych drzwi. Ten sam starszy mężczyzna otwiera je dużym kluczem, po czym szybko zamyka. Od świata zewnętrznego dzieli nas już tylko wielka metalowa brama. Stróż poważnym głosem pyta Leę, gdzie spędzi ostatnie kilka dni przed ramadanem.

– Jeszcze nie zdecydowałam – odpowiada mu moja towarzyszka.

Stróż kręci głową bezradnie, ale otwiera bramę. Jesteśmy na zewnątrz. Lea pakuje rzeczy do bagażnika.

– To dokąd jedziemy? – pytam.

– Ajat – mówi z francuska Lea.

Domyślałam się, że chodzi o Hyatt. Duży, pięciogwiazdkowy hotel, położony przy zadbanej plaży w centrum miasta.

– Do hotelu, tak? – upewniam się.

– Tak, poproszę – odpowiada Lea. – I bardzo ci dziękuję, że przyjechałaś. Nie chciałam zamawiać taksówki, bo oni zaraz dowiedzieliby się od kierowcy, dokąd mnie zawiózł. A ja potrzebuję chwili dla siebie. Nie chcę, by wiedzieli, gdzie jestem. Muszę odsapnąć, побыć sama w ładnym miejscu. Ten hostel mnie przygnębia.

Podjeżdżamy pod hotel Hyatt. Wokół rozciągają się równo przyszczyżone trawniki i rosną palmy. Widać, że Lea zna to miejsce. Pewnym krokiem kieruje się do recepcji, a ja podążam tuż za nią.

– Zanim przeszłam na islam, byłam kilka razy w tym hotelu. Kąpałam się tu w bikini w basenie, a teraz wchodzę zakryta hidżabem – śmieje się.

Hotelowy boy pomaga nam z walizkami. Lea wprowadza się do przestronnego pokoju z widokiem na basen i Zatokę Omańską. Gdy zamyka za boyem drzwi, oddycha głęboko.

– Tego mi brakowało. Odrobiny luksusu. Teraz mam tydzień dla siebie.

Po chwili jemy lunch w hotelowej restauracji. Dwie Europejki w czarnych abajach. Ja zdjęłam już chustę z głowy, Lea pozostaje szczelnie owinięta.

– Nie będę się tu rozbierać – mówi. – Jestem muzułmanką i nawet ten basen mnie już nie kusi. Choć jeśli będę chciała, kupię strój kąpielowy dla muzułmanek. To taka sukienka z kapturem.

– Czy szajch z meczetu, o którym ostatnio mówiłaś, wie, gdzie jesteś?

– Ah, szajch. – Lea poważnieje. – Powiem ci prawdę. Zaprosił mnie niedawno do swojego domu. Bardzo się ucieszyłam. Myślałam, że ma wobec mnie poważne zamiary i że spotkam się z jego rodziną. Przyjechał po mnie i zawiózł mnie do domu, ale innego. Bez żony i rodziców. Zjedliśmy kolację, a potem chciał ode mnie czegoś więcej. Chciał mnie wykorzystać. Okazał się zwykłym dupkiem, takim jak większość facetów.

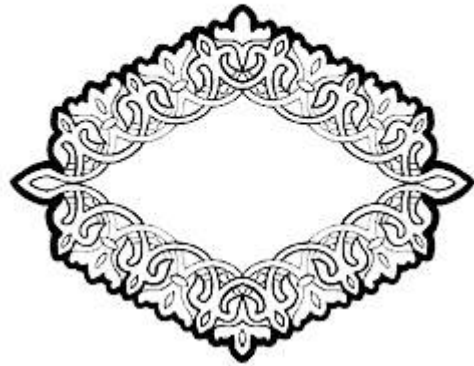
– Przykro mi.

– Jednak cały czas wierzę, że znajdę takiego, który jest bez skazy...



Rok później, kiedy odwiedzam Maskat, spotykam Hannan. Jest na drugim roku studiów w szkole szariatu. Martwi się, co będzie, gdy skończy edukację. Do tej pory żaden mężczyzna się jej nie oświadczył, więc po ukończeniu studiów nie dostanie kolejnej wizy i będzie musiała opuścić

Oman. Gdy pytam o Leę, dowiaduję się, że rok temu, w czerwcu, kilka dni przed rozpoczęciem ramadanu opuściła hostel i już do niego nie wróciła. Ulotniła się jak kamfora. Nie wróciła też do szkoły szariatu. Nikt nie wie, dokąd wyjechała. Nikt też nie słyszał, że na jakiś czas zatrzymała się w hotelu Hyatt.



HASINA

Wszystko zostaje w rodzinie

Omańska halwa jest przysmakiem wszystkich dzieciaków w wiosce Idha. Dlatego ktoś, kto potrafi ją przygotować, cieszy się tu poważaniem. Stary Amin najpierw wsypuje cukier do wielkiego, okrągłego naczynia. Potem stawia naczynie na ogniu i topi cukier do czasu, aż stanie się brązowy. Dorzuca mąkę kukurydzianą, szafran, odrobinę kardamonu i miesza przynajmniej godzinę. Amin do swojej halwy dodaje też daktyle. Potem przekłada masę do mniejszych misek. Za każdym razem, gdy mężczyzna robi halwę, dzieciaki zlatują się na jego podwórko, żeby obserwować, jak powstaje ich przysmak. No i żeby uszczknąć choć trochę słodczy z tego, co zostanie na ściankach naczynia. Wśród nich jest mała Hasina, córka wielkiego wodza plemienia Al-Bataszi.

Hasina ma około siedmiu lat, wielkie czarne oczy i związane z tyłu długie ciemne włosy. Nosi kolorową tunikę do kolan i luźne spodnie z tego samego materiału co tunika.

– Hasina, do domu! – woła dziewczynkę zza muru młoda kobieta.

Hasina nie ma ochoty wracać. Czeka na resztki świeżej halwy, które zawsze najlepiej smakują. Młoda kobieta, która przyszła zabrać dziewczynkę do domu, cierpliwie czeka na nią za murem. Jest trzecią żoną ojca Hasiny. Ma piękny uśmiech, duże ciemne oczy i pełne usta. Niedawno skończyła szesnaście lat, nie ma jeszcze swoich dzieci, więc opiekuje się dziećmi starszej żony wodza. Szczególnie lubi spędzać czas z kilka lat młodszą od siebie Hasiną. Może dlatego, że sama jeszcze jest bardzo młoda, a w domu męża czuje się samotna? Być może Hasina przypomina jej siostrę? Szesnastolatka ma wszystko to, czego brakuje matce Hasiny. Jest cierpliwa, uśmiechnięta i czuła.

Wioska, w której mieszkają, leży pośród gór. To zaledwie kilka domów i dwa małe meczety, z których pięć razy dziennie słychać nawoływanie do modlitwy. Po wąskich kamiennych uliczkach od czasu do czasu

przechadzają się kozy, które zeszły z górskich szczytów w poszukiwaniu czegoś do jedzenia. Za wysokimi murami domów i podwórek słychać gwar dzieciaków.

Hasina z opiekunką wracają pośpiesznie do domu. Po przekroczeniu wielkiej, drewnianej, rzeźbionej bramy domostwa trzeba być cicho. Do ojca Hasiny znowu ustawiła się kolejka ludzi, którzy przyszli po poradę. Zjeżdżają do niego z całej okolicy, a nawet z odległego Kurajjat, miasteczka na północnym wschodzie Omanu, gdzie również mieszkają Al-Bataszi. To plemię pochodzące z Jemenu, potomkowie starego plemienia Azd. Cieszą się autorytetem wśród Arabów. Większość Al-Bataszi mieszka w Wadi Tajin. Spośród nich najważniejszą osobą jest Saif Ibn Hamud al-Bataszi – ojciec Hasiny. Uczony w wierze, urzędnik i wódz.

Saif Ibn Hamud al-Bataszi nosi siwą brodę na długość męskiej pięści i okulary z grubymi szklami. Gości przyjmuje w swoim madżlisie, dużym pomieszczeniu położonym z boku domu, tak by interesanci nie przeszkadzali domownikom w codziennym życiu. Hamuda cenią i mężczyźni, i kobiety – bo rozmawia z każdym. Czyta dużo książek, zna ważnych ludzi w Omanie, a nawet osobiście spotkał się z sułtanem Kabusem Ibn Sa'idem.

Dziś Hamud al-Bataszi udzielił ślubu, pogodził skłóconych sąsiadów, porozmawiał z ojcem chłopca, który nie miał ochoty przykładać się do nauki, a także udzielił porady matce i bratu dziewczyny, która niedawno wyszła za mąż i nie była dobrze traktowana w nowej rodzinie. Tym ostatnim obiecał, że przeprowadzi rodzinne mediacje pomiędzy ojcem i teściem dziewczyny.

Hasina po cichu skrada się do madżlisu, by podpatrzeć, kto dziś przyszedł do ojca. Przez szparę w drzwiach widzi kilku mężczyzn. Podobają jej się ich równo przystrzyżone brody i zapach perfum, który czuć nawet przez drzwi. Przypomina jej aromat kadzidła frankincense, jest jednak dużo słodszy. Dziewczynka lubi słuchać, jak mężczyźni dyskutują o ważnych sprawach. O nowej szkole, która ma powstać w sąsiedniej wiosce, o planach rozbudowy dróg, o remoncie meczetu. Imponuje jej wiedza ojca. Też chce się uczyć.

Ciszę przerywa krzyk matki, która woła dziewczynkę do pracy:

– Hasina, daktylę czekają!

Matka Hasiny nie mówi, tylko wydaje polecenia, przeważnie podniesionym głosem. Wprowadza to wśród domowników nerwową

atmosferę. Od czasu ślubu ojca Hasiny z trzecią żoną trudno o spokój w domu. Wszyscy czekają, aż Hamud zabierze dziewczynę do stolicy. Może wtedy matka trochę złagodnieje? Jedynie mała Hasina chciałaby, żeby jej nowa opiekunka została tu na zawsze. A najbardziej chciałaby wyjechać z ojcem i jego młodą żoną do Maskatu. Marzy o domu, w którym jest cisza i nikt nie każe jej przebierać daktyli.

Przy daktylach jest sporo do zrobienia. Jeszcze kilkanaście lat temu wszystkim zajmowali się niewolnicy. Teraz w gospodarstwie Hamuda uwijają się pracownicy z Bangladeszu. Robotnicy mają zajęcie przez okrągły rok. Zimą głównie nawadniają i pielęgnują ogród. Obcinają stare liście, wycinają chwasty. Dbają też o to, żeby na plantacji była odpowiednia liczba palm z kwiatostanami męskimi i tych z żeńskimi. Średnio na pięćdziesiąt osobników żeńskich należy posadzić jedno drzewo męskie. Bo drzewo żeńskie nie zwabi pszczoł, daje za to owoce. Jeśli pomiędzy żeńskimi drzewami będzie palma męska, to pszczoły zapylą w końcu wszystkie kwiaty. Palmy kwitną około stycznia. Potem, jak daktyle zaczynają się pojawiać na drzewach, trzeba je okryć siatką, żeby ptaki nie wydziobały cennych owoców. Od czerwca do sierpnia trwa zbiór. Robotnicy wspinają się na każde drzewo z osobna i obcinają dojrzałe owoce. Zebrane daktyle trzeba przebrać. Te pełnowartościowe suszy się od rana do popołudnia, w sumie około ośmiu godzin. Uszkodzone owoce trzeba suszyć mniej więcej przez tydzień, posłużą za karmę dla zwierząt. Potem wszystkie kobiety i dzieci siadają i obrywają szypułki. Hasina nie lubi tej pracy. Nie znosi, kiedy jej ręce kleją się od owocowej mazi. A na bawełnianych płachtach rozłożonych na podwórzu są stosy daktyli. Hasina spędza przy nich całe lato. Obrywając szypułki marzy o dalekich podróżach, przeprowadzce do stolicy i o przystojnym mężu, którego nie będzie musiała dzielić z innymi kobietami.



Hasinę poznaję dwadzieścia cztery lata później w Wielkim Meczezie, podczas jej wizyty w Maskacie. Do stolicy przyjeżdża prosto ze swojej małej wioski położonej pośród gór, sto dwadzieścia kilometrów na południe od stolicy kraju. Marzy o tym, żeby przekazywać wiedzę o islamie turystom odwiedzającym świątynię. Na razie tak jak i ja przychodzi do Centrum

Informacji o Islamie i przypatruje się pracy tutejszych wolontariuszek. Jej przenikliwe spojrzenie, donośny głos i pewność siebie powodują, że wyróżnia się na tle innych kobiet. Hasina jest szczelnie zakryta hidżabem i nosi obszerną abaję, tak, by nie było widać jej figury. Ma gęste, niedepilowane brwi i nie nosi makijażu. Według Hasiny malowanie się i regulowanie brwi mogłyby jej tylko przysporzyć kłopotów. Prorok powiedział przecież, że kobieta, która nadmiernie dba o swój wygląd za życia, po śmierci będzie musiała sto lat czekać na wejście do raju. Hasina nie widzi więc sensu, by to robić. Jej imię oznacza „piękno”, i choć Hasina nie uznaje piękna zewnętrznego, to każdego dnia stara się być piękna. Piękna wewnątrz, bo dla niej ważne jest tylko to, co wypływa ze środka.

Pewnego dnia Hasina podchodzi do mnie i pyta, z jakiego kraju pochodzę.

– Przyjechałam z Polski. Wiesz, gdzie to jest?

– Gdzieś w Europie?

– Tak.

– O, to musi być u was bardzo zimno – stwierdza.

I tu następuje seria pytań: „Jesteś z rodziną?”, „Masz dzieci?”, „Co tu robisz?”, „Kim jesteś z zawodu?”, „Jesteś muzułmanką?”, „Byłaś kiedyś na omańskim weselu?”...

Tak też rozpoczyna się nasza znajomość, która trwa do dziś.

Podczas naszych spotkań w meczecie Hasina lubi opowiadać o sobie i swoim kraju. Za każdym razem szybko przechodzi do rzeczy. Czasem powtarza to, co mówiła wcześniej, jakby chciała sprawdzić, czy pamiętam. To krótkie, głośno wypowiedane zdania. Często odwołuje się do mądrości proroka Mahometa. Skrupulatnie wypełnia nakazy Boże zapisane w świętej księdze tysiąc pięćset lat temu. Jednocześnie jest ciekawa świata zachodniego, zaczepna i odważna. Pełna sprzeczności.

Po krótkim czasie od naszego pierwszego spotkania dowiaduję się, że Hasina nie może zostać dłużej w Maskacie. Matka nakazuje jej wrócić do rodzinnej wioski. Hasina opuszcza stolicę, a ja obawiam się, że stracimy kontakt na zawsze, ale pewnego dnia dzwoni i zaprasza mnie do swojego rodzinnego domu. Koniecznie następnego dnia. Szybko organizuję sobie czas, a na spotkanie zabieram Sarę, córkę Polki, która w latach siedemdziesiątych wyszła za Omańczyka i którą poznałam kilka miesięcy wcześniej.



Dojeżdżamy do rejonu Al-Szarkija, szukamy Wadi Tajin i małej wioski o nazwie Idha, położonej wśród gór. Otaczają nas skaliste szczyty w kolorze wyblakłej od słońca żółci, szarości i czerwieni. Ze znaków przy drodze znikają angielskie tłumaczenia. Domy są tu mniejsze i uboższe niż w stolicy. Mijamy tablicę z nazwą wsi. Wypatrujemy małego meczetu po prawej stronie drogi. Zaraz za nim powinniśmy skręcić w lewo, zatrzymać się przy pobliskich zabudowaniach i zadzwonić do Hasiny. Tak też robimy.

Omańscy żyjący poza stolicą są bardziej przywiązani do tradycji niż ci z miasta, dlatego założyłam dziś długie spodnie i luźną, zakrywającą biodra bluzkę. Wsiadając z samochodu, zawiązuję chustkę na głowie. Nie muszę tego robić, ale chcę. Z szacunku dla Hasiny i jej rodziny. Poza tym chustka przydaje się, kiedy kobieta nie chce rzucać się w oczy, albo po prostu chroni się przed palącym słońcem.

Po chwili Hasina wita nas szerokim uśmiechem. Jest ubrana w tradycyjny omański strój, obszerną tunikę sięgającą za kolana i pumpy zwężające się ku dołowi. Jasnoniebieska tunika połyskuje cekinami. Na dole jest wykończona fioletowo-złotą szarfą. Czerwono-złote spodnie są przeszyte srebrno-niebieskimi taśmami. Nasza znajoma wygląda wprost obłędnie – kolorowo, wesoło, dużo młodziej niż w czarnej abai, którą nosiła w Maskacie. Hasina w srebrnych klapkach na obcasie prowadzi nas po stromych kamiennych schodach. Idziemy wąską uliczką między wysokimi murami domów, przechodzimy obok klatki na gołębie, przez podwórko pełne dzieciaków i wznoszącego się kurzu, i znowu podążamy wąską uliczką pomiędzy murami. W końcu docieramy do starej, drewnianej, rzeźbionej bramy. Nasza gospodyni zamaszystym ruchem otwiera ciężkie wrota do podwórza. Pośrodku placu rośnie wielkie drzewo mango i kilka bananowców. Podwórze jest ciche i puste, jakby nikt tu nie mieszkał. Wchodzimy do domu przestronnym korytarzem wyłożonym bordową wykładziną. Mijamy duży plazmowy telewizor zawieszony na ścianie. Pomieszczenie jest czymś w rodzaju przedpokoju, a zarazem salonu. Po chwili schodzą się domownicy. Mimo że w budynku nie ma żadnych mężczyzn, kobiety przez cały czas mają na głowie chusty. W środku panuje miły chłód. Choć to grudzień, włączona jest klimatyzacja, bo na zewnątrz

wciąż jest gorąco, niespełna trzydzieści stopni. Ochłodzi się dopiero nocą, ale nieznacznie.

Kobiety zapraszają nas do pokoju, w którym stoi duża szafa z lustrem i mała plastikowa szafka z szufladami. Na podłodze rozłożony jest dywan, a wysoko nad nim znajduje się przykręcony do sufitu wiatrak. Ze ścian wystają lampy jarzeniowe, w rogu wiszą wysłużony klimatyzator, zegar i poźółkłe kartki z wymalowanymi wersetami Koranu. W bogatszych domach aje wiszą na ścianach jak malowidła, umieszczone w rzeźbionych ramach za szkłem, albo wygrawerowane na cennych metalowych tabliczkach. Cytaty mają przypominać domownikom o sensie życia, o miłości, pokoju i o tym, jak wielki i ważny jest Bóg. Widok za oknem zasłaniają kraty i firany, które chronią zarazem przed rażącym słońcem. Gdy pytam Hasinę, po co im kraty, czego się obawiają, nie potrafi odpowiedzieć. Nigdy się nad tym nie zastanawiała.

– Tak budowano kiedyś i już. Ale tu jest bezpiecznie. Nie ma się czego bać – mówi.

Na podłodze ląduje cerata. Kobiety przynoszą wodę i talerze z jedzeniem. Na ceracie ustawiają garnek z tradycyjną zupą z suszonego na słońcu mięsa byka. Jada się ją w czasie świąt Id al-Fitr pod koniec ramadanu. Zupa nazywa się marak laham. Podanie jej poza świątami świadczy o szacunku, jakim gospodarz darzy swoich gości. Pytam o przepis.

– Najpierw gotujesz suszone kawałki mięsa i kości byka razem z solą i czosnkiem – opowiada bratowa Hasiny. – Dodajesz przyprawy: kardamon, goździki, curry, kurkumę, kumin, chili i łaskę cynamonu, a także suszone cytryny i trochę pasty pomidorowej. Smażysz cebulę, ziemniaki, bakłażan i zieloną paprykę. Dorzucasz to wszystko do zupy i gotowe.

Na ceracie pojawiają się też dwa pieczone kurczaki, ryż, sałatki, chleb, sok i woda.

W pokoju zostaje Hasina, reszta kobiet wychodzi. Hasina zachęca nas do jedzenia, ale sama niczego nie rusza. Goście zawsze jedzą pierwsi, potem mężczyźni, po nich kobiety, a na końcu dzieci.

– Mam nadzieję, że wam zasmakuje. Nie wstydź się! Jedz dużo – namawia Hasina i zastanawia się, czy wszystko nam odpowiada.

Reszta kobiet zje po nas, już w kuchni.

Hasina nigdy nie wyjechała na dłużej z rodzinnej wioski. Mieszka tu z matką, trzema siostrami, bratową i jej dwiema córkami. Najbliższa relacja

łączy ją z bratową o imieniu Zamzam. Imię bratowej jest jednocześnie nazwą cudownego źródła, którego wody, według wyznawców islamu, ocaliły życie drugiej żony Abrahama, Hagar, i jej syna Izmaela. Zamzam pracuje jako pielęgniarka w pobliskim szpitalu. Kiedy wychodzi do pracy, Hasina opiekuje się jej córkami, trzyletnią Jumną i czteroletnią Butainą. Dom należy też do dwóch braci Hasiny, ale oni odwiedzają go tylko w weekendy, bo na co dzień pracują w stolicy.

– Mężczyźni wyjechali, praca jest teraz głównie w Maskacie. A my wszystkie zostałyśmy – tłumaczy Hasina. – Zajmujemy się ich dziećmi.

Choć w domu są dzieci, nie widzę zabawek.

– W islamie tylko raz świętuje się urodziny dziecka, jak ma ono rok – tłumaczy Hasina. – Wtedy daje mu się prezenty. Potem już nie ma takiej potrzeby. Czasem można dziecku kupić zabawki, ale głównie edukacyjne. Takie, które będą rozwijać. W przeszłości nie było zabawek, więc teraz też nie trzeba dawać. Nie wolno rozpieszczać dzieci.

Dzieci bawią się tym, co znajdują wokół siebie, czyli patykami, garnkami, starymi oponami. Chłopcy grają w piłkę, berka, bawią się w chowanego. Dziewczynki bawią się w dom albo szkołę i pomagają przy młodszym rodzeństwie. Dorośli nie poświęcają im wiele czasu. Pytam Hasinę o jej nagły powrót do domu.

– Chciałam być wolontariuszką w Wielkim Meczecie, ale żeby utrzymać się w stolicy, musiałabym mieć jakąś dodatkową pracę. Wtedy zamieszkałabym w hostelu w pobliżu meczetu i miałabym blisko do świątyni.

– Czy musiałabyś dostać zgodę brata, aby pójść do pracy? – pytam.

– Tak, ale on nie ma nic przeciwko. Napisze mi zgodę, jeśli go poproszę. Większość ludzi z naszej wsi mieszka w Maskacie. Jeżdżę tam, jak jest jakiś ślub albo jak komuś z rodziny urodzi się dziecko, albo jak ktoś jest w szpitalu.

Rozmowę przerywa matka Hasiny. Ma ponad siedemdziesiąt lat i jest wyjątkowo dziarską kobietą. Widać, że to ona teraz rządzi w rodzinie. Na jej twarzy wyryło się życiowe doświadczenie, dziesiątka dzieci, trzecie małżeństwo męża i w końcu jego śmierć. Jest harda i butna. Typowa góralka. Matka wypytuje Sarę, z jakiego jest plemienia, kto jest jej mężem, czy jest pierwszą, czy drugą żoną. Po krótkiej wymianie informacji matka wychodzi, a Hasina zaczyna opowiadać o swoim ojcu.

– Mój tata umarł w tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym dziewiątym roku. Miałam wtedy siedemnaście lat. Ostatnie lata swego życia ojciec mieszkał z nami. To był dobry czas. W sumie ojciec miał trzy żony. Pierwsza dała mu tylko córkę, która teraz ma czterdzieści pięć lat. Potem ożenił się z moją mamą. Przez kilka lat mieszkali wszyscy razem w tym domu. Potem tata rozwiódł się z pierwszą żoną. Chyba ciężko było jej wytrzymać z moją mamą. W latach osiemdziesiątych ojciec wziął sobie trzecią żonę. Nie wiem, co na to mama. Nie rozmawiałyśmy o tym. Ona wszystko trzyma w sobie, nie żali się nikomu. Za to potrafi wyładować swoją złość na innych. Drze się, rozkazuje, ciężko z nią czasem wytrzymać. Mój ojciec potrzebował kolejnej żony, bo pracował w Maskacie, a moja mama zajmowała się naszym wychowaniem i nie mogła się z nim przeprowadzić do stolicy. Trzecia żona miała dbać o ojca w mieście. Pamiętam, że była dla mnie dobra. Ojciec żył z nią pięć lat, potem ona zmarła. Na stare lata ojciec wrócił do domu.

Kiedy Hasina wychodzi na chwilę z pokoju, Sara zwraca się do mnie po polsku:

– One zawsze przy Europejkach aprobują to, że mężczyzna bierze kolejną żonę. Mówią, że potrzebuje jej, by się nim opiekowała albo żeby urodziła następne dziecko. Ale tak naprawdę myślą co innego. To jest hipokryzja. Arabki uczy się, aby ukazywały religię w dobrym świetle. Bo islam ma dużo czarnego PR w świecie. Dlatego musimy robić wszystko, żeby pokazać go z najlepszej strony.

– Jak będę brała kiedyś ślub, to zaproszę cię tu na wesele – oznajmia Hasina, wróciwszy do pokoju. – Marzę o białej sukni z długim welonem, *in sha Allah*, jak Bóg da. W zeszłym roku miałam dwie propozycje, ale chcieli, żebym została drugą żoną. Dlatego powiedziałam „nie”.

– Ale chciałabyś wyjść za mąż? – pytam.

– Tak, ale jako pierwsza żona. Najlepiej, żeby mężczyzna nie był bardzo bogaty, bo wtedy na pewno w przyszłości ożeni się ponownie. Jak nie będzie miał pieniędzy, to jest mniejsze prawdopodobieństwo, bo nie będzie go stać na kolejne kobiety. Miałam już propozycję zostania pierwszą żoną, ale ją odrzuciłam. Pan młody nie był z mojej kabili. A ja chcę męża z Al-Bataszi. To silne, bardzo waleczne plemię.

– A nie przeszkadza ci, że mężczyźni z twojego plemienia to twoi kuzyni? – pytam.

– Nie. Mnie na przykład dziwi, że można związać się z kimś spoza rodziny czy własnej kabili. Przecież nigdy nie wiadomo, na kogo się trafi. Za to małżeństwo kuzynów, nawet w pierwszej linii pokrewieństwa, jest bezpieczne dla obu stron. Majątek zostanie w rodzinie, a kobieta w nowym domu nie będzie się czuła obco. Będzie też mogła liczyć na wsparcie ojca i braci, mających silną pozycję w tej rodzinie.

– Ale co z dziećmi? – pytam.

– My tu wierzymy, że Bóg da nam zdrowe dzieci – tłumaczy Hasina. – Zresztą robimy badania genetyczne, zanim dojdzie do małżeństwa.

– Badania genetyczne w Dubaju i Katarze są obowiązkowe – tłumaczy Sara, siedząc przy ceracie zastawionej jedzeniem. Rozmawiamy po polsku, bo nasza gospodyni na chwilę wyszła. – Ja przed swoim ślubem robiłam badania na HIV, żółtaczkę, syfisy i inne choroby weneryczne. Nie byliśmy z mężem kuzynostwem, więc badania genetyczne nie były konieczne. W Omanie coraz częściej się je przeprowadza, zwłaszcza w stolicy. Ale nawet jeśli wyniki okażą się niepokojące, to młodzi i tak się żenią. Robią to, mimo że z medycznego punktu widzenia są przeciwwskazania. Ileż to razy moje znajome dowiadywały się, że ich dzieci prawdopodobnie będą chore na hemofilię albo anemię sierpowatą. Mówiły wtedy, że nie zamierzają rezygnować ze ślubu, bo Bóg da im zdrowe dzieci. Oni tu wszystko zwalają na Boga. Ten Bóg w arabskich krajach ma dużo pracy. Moja koleżanka z rodziny królewskiej zrobiła przed ślubem badania na wszystkie możliwe choroby. Wyszło im zagrożenie tylko jedną z nich. Lekarze uspokoili ją i przyszłego męża, że zachorowanie zdarza się tylko w jednym przypadku na milion, a więc bardzo rzadko. Urodził im się syn, i zachorował. To była kwasica proprionowa. Osoba, która ją ma, nie wytwarza pewnego enzymu, co uniemożliwia trawienie różnych składników. Niemowlę piło mleko i nie trawiło go. Już w pierwszym dniu życia jego mózg uległ uszkodzeniu, bo miał w sobie bardzo dużo amoniaku. Rodzice dziecka mieli mnóstwo pieniędzy, więc jeździli z synkiem po szpitalach na całym świecie, ale nic się nie dało zrobić. Wkrótce zmarł. –

Sara patrzy chwilę za okno. – Mimo tych ostrzeżeń nic się nie zmienia. Małżeństwa między kuzynami były, są i będą – kończy.

O chorobach genetycznych coraz częściej się mówi i pisze. W popularnym dzienniku „Times of Oman” możemy przeczytać: „Według danych Ministerstwa Zdrowia powszechna praktyka zawierania małżeństw między bliskimi krewnymi jest główną przyczyną wysokiego odsetka

zaburzeń genetycznych w kraju. Aż 24 procent omańskich małżeństw zawieranych jest między kuzynami w pierwszej linii pokrewieństwa, 11 procent to związki między osobami w drugiej linii pokrewieństwa, 22 procent to związki dalszych krewnych z tego samego plemienia. Aż 52 procent dzieci pochodzących z tych małżeństw umiera przed ukończeniem trzynastego roku życia. Najczęstsze choroby genetyczne przekazywane potomstwu to: hemofilia, zagrażająca życiu anemia sierpowata i fawizm, czyli mutacja genu G6 PD, która bardzo często prowadzi do żółtaczki”.

Wraca Hasina i kontynuuje temat własnego małżeństwa, który najwyraźniej często chodzi jej po głowie.

– Jeśli mój mąż chciałby mieć drugą żonę, to rozwiodłabym się z nim – mówi głośno i wyraźnie.

– A masz do tego prawo? – pytam.

– Tak! Zresztą dla mnie dzieci są ważniejsze niż mąż. Ja myślę głównie o dzieciach. Wszystkie moje koleżanki są już mężatkami. Muszę się śpieszyć. No jedzcie, jedzcie więcej.

– A ile chciałabyś mieć dzieci? – pytam.

– Dwoje, troje. Samych chłopców. U mnie w rodzinie rodzą się głównie dziewczynki, więc chciałabym chłopców.

– A jak możesz poznać mężczyznę? – dopytuję.

– Czasem widuję kuzynów na uroczystościach rodzinnych, zdarza się też, że któraś z kuzynek przedstawia mi swojego brata. Jeśli mi się ktoś spodoba i znam jego siostrę, to mogę iść do niej i powiedzieć, że podoba mi się jej brat. Nie mogę iść do mężczyzny bezpośrednio. Kobieta może sobie sama znaleźć odpowiadającego jej mężczyznę. Nie ma w tym nic złego, że to ona zaproponuje ślub. Tak zrobiła jedna z żon proroka.

– Podoba ci się jakiś mężczyzna?

– Nie, tylko ci w filmach – śmieje się głośno Hasina. – Choć jest jeden kuzyn, kilka lat młodszy ode mnie. Bardzo mi się podoba. Jest przystojny. Kiedyś jedna z kuzynek zwróciła mi nawet uwagę, żebym się tak na niego nie gapiła.

– No ale możesz go przecież poślubić!

– Nie, nie. On dla mnie jest jeszcze dzieckiem i w tym jest problem. Na imię ma Abdul, ma dwadzieścia dziewięć lat. Jeśli mogłabym, to bym za niego wyszła, ale on już ma żonę.

– Przecież może ożenić się po raz drugi.

– Jeśli mi się oświadczy, wyjdę za niego, zrobię to dla mojej matki. Ona chce się mnie już pozbyć z domu. Dawno skończyłam trzydzieści lat, a wciąż jestem na utrzymaniu rodziny. Najlepszy oczywiście byłby mężczyzna z mojej kabili, Bataszi. Bo gdybym poślubiła innego, to w razie problemów małżeńskich rodzina by mi wypominała: „Dlaczego nie wzięłaś Bataszi? Trzeba było nas słuchać, a teraz radź sobie sama ze swoimi problemami”.

Hasina z dumą tłumaczy, z czego słyną Al-Bataszi.

– To duże, silne i bardzo waleczne plemię. Od wielu lat mieszkamy w rejonie Al-Szarkija. Właśnie ze śródlądzia wywodzą się prawdziwi Bataszi.

– Tak, tak, zawsze byliście bardzo waleczni, wystąpiliście nawet przeciwko sułtanowi Kabusowi – wtrąca z sarkazmem Sara. – Druga część waszego plemienia mieszka w Kurajjat. To ludzie z wybrzeża. Wyglądają inaczej, mają ciemniejszą skórę. Wy ze śródlądzia uważacie, że jesteście lepsi, bardziej omańscy. Bo tamci dużo się mieszały z przyjezdnymi, z żeglarzami: z Afrykanami, Pakistańczykami, Irańczykami. A ludzie ze śródlądzia pozostali czyści. Tak się kłóciliście, że w końcu sułtan ogłosił, że wszyscy jesteście równi i oficjalnie już nie możecie się wywyższać.

– My wcale nie uważamy się za lepszych – oburza się Hasina. – Jesteśmy bardzo życzliwi, jesteśmy mili dla wszystkich.

– Być może, ale jeśli chodzi o rodzinę, o żeniączkę, to już nie jesteście tacy otwarci – sprzecza się Sara.

– No tak, to prawda, mimo że wszyscy są równi, to ze wszystkich omańskich kabili za męża najbardziej chciałabym Bataszi. Zjadłyście już? – pyta Hasina. – Teraz pokażę wam moje ulubione miejsce w domu.

Przechodzimy przez obszerny madżlis. Pod jego ścianami stoją wielkie kanapy. Dziś wszystkie są puste. Nie ma już wielkiego wodza Al-Bataszi, więc nikt nie przychodzi tu po poradę. Została tylko biblioteka ojca Hasiny. Kto by się spodziewał, że wysoko w górach, w małej wiosce, pośród kilku domów i dwóch meczetów znajduje się tak imponująca kolekcja książek? Jest tu cała historia Omanu, historia regionu i plemienia. Jest też mnóstwo tekstów o islamie. Wszystkie w języku arabskim. Hasina pokazuje nam zdjęcia taty w towarzystwie członków delegacji z Iranu i z kilku krajów afrykańskich. Zwraca też uwagę na półkę z książkami napisanymi przez ojca.

– *Baba* pisał o omańskich uczonych w wierze. O wszystkich, którzy tu żyli. To te trzy księgi. – Hasina ściąga opasłe woluminy w twardej oprawie ze złoconymi literami. – Ojciec szukał informacji w starych dokumentach, księgach i manuskryptach.

Książki wyglądają pięknie. Pismo arabskie jest jak starannie wykonany rysunek pełen zdobień, zawijasów i kropek. Czyta się je od prawej strony do lewej – oprócz liczb, bo te są czytane z lewej do prawej. Każdą z liter można czytać na kilka sposobów, w zależności od znacznika, który pojawia się nad nią, pod nią bądź obok. Dźwięki mogą być krótkie i rwane albo długie i płynne. Próbuję nauczyć się czytać, ale to niełatwa sztuka. Hasina pokazuje nam kolejną książkę.

– *Baba* jest też autorem książki *Pierwsza osoba, która...* Ojciec opisał w niej na przykład pierwszą osobę z Omanu, która okryła kiswą Al-Kaabę w Mekce. Kiswa to tkanina, którą okrywamy Al-Kaabę, czyli miejsce, gdzie archanioł Gabriel pozostawił na ziemi czarny kamień. To najświętsze miejsce islamu. W tej samej książce opowiedział również o pierwszym Omańczyku, który przyjął islam. Dla mnie chyba właśnie ta historia jest najpiękniejsza. Ojciec napisał też książkę o przywódcy duchowym ibadytów, czyli naszego odłamu islamu. Mój tata uwiecznił również historię naszej rodziny królewskiej, Al-Busaidi. To była jego ostatnia książka.

– Czy to znaczy, że twój ojciec poznał sułtana? – pytam.

– Tak, spotkał go tu, w naszym rejonie Al-Szarkija. Sułtan był na dorocznym objeździe kraju. Rozmawiał z wieloma ludźmi, również z moim ojcem.

Hasina podsuwa mi telefon i pokazuje zdjęcie ojca z sułtanem. Podają sobie ręce. Ojciec Hasiny stoi po lewej stronie. Jest postawnym mężczyzną z siwą brodą i mocno zaokrąglonym brzuchem. Stojący po prawej stronie sułtan przy ojcu Hasiny wygląda niepozornie, ale patrzy na Saifa Hamuda Al-Bataszego z powagą i spokojem.

– Co ojciec opowiadał o sułtanie? O czym z nim rozmawiał?

– To było dawno temu, w latach dziewięćdziesiątych. Nie pamiętam dokładnie. Ale z tego, co wiem, to prosił o pieniądze dla biednych. Dostał je i rozdał potrzebującym.

Widzę, że Sara jest zaskoczona okazałym zbiorem książek w domu Hasiny.

– W Omanie nie ma kultury czytania – mówi po cichu Sara. – W szkołach państwowych uczniowie czytają może jedną książkę na rok.

Szkoły międzynarodowe wymagają od uczniów nieco więcej. Kiedyś byłam w Niemczech na targach książki. Wyświetlali tam na ścianie wykres pokazujący, ile czyta się w poszczególnych krajach na świecie. No i byli na nim też Arabowie. Wyszło na to, że czytają najwyżej jedną książkę na rok. Mamy ubogą literaturę. A szkoda, bo nasz język jest bardzo poetycki, można by stworzyć z jego pomocą cudowną literaturę. Wielu Arabów przeczytało tylko Koran i Sunnę. To jedyne obowiązkowe lektury w omańskich szkołach.

– A ja bardzo lubię czytać – mówi Hasina. – Lubię przeglądać nawet prezentacje studentów, na przykład poświęcone dawnym cywilizacjom. Ostatnio też siostrzenica przyniosła mi dwunastotomową angielską encyklopedię. Przeczytałam wszystkie tomy.

Biblioteka w domu Hasiny jest imponująca i opuszczona jednocześnie.

– Dawno temu było tu pełno ludzi. Lubiałam ten gwar. Ojciec miał pod opieką jakieś trzy, cztery tysiące ludzi. Ciągłe ktoś do niego zaglądał.

– Przychodzili, jak na przykład kłócili się o jeden centymetr podczas podziału ziemi, i twój ojciec musiał takie rzeczy rozstrzygać – dodaje Sara z nieukrywanym sarkazmem. – Bo Bataszi walczyli o wszystko.

– *La, la, la, la*, nie, nie, nie, nie. Nie walczyli! – protestuje głośno Hasina. – Mój ojciec studiował prawo szariatu w Nizwie i zajmował się poważnymi sprawami.

– Jej ojciec był tak jak sołtys. Najmądrzejszy w całej wsi – kończy Sara.

Wychodzimy z biblioteki. Hasina zamyka drewniane drzwi i jeszcze raz zerka na zdjęcie taty z sułtanem. Mądry i kochający ojciec jest dla swojej córki gwarantem bezpiecznego życia. Dbą, by dobrze wyszła za mąż, i nie pozwala, by skrzywdził ją mąż. Gdy to ojciec negocjuje warunki ślubu, pannę młodą traktuje się z większym szacunkiem. W razie problemów w małżeństwie staje w jej obronie. Hasina nie zdążyła skorzystać z pomocy ojca.

Po wizycie w bibliotece gospodyni pokazuje nam okolicę. Wioska wygląda tak, jakby po otrzymaniu wezwania na front musieli opuścić ją wszyscy mężczyźni. Wokół same kobiety i dzieci. No i kilku robotników z Bangladeszu. Tak wygląda życie na prowincji, kobiety zostają tu same. Mężczyźni pracują w stolicy, gdzie czasem zakładają nowe rodziny, a do domu wracają tylko na weekend. Przechodzimy przez przydomowy ogród palmowy. Gdzieniedzie rosną drzewa mango i pomarańczy. Dają przyjemny cień. Przez środek ogrodu płynie afladź, który dostarcza

roślinom wodę. Wokół pachnie wsią, ale nie taką jak w Polsce. To zapach roślin gnijących w wilgotnym upale. Przy domach nie ma też zwierząt. Są w górach. To kozy, które w poszukiwaniu jedzenia wspinają się na pobliskie pagórki. Jakimś cudem każdy właściciel wie, które zwierzę należy do niego.

Hasina zabiera nas do lasu palmowego położonego po drugiej stronie ulicy. Plantacja jest dumą rodziny. Jak twierdzi Hasina, rosną na niej jedne z najlepszych omańskich daktyli.

– W Omanie mamy różne odmiany daktyli – tłumaczy Hasina. – Jedne owoce są żółte, inne czerwone i mogą mieć różne kształty. Niektóre są bardziej okrągłe, a inne płaskie i długie. Praca przy nich jest bardzo ciężka.

– Tak, tak, ciociu – wtrąca mała Butaina, która wybrała się z nami na spacer. – Pamiętam, jak mi kazałaś siedzieć nad tymi szypułkami. Zamiast się bawić, musieliśmy się wszyscy babrać w tych klejących daktylach.

– Bo to nasze zajęcie, nie marudź – strofuje ją Hasina.

Idziemy wąskimi ścieżkami pomiędzy drzewami i afladżami. Hasina jest pewna siebie i z dumą pokazuje rodzinną posiadłość.

– Mamy też daktyle niemal wielkości dłoni. Gotujemy je przez kilka godzin i jemy. Nazywają się mabsali. Moja matka bardzo dba o daktyle, bo można na nich dużo zarobić. Jej rodzice i dziadkowie też się zajmowali uprawą drzew daktylowych. Duży worek daktyli, taki jak na ryż, ważący około dziesięciu kilogramów, kosztuje mniej więcej dwadzieścia riali. Jak już robotnicy zniosą te daktyle do domu, to wszystkie kobiety i dzieci mają przy nich robotę.

– A mężczyźni nie? – pytam.

– Nasi mężczyźni są leniwi. Nie chce im się pracować. A pracy jest dużo, bo mamy około stu palm daktylowych. Z każdego drzewa co roku są trzy wielkie worki daktyli.

Mijamy cmentarz. To setki leżących tuż obok siebie kamieni. Żadnych tabliczek, żadnych napisów, ścieżek. Nic. Po prostu sterta ogrodzonych murem głazów.

– Nie lubię cmentarzy i pogrzebów – mówi Hasina, zauważając, że patrzę w stronę cmentarza. – Nie lubię widoku martwego ciała. Prorok powiedział, żeby nie chodzić na cmentarz, nie odwiedzać zmarłych. Na cmentarz można się udać tylko po to, żeby pomyśleć o sobie, że niedługo też się odejdzie z tego świata i że należy być lepszym człowiekiem.

– U nas jest dużo cmentarzy – wtrąca po arabsku matka Hasiny, która towarzyszy nam podczas spaceru. – Tu mężczyźni wciąż ze sobą walczyli, każda kabila z każdą inną. Byli gotowi się zabić a to za wielbłąda, a to za kilka daktyli. Kompletna głupota. I tak przez wieki.

– Nie mów tak, mammo, wcale tak nie było! – karci matkę Hasina.

– Jak nie było? Było! Tak właśnie było i nie mów mi, co mam mówić. Mogę mówić, co zechcę. Nasi mężczyźni są beznadziejni, a my przez nich cierpimy. Całe nasze życie to cierpienie.

Tego już gospodynie nie przekładają na angielski. Tłumaczy mi to potem Sara.

– Wierzę matce Hasiny. Wielokrotnie słyszałam o bezsensownych konfliktach między tutejszymi plemionami. Mężczyźni tłukli się o wszystko – dodaje Sara. – Dopiero nasz sułtan dogadał się z plemionami i wprowadził pokój. Hasina stara się przedstawić swoją historię w jak najbardziej pozytywny sposób. Bo tak wypada, tak polecił prorok. Ale przynajmniej jej matka mówi, jak jest.



Sara powiedziała mi kiedyś: „Jeśli chcesz umówić się z Arabem na spotkanie, zwłaszcza z takim, który mieszka na wsi, to nie umawiaj się na za tydzień, za miesiąc czy nawet za dwa dni. Umawiaj się na dzisiaj, nawet jeśli mieszka dwieście kilometrów od ciebie. Zadzwoń i oznajmij: «Jestem w pobliżu i chciałabym przyjść dzisiaj do ciebie. Chciałabym zjeść z tobą kolację». A jeśli chcesz, żeby ta osoba odwiedziła ciebie, to powiedz: «Jak będziesz w moim mieście, to zadzwoń». Bo jeśli powiesz jej, żeby zapowiedziała się dwa dni przed wizytą, to bądź pewna, że ona do ciebie nie przyjedzie. Skoro Arabowie nie planują, co będą robić jutro, to skąd mają wiedzieć, co będą robić pojutrze. Rezultat jest taki, że zwałają ci się nagle całą rodziną na kolację i musisz szybko kombinować, jak ich ugościć”.

Tak też było z Hasiną. Pewnego dnia dostaję od niej wiadomość: „Przyjechałam do miasta i możemy za chwilę się spotkać”. Świetnie, myślę. Miło będzie znów się zobaczyć. A że nie byłam przygotowana na wizytę, proponuję obiad w restauracji. Hasina się zgadza.

Zabieram ją spod meczetu zaraz po południowej modlitwie. Na powitanie wręcza mi wiadro daktyli. Będę nimi później obdzielać rodzinę i znajomych, którzy odwiedzą nas w Omanie. Tym razem Hasina ubrana jest zgodnie ze stołeczną modą, czyli w obszerną czarną abaję i jasną chustę. Jedziemy do popularnego Szati al-Kurum. To reprezentacyjna część miasta położona przy nadmorskim bulwarze. Krąży tu wielu zagranicznych biznesmenów i turystów. Przyjeżdżają na lunch i spacer. Bryza znad morza przyjemnie chłodzi. Jest zima, można więc usiąść na zewnątrz, przy bulwarze. Hasina trzyma się blisko mnie, nie patrzy w stronę mężczyzn, nieśmiało spuszcza wzrok. W restauracji widzę, że czuje się onieśmielona towarzystwem obcych.

– Wiesz, nigdy jeszcze nie byłam w restauracji. Ale podoba mi się – mówi nagle. – Chciałabym w końcu znaleźć tę pracę w Maskacie i pójść na studia. Mój ojciec zmarł, jak kończyłam liceum, i tylko dlatego zostałam w domu, z mamą i siostrami. Gdyby żył, na pewno dzisiaj miałabym wyższe wykształcenie. Mówiłam ci, że lubię czytać, ale nie powiedziałam, że uwielbiam też oglądać filmy. Nie tylko po arabsku. Lubię na przykład kanał Fox Movie. Lubię też serwisy informacyjne, oglądałam Al-Dżazirę, BBC i CNN. Interesuję się tym, co się dzieje na świecie. Chciałabym zrobić coś wielkiego, pięknego. Chciałabym pomagać innym.

Hasina z zaciekawieniem obserwuje nieznaną jej świat. Opowiada o swojej rodzinie, o zmarłym na zawał serca ojcu. O pogotowiu, które przyjechało zbyt późno. Bez wsparcia ojca trudno jej będzie wyrwać się z prowincji, pójść w mieście na studia. Próbuje od kilkunastu lat, bezskutecznie. Bratu, który przejął nad nią opiekę, szczególnie zależy na szczęściu siostry. Ma swoje życie, swoją rodzinę i własne problemy. A matka chciałaby wreszcie wydać ją za mąż.

Po posiłku zapraszam Hasinę do domu. Wcześniej muszę się jednak upewnić, że nie ma tam mojego męża. Moja znajoma czułaby się nieswojo pod jednym dachem z obcym mężczyzną. Po drodze odbieramy ze szkoły mojego syna Filipa. Jest jeszcze dzieckiem, ma osiem lat, więc bez problemu może nam towarzyszyć. Słysząc nawoływania do modlitwy. Pytam Hasinę, czy nie powinnam zawieźć jej do meczetu.

– Nie – mówi stanowczo. – Prorok powiedział, że jak się jest daleko od domu, to wystarczą trzy modlitwy dziennie. Liczba pokłonów składanych Bogu też może być wtedy mniejsza.

Dojeżdżamy do domu. Hasina przygląda się ścianom w salonie, na których wiszą zdjęcia. Wśród nich jest sporo fotografii dzieciaków z całego świata, zrobionych podczas moich podróży służbowych. Trochę ją to dziwi, bo muzułmanie nie wieszają w domach zdjęć. Uważają, że nie należy tak robić. Według niektórych szkół czci się wtedy ludzi ze zdjęć zamiast Allaha. Również zdjęcia zmarłych postrzega się czasem jako przedmioty kultu. Kiedyś zapytałam o to dwie znajome z Wielkiego Meczetu. Jedna twierdziła, że nie ma w domu żadnych zdjęć, bo to zakazane. Druga, że ma zdjęcie zmarłej matki i nie uważa, by w ten sposób obrażała Boga. Modli się jednak w innym pomieszczeniu. Hasina nie komentuje zdjęć, które wiszą na ścianie. Może nie chce mnie pouczać? Za to chętnie dyskutuje z moim synem na temat jego osiągnięć w nauce. Przypomina mu, że warto uczyć się języków i zdobywać wiedzę o świecie. Umawiamy się na następny dzień na śniadanie u Sary.



– *Salam alejkum*, dzień dobry, to moja siostrzenica Hawlan. – Stojąc przed drzwiami domu Sary, Hasina przedstawia młodą kobietę.

– W Omanie osoba zaproszona do czyjś domu może przyjść z kimś jeszcze, na przykład z siostrą, kuzynką czy matką – tłumaczy mi po polsku Sara, widząc moje zaskoczenie. – Nikt się tu nie dziwi, że Hasina przyprowadziła siostrzenicę bez zapowiedzi.

Hasina jest piętnaście minut spóźniona. To niedużo jak na omańskie standardy. Kobiety najpierw witają się z gospodynią, potem ze mną.

– Zjadłam dziś rano siedem daktyli, żeby żołądek miał co trawić. Właśnie tak nakazuje prorok – mówi Hasina, kiedy zajmujemy miejsca przy dużym, elegancko zastawionym stole. – Teraz mogę sięść do śniadania. Co poniedziałek i czwartek poszczę, tak jak robił prorok. Dziś jest wtorek, więc mogę jeść z wami.

Hasina jest ubrana w obszerną czarną abaję. Jej siostrzenica Hawlan to dwudziestosiedmiolatka o dużych oczach i grubych brwiach, mocno zabarwionych henną. Ma aparat z niebieskimi gumkami na zębach. Jej imię znaczy po arabsku „jeleń”. W Omanie uważa się go za bardzo piękne zwierzę. Zresztą Hawlan też jest bardzo ładna. Jest również biznesmenką. Kieruje hostelami dla studentek w Maskacie.

– Mam trzy hostele. W każdym z nich jest około dziesięciu pokoi, a w każdym pokoju mieszkają po cztery studentki – opowiada. – Pochodzę z tej samej wsi co Hasina. Mój dom rodzinny znajduje się kilkanaście metrów od domu Hasiny. Mój ojciec jest kuzynem Hasiny. Jesteśmy z tej samej kabili.

Hawlan jest przedsiębiorczą kobietą. Trzy lata temu postanowiła założyć własny biznes i odniosła sukces. Przystąpiła do spółdzielni kobiet, w której każda z dziesięciu pań wyłożyła na stół po 100 riali, czyli mniej więcej po tysiąc złotych. Potem losowały, która z nich jako pierwsza zgarnie pulę i za te pieniądze otworzy własną firmę. Hawlan miała szczęście, jako pierwsza otrzymała całą kwotę. Potem znalazła koleżankę, która dołożyła kolejny tysiąc, wynajęły mały budynek na obrzeżach Maskatu i założyły pierwszy hostel dla studentek. Hawlan szybko spłaciła dług spółdzielni, by kolejna z kobiet mogła założyć swój biznes.

Żeby Hawlan mogła pracować, musiał się na to zgodzić jej ojciec. Przed podjęciem jakichkolwiek ważnych decyzji kobieta prosi o zgodę rodziców oraz ciotki, w tym Hasinę.

– One brały udział w moim wychowaniu, czują się za mnie odpowiedzialne – tłumaczy Hawlan. – Zanim tata wybudował nasz dom, czyli do piątego roku życia, mieszkałam w domu rodzinnym Hasiny, więc jestem winna jej rodzinie posłuszeństwo.

– No właśnie, to posłuchaj, co mam ci do powiedzenia. – Hasina nagle zmienia temat i zaczyna przekonywać Hawlan do małżeństwa z Ahmedem, jednym z kuzynów należącym, rzecz jasna, do plemienia Al-Bataszi. – Jest przystojny, młody, porządny! Powinnaś za niego wyjść – zachęca.

– Jak ci się tak podoba, to sama za niego wyjdź – odparowuje Hawlan. – Ahmed nie jest w moim typie. Zresztą poślubię tylko takiego, którego matka już nie żyje.

– Dlaczego? – pytam.

– Nie będę miała problemów z teściową. Wiele moich koleżanek skarży się na swoje teściowe. Do wszystkiego się wtrącają. Są zazdrosne. Jeśli mąż coś kupi żonie, to teściowa od razu chce tego samego. Koszmar. A faceci bardzo słuchają swoich matek.

Pijemy herbatę z mlekiem, kardamonem i cukrem. To typowa arabska herbata. Sara przygotowała na dzisiaj gotowaną ciecierzycę z kardamonem i pieprzem. Wiedziała, że bardzo ją lubię. Do tego chleb, sery i warzywa.

– Z nowych rzeczy u mnie, to powiem wam, że dostałam ofertę pracy w przedszkolu, ale proponują tylko dwieście pięćdziesiąt riali miesięcznie, czyli poniżej płacy minimalnej – mówi Hasina. – To prywatne przedszkole, które nie jest zarejestrowane w ministerstwie. Za takie pieniądze nie będę pracować. Chciałabym za to iść na studia dziennikarskie i potem pisać o naszym środowisku.

– Dlaczego dziennikarstwo? – pytam.

– Bo to mi się podoba. Lubię media. Lubię czytać książki, oglądać telewizję i filmy. Choć jeszcze nigdy nie byłam w kinie.

– No to koniecznie musimy się do niego wybrać! Dzisiaj cię tam zabiorę – obiecuję Hasinie.

Hawlan też jest chętna. Ciotka Hasina rzuca jej groźne spojrzenie. Chyba nie wie, że jej siostrzenica korzysta z uroków życia w dużym mieście. Pomimo różnicy wieku Hawlan czuje się w naszej obecności swobodnie, jednak w obawie przed gniewem ciotki szybko zmienia temat.

– Mam pięć sióstr i czterech braci. Jestem trzecia w kolejności urodzenia – oznajmia. – I to wszystko z jednej matki.

– A mój mąż ma jedenaścioro rodzeństwa z tej samej matki – mówi Sara. – Siedmioro rodzeństwa ma od drugiej żony ojca i trzy od kolejnej. Jest ich łącznie dwadzieścioro jeden. I w każdy weekend chce się z nimi spotykać. A ja muszę mu towarzyszyć. Jego ojciec miał zawsze cztery żony. Jak jedna zmarła, to brał drugą, w sumie miał ich sześć.

– A ja jednak zgodzę się być drugą żoną. – Najwyraźniej od ostatniego spotkania Hasina zmieniła zdanie. – Chcę mieć dwójkę dzieci, potem mogę się rozwieść i być znowu wolna. Mężowie są niezbyt ważni, możemy ich sprzedać za jednego baisesa. Takie mamy tu powiedzenie.

Cóż, myślę, rzeczywiście nie są wariaci zbyt wiele, skoro baises to odpowiednik naszego grosza.

– Nie możesz tak planować, to jest *haram*, zabronione – droczy się Sara. – Musisz zaakceptować sytuację i dzielić się mężem jak T-shirtem.

– Ja marzę tylko o dobrej pracy i dzieciach – kontynuuje Hasina. – Moja rodzina nie musi być duża. Nie lubię hałasu. U mnie w domu zawsze było mnóstwo ludzi. A moja matka na wszystko była wściekła, zresztą ona jest wściekła cały czas. Nie chcę być taka jak ona. I nie chcę żyć tak jak ona. Matka ma dziesięścioro dzieci, ja chcę mieć tylko dwoje. Ona wyszła za mąż, jak była bardzo młoda, ja do tej pory jestem panną. No i ona cały czas krzyczy, a ja nie.

– Moja teściowa opowiedziała mi kiedyś historię – przerywa jej Sara. – Była w ciąży ze swoją piątą córką i chciała jej dać na imię Hasina. A jej mąż nagle mówi, że on już ma córkę o tym imieniu z inną żoną. Nawet jej nie powiedział, że ma inną żonę. Teściowa o mało na zawał wtedy nie zeszła. Takie to piękne życie mają tutejsze kobiety. I nie powiesz mi, że to jest fair.



Tego dnia, tak jak obiecałam, zabieram Hasinę do kina. Towarzyszy nam Hawlan. Jedziemy do nowo powstałego centrum handlowego w As-Sib, które znajduje się przy lotnisku. To niedaleko hostelu Hawlan i kilka kilometrów od mojego domu. Na miejscu okazuje się, że nic ciekawego nie grają. Hasina nie wie, co chce obejrzeć. Tytuły niczego jej nie mówią. Prosi, byśmy razem z jej kuzynką podjęły decyzję. Hawlan wybiera *Focus* z Willem Smithem i Margot Robbie w rolach głównych. Była na nim kilka dni temu i liczy na to, że film spodoba się też ciotce Hasinie. To lekki amerykański komediodramat kryminalny. Projekcja rozpocznie się za czterdzieści pięć minut, idziemy więc z Hasiną na kawę. Hawlan zostawia nas na chwilę same, a kiedy wraca, ma usta pociągnięte ostrą różową szminką i mocno podkreślone oczy.

– O, ładnie wyglądasz – mówię.

Hasina za to krzywi się na jej widok i w tym samym momencie syczy do Hawlan:

– Co to jest? To obrzydliwe. Taki wygląd zwraca uwagę mężczyzn i sprowadza na kobietę problemy.

Ale Hawlan nie ma ochoty zmywać makijażu. Mówi ciotce, żeby przestała zrzędzić, i proponuje, że pokaże nam swój ulubiony sklep. Prowadzi nas pewnym krokiem, widać, że często tu bywa. Zatrzymuje się przy salonie Amouage. To marka ekskluzywnych omańskich perfum. Ich zapach unosi się już w promieniu kilkudziesięciu metrów od sklepu. Jest intrygujący, słodki i ciężki. Hawlan wskazuje na flakon w kolorze ciemnej zieleni ze złotą nakrętką. Widnieje na nim napis „Epic”.

– Ten lubię najbardziej – stwierdza. – To luban, tak na niego tu mówimy.

Perfumy pachną intensywną egzotyczną nutą, szczególnie wyczuwalny jest w nich aromat omańskiego kadzidła.

– Jak je kupisz, nie będziesz żałować, pachną przez cały dzień. A teraz już chodźmy, zaraz zacznie się film.

Kupujemy popcorn, wodę i wchodzimy na salę kinową. Światła gasną, a po chwili zaczyna się dziać coś dziwnego. Kiedy tylko kamera pokazuje Smitha bez koszulki albo całującego swoją filmową partnerkę, Hasina gwałtownie schyla się do swojej torby i czegoś zapalczywie w niej szuka. A trzeba dodać, że w Omanie wszystkie filmy są cenzurowane i większość scen rozbieranych zostaje wycięta. Ministerstwo Kultury cenzuruje zresztą nie tylko filmy, ale także gazety i książki, które mają trafić na omański rynek.

Od razu po filmie pytam Hasinę o częste sięganie do torby.

– Widzisz, bo należy unikać sytuacji, które mogą prowadzić do grzechu. Nie wolno patrzeć, prowokować. Trzeba się wycofać, gdy tylko pojawia się zagrożenie. A patrzeć na nagiego mężczyznę to już niebezpieczeństwo. Zaczynasz czuć w brzuchu motyle, potem pojawiają się w głowie różne myśli, które mogą prowadzić to grzechu. Dlatego trzeba to od razu ucinać.



Jest wpół do dziesiątej. W Centrum Informacji o Islamie przy Wielkim Meczezie zebrało się dziś niewiele osób. Wiosną i latem Oman odwiedza mało turystów. Jest zbyt gorąco. Hasina przyszła dziś ze swoją siostrzenicą Hawlan.

Podchodzi do nas jedna z wolontariuszek, ruchem ręki nakazuje Hawlan zakryć stopy. Dziewczyna szybko chowa je pod abaję. Wiele tutejszych kobiet wierzy, że im więcej zakryjesz, tym bardziej będziesz podobać się Bogu. Hawlan, nie chcąc narazić się ciotce, posłusznie chowa stopy.

Hasina, kiedy tylko nadarzy się okazja, przyjeżdża do stolicy. Nadal szuka pracy, która pozwoliłaby jej utrzymać się w Maskacie. Kilka tygodni temu miała rozmowę z kimś ze swojego plemienia, kto prowadzi tu firmę. Obiecał, że zadzwoni do niej z ofertą pracy, bo Hasina wystarczająco dobrze zna angielski. Do dziś się nie odezwał.

– Mam inny plan – przerywa ciszę Hasina. Mówi głośno i wyraźnie. –

Muszę znaleźć sobie męża. Pojadę do kuzynek w Kurajjat, tam, gdzie mieszka duża część naszej kabili, i z ich pomocą znajdę kogoś.

– Kiedy planujesz tam pojechać? – dopytuję i od razu uświadamiam sobie, że takie pytanie nie ma sensu. Hasina nie wie, o której wraca dziś z Maskatu do swojej wsi, a co dopiero, jakie ma plany na później.

– Jak będę miała możliwość, to pojedę – odpowiada. – *In sha Allah*, jak Bóg da. Poprosiłam kuzynkę, żeby mnie zabrała ze sobą, jak będzie tam jechać. Mężczyzna, z którym zgodzę się wziąć ślub, musi zapewnić mi osobny dom. Nie chcę mieszkać z jego rodziną. Lubię spokój, potrzebuję miejsca tylko dla siebie.

Cieszę się, że Hasina ma marzenia i próbuje je realizować. Szczerze życzę jej szczęścia. Trzymam kciuki za urzeczywistnienie jej planów. Będę czekać na informacje o weselu. Na pewno na nie przyjadę.



Delikatny dźwięk telefonu sygnalizuje przychodzącą wiadomość. „Jak się masz, moja kochana? Modłę się do Allaha o zdrowie Twoje i Twojej rodziny”, pisze Hasina kilka lat po naszym pierwszym spotkaniu. Dołącza zdjęcie przedstawiające ją samą w czarnej abai, tulącą niemowlaka.

Hasina ze zdjęcia nie uśmiecha się. Siedzi wciśnięta w kąt tylnego siedzenia samochodu. Obok niej jest bratanica Butaina, z którą spacerowałyśmy po gaju oliwnym. W zawiniątku Hasina nie trzyma swojego dziecka. Nie jest to też upragniony syn w rodzinie Al-Bataszi. Hasina tuli kolejną siostrę Butainy, która kilka lat temu narzekała, że ciotka każe dzieciom obrywać szypułki klejących się do rąk daktyli. Przez ostatnie pięć lat w rodzinie Hasiny nie urodził się żaden chłopczyk.

Ona sama do dziś nie została ani pierwszą, ani drugą żoną. Wciąż snuje marzenia o mężczyźnie, za którego mogłaby wyjść. Koniecznie z plemienia Al-Bataszi. Nie udało jej się pójść na studia ani znaleźć pracy w Maskacie. Nadal mieszka w małej wiosce pośród gór na południe od stolicy.

Widocznie Allah tak chciał.

Podziękowania

Dziękuję wszystkim bohaterkom za to, że zaprosiły mnie do swojego świata. Za gościnę w Waszym życiu i domu.

Mojemu mężowi dziękuję za możliwość przeżycia dwóch lat w tym fascynującym kraju. Synowi za dzielne towarzyszenie w zbieraniu dokumentacji do książki i w wyprawach po całym Omanie.

Bożenie i jej rodzinie za wyjątkową gościnność. Sarze za szczere rozmowy i wprowadzenie w życie jej omańskich przyjaciółek.

Ani Klimczewskiej za nieustępliwe przypominanie o tym, że trzeba pisać.

Dziękuję Kasi Nawrockiej za ciepłą i uważną redakcję.

Ewie Foley za spotkanie w Kawkowie, które zaowocowało poznaniem Wydawczyni tej książki. Dziękuję też Ani Rogali, która przeczytała i uwierzyła, że warto.

Bibliografia

Al-Azri K., *Social and Gender Inequality in Oman: The Power of Religious and Political Tradition*, Durham Modern Middle East and Islamic World Series, 1st edition, Routledge, London 2012.

Al-Hinai H., *Female Genital Mutilation in the Sultanate of Oman* 2014; Habiba-hinai.blogspot.com, @HabibaAlHinai; <http://www.stopfgmmideast.org/wp-content/uploads/2014/01/habiba-al-hinai-female-genital-mutilation-in-the-sultanate-of-oman1.pdf>.

Dziekan M.M., *Symbolika arabsko-muzułmańska. Mały słownik*, Verbinum Wydawnictwo Księży Werbistów, Warszawa 1997.

Gardiner I., *In the Service of the Sultan; A First Hand Account of the Dhofar Insurgency*, Pen & Sword, Barnsley 2006.

Hilal Al'Abri A., *Prayer in sketches and colour prints, Pray as you have seen me playing*, Qaboos University, Sultanat of Oman, Muscat, przekł. na ang. A. Bin Said Obeid Al-Hakamany, A. Bin Hemed Bin Salim Al'Shuely.

Kaplan R.D., *Monsun: Ocean Indyjski i przyszłość amerykańskiej dominacji*, przekł. J. Ruszkowski, Czarne, Wołowiec 2010.

Koran, przekł. z arabskiego Józef Bielawski, PIW, Warszawa 1986.

Kutschera C., *The Death of the Last Feudal Arab State*, „The Washington Post” 27 grudnia 1970.

Morris J., *Sultan in Oman, venture into the Middle East*, Pantheon Books Inc., New York 1957.

Mujahid A.M., *200 Golden Hadiths from the Messenger of Allah*, Darrussalam, Riyadh 2011.

Piwko A.M., *Kobieta w islamie. Muzułmański feminizm?*, Warszawskie Studia Pastoralne UKSW, X 2015, nr 4 (29).

Romaniuk A., *Z miłości? To współczuję*, Wydawnictwo Poznańskie, Poznań 2019.

Szejnert M., *Dom żółwia. Zanzibar*, Znak, Kraków 2011.

Woman in islam, przekł. Abdullah Borek, Discover Islam, Bahrain 1999.

Teksty prasowe i informacje z internetu

Genetic blood disorder affects all Oman tribes, „Times of Oman”, 10 grudnia 2014. Dostępny w internecie: <https://timesofoman.com>.

Genetic defects in babies in Oman above global average, „Times of Oman”, 18 lipca 2018. Dostępny w internecie: <https://timesofoman.com>.

<https://www.tourismoman.com.au/travel-info/history-traditions/>.

Oman health: Youth advised to go for premarital screening, „Times of Oman”, 29 marca 2016. Dostępny w internecie: <https://timesofoman.com>.

Oman Medical Journal-Archive (omjournal.org).

Oman: Stop harassing the family of Mohammed al-Fazari, Amnesty International. Dostęp 14 lutego 2017. Dostępny w internecie: <https://www.amnesty.org/en/documents/mde20/5697/2017/en/>.

Oman's government sues newspaper over story about gays, „Reuters”, 5 września 2013. Dostęp 27 grudnia 2022. Dostępny w internecie: <https://www.reuters.com/article/oman-gays-newspaper-idUSL6N0H12RB20130905>.

The outsiders, „The week”, Apex Press and Publishing, publikacja 2013. Dostępny w internecie: [theweek](http://theweek.com) – Apex Media.

Vaidya S.K., *Oman police arrest man for practising black magic*, „Gulf News”, 16 marca 2013.

Słowniczek

abaja – sięgająca do kostek, najczęściej czarna, obszerna tunika, noszona przez kobiety głównie w dużych miastach jako okrycie wierzchnie.

ablucja – rytualne obmycie ciała; muzułmanie dokonują ablucji pięć razy dziennie, przed każdą modlitwą.

afladż – średniowieczny kamienny system nawadniania, który działa tak, że wyłapuje wodę z górskich źródeł i doprowadza ją do pól uprawnych.

aja – werset Koranu.

Alhamdulillah – dzięki Bogu.

Al-Kaaba – świątynia w Mekce, będąca świętym miejscem muzułmanów. W świątyni wmurowany jest kamień zwany hadżarem. Kaabę z ukrytym w środku kamieniem osłania jedwabna tkanina, zwana kiswą.

Baba – tata.

bramin – hinduski kapłan.

chalidzi – dosłownie „zatoka”; określenie mieszkańców krajów Zatoki Perskiej.

da'wa – szerzenie islamu na świecie.

dhoti – materiał o długości kilku metrów i szerokości około metra upinany w pasie przez indyjskich mężczyzn.

diszdasza – sięgające do kostek ubranie męskie w formie luźnej sukienki.

Dżabal Achdar – dosłownie „zielona góra”; jeden z najwyższych szczytów Omanu, znajdujący się w paśmie gór Al-Hadżar, 150 kilometrów na południowy zachód od Maskatu.

Dżabal Szams – najwyższy szczyt Omanu, z którego każdego dnia można zobaczyć pierwszy promień słońca pojawiający się nad krajem. Góra ma 3028 metrów wysokości i jest częścią pasma Al-Hadżar.

dżalabija – sięgająca do kostek, obszerna, kolorowa sukienka używana przez omańskie kobiety. W dużych miastach noszona jest głównie po domu, na prowincji zaś stanowi również strój wyjściowy.

dżihad – wysiłki podejmowane w dążeniu do Boga związane z pokonywaniem własnych słabości, pozyskiwaniem nowych wyznawców i szerzeniem islamu w świecie.

fatwa – opinia religijna wydawana przez uczonego prawnika muzułmańskiego, muftiego.

frankincense – drzewko kadzidłowca (*Boswellia*) oraz pozyskiwana z niego żywica (*olibanum*). Frankincense rosną na południu Omanu, a ich żywicę pali się powszechnie w kadzielnicach omańskich domów. Kiedyś, gdy w Omanie nie wydobywano ropy, kadzidłowiec był głównym źródłem dochodu tamtejszych plemion. Mówiło się, że to złoto Omanu. Przewożono go drogą morską do Egiptu, Cesarstwa Rzymskiego i Persji. Niektórzy wierzą, że kadzidłowiec odpędza złe duchy.

Habibi – (moje) kochanie.

hadisy – opowieści o życiu proroka Mahometa, zawierające jego wypowiedzi. Hadisy są jednym z dwóch (oprócz Koranu) głównych źródeł informacji w religii muzułmańskiej.

halwa – omański specjał w postaci słodkiej, mazistej galarety.

hidżab – nakrycie głowy muzułmanki zasłaniające włosy, uszy i szyję.

himar – luźna, sięgająca za biodra narzuta z otworem na twarz, zakładana przez muzułmanki na abaję, by dodatkowo ukryć kobiece kształty.

imam – muzułmański duchowny.

In sha Allah – jak Bóg da.

kabila – plemię, ród.

kahwa – omańska nazwa delikatnej kawy gotowanej w garnku z dodatkiem kardamonu.

La, la, la – nie, nie, nie.

madżlis – pokój gościnny z osobnym wejściem.

mahr – posąg dla panny młodej.

mahram – opiekun kobiety w krajach islamskich.

Matrah – dawna stolica Omanu, leżąca nad Zatoką Omańską na południowy zachód od Maskatu.

mihrab – nisza w ścianie meczetu, która wskazuje wiernym kierunek Mekki.

muezzin – mężczyzna pięć razy dziennie wzywający wiernych do modlitwy.

mufti – uczonego w wierze, osoba pełniący funkcję przewodnika religijnego.

nikab – zasłona całkowicie zakrywająca twarz z siatką w okolicy oczu.

pilao – ryż z przyprawami i kawałkami mięsa.

ramadan – święty miesiąc w islamie; czas postu, zadumy i modlitwy, tradycyjnie spędzany z rodziną.

Salam alejkum – dzień dobry.

salat – modlitwa.

samosy – smażone pierożki z mięsem i warzywami.

Subhan Allah – chwała Bogu.

sunna – zbiór opowieści o czynach proroka Mahometa, zawierający jego wypowiedzi.

sura – rozdział Koranu, który dzieli się na wersety (aje).

sutra – przedmiot, który muzułmanie kładą przed sobą, gdy modlą się w tłoczonym miejscu. Przedmiot ma uniemożliwić innym przechodzenie przed modlącym się i zapewniać miejsce do swobodnego składania pokłonów.

szahada – muzułmańskie wyznanie wiary.

szajch (szajch al-islam) – tytuł honorowy przyznawany uczonym w islamie, przysługujący m.in. wodzom plemion arabskich, naczelnikom wsi lub dzielnic miejskich, przywódcom bractw religijnych oraz przełożonym muzułmańskich wyższych szkół religijnych.

szariat – prawo określające zasady życia wyznawców islamu.

wadi – koryto rzeki okresowej.

zaatar – ostra, gorzkawa herbata z liści dzikiego oregano, zwanego też oregano syryjskim.

zakat – jałmużna, jeden z pięciu filarów islamu.

zina – cudzołóstwo, jedno z największych przewinień w islamie.

Przypisy

1. Wyrazy pochodzące z języka arabskiego zostały wyjaśnione w Słowniczku zamieszczonym na końcu książki. [\[wróć\]](#)